



Janusz Makarczyk
**PRZEZ MORZA
I DŻUNGLE**

Wydawnictwo »Śląsk«

Janusz Makarczyk.

Przez morza i Dżungle

Powieść dla dorastającej młodzieży Wydanie IV

I

Od Autora

Autor w Polsce, w przeciwieństwie na przykład do Anglii, bardzo rzadko pisze przedmową do swojej książki. Tjważamy, że powieść powinna tłumaczyć się sama, niezbyt lubimy pisać w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Ale czasem trzeba, trzeba, gdyż inaczej wprowadza się w błąd czytelnika. Tu właśnie zachodzi taki przypadek i dlatego należy od razu powiedzieć, że książka ta była napisana w roku 1929 przez dwudziestoosmioletniego autora, o którym w roku 1957 mogą chyba śmiało powiedzieć: „to był — dla mnie przynajmniej — miły młody człowiek, ale czasami miał trochę dziwne pomysły”.

Jest nieco zabawne dla pana po pięćdziesiątce przedstawiać publiczności młodego człowieka... którym się kiedyś samemu było.

Gdy kupujemy książkę, tym samym, chociaż o tym oczywiście nie myślimy, obdarzamy autora pewną dozą zaufania. Czasami tak się zdarza, że bohater książki jest bardziej znany niż autor; jestem pewny, że tak jest z Don Kiszotem, a bo ja wiem czy tak nie jest z panem Zagłobą? Czasami nie znamy w ogóle nazwiska autora czytanej książki, ale są to może przypadki raczej niecodzienne. Kto zawsze zna nazwisko autora, kto do autora umie pisać piękne listy, to właśnie młodzież, i pisanie dla młodzieży jest prawdziwą przyjemnością. Wydaje się jednak, że sarno określenie „powieść dla młodzieży” dość mało mówi. Dobrą powieść dla młodzieży czytają często dorośli, ale książki tego typu są jednak przeznaczone dla młodzieży i właśnie dlatego powojenne wydanie „Przez morza i dżungle” wychodzi dopiero teraz.

Tom ten zawiera opowiadanie, które wyszło w roku 1930 w roku 1931. Mówiąc jednak prawdą, ówczesne wydanie, wy-)szące oszałamiającą liczbą trzech tysięcy jest bardzo zabawne ńś, gdy rzadko tego rodzaju książka wychodzi w pierwszym ydaniu w mniejszej ilości jak dwadzieścia tysięcy egzemplarzy.

Musiałem podać lata wydania tej książki, bo inaczej czytelnik óglby być zdezorientowany. Pisząc o ćwiczeniach wojskowych, szę oczywiście o okresie lat trzydziestych. Ale zaniechałem miysłu uaktualnienia tych spraw i powtórnego pisania tej sa-jej fabuły na tle dzisiejszych czasów. Jest to bowiem nonsens, zisiejszym czasom odpowiada jakaś dzisiejsza fabuła. Pewne eczy możliwe w latach trzydziestych byłyby niemożliwe dziś. .aczej dziś ludzie myślą i inaczej układają się sprawy.

W latach trzydziestych w Stanach Zjednoczonych na pewno tniały już tendencje do penetracji poza amerykański kontynent, e myśmy o tym nie myśleli. Dla nas Amerykanie byli bardzo bawni ze swą niedźwiedzią zgrabnością. Nikt nigdy nie widział nerykańskich wojsk, a wszyscy bogatych i przezabawnych merykanów w Paryżu. Baz wojskowych nikt w Europie jednak e zakładał.

W latach trzydziestych nie wszystko było w porządku poza 'J-ropą, ale żeby obce wojska spacerowały po europejskich zie-iach bez stanu wojny — nie — tego nie było. Mimo wszystko, imo gorzkich doświadczeń wojny z 1914 roku, ludzie wierzyli jakiś ład i w jakieś formy współzycia międzynarodowego.

Zapewne, że źle się działo w Chinach. W krajach kolonialnych z daleko było do jakiegoś mniej więcej normalnego ułożenia osunków, ale my w Europie nie za wiele o tym myśleliśmy.

Książce mojej „Przez morza i dżungle”, przygotowując ją te-ż do powojennego wydania, znalazłem w kilku miejscach takie ormułowanie pojęcia „kolonia”, które mi zupełnie nie odpo-iada. Takie sformułowania wykreśliłem myśląc, że ten dwu-ńestoosmioletni Janusz Makarczyk może trochę beztrosko pod-wdził do zagadnień kolonialnych.

Pociechą było mi to, że nie wskutek dzisiejszych czasów”, 3 jeszcze w 1934 byłem już zupełnie innych przekonań w Li-irii, gdzie poznałem gorycz słów „polityka kolonialna” i gdzie ę zdecydowanie sprzeciwiłem wtrącaniu się w sprawy innych państw. Ponieważ „Przez morza i dżungle” pisałem w roku 1929, a w Liberii byłem w 1934, wynika z tego, że eiuolucja moich poglądów na zagadnienia kolonii nastąpiła w ciągu pięciu lat, i że już jako młody trzydziestotrzyletni człowiek byłem zdecydowanym wrogiem kolonializmu.

Jeździłem dużo po świecie, poznałem ludzi, robiłem, błędy i rozpierała mnie młodość. Aż dziwne człowiekowi, że taki skarb, jak dwadzieścia osiem lat, łos daje w ręce młodym ludziom. Francuzi mówią: „gdyby młodość wiedziała, a starość mogła...” Zapewne nie przysłoby mi dziś do głowy „obrażać się” na swego konsuła generalnego w Chicago i zaciągać się jako marynarz na statek. Pozwoliło mi to jednak poznać Haiti, ale i mało wybredne maniery bosmanów floty handlowej Stanów Zjednoczonych — tak samo.

„Przez morza i dżungle” pisałem w Paryżu, w Paryżu, który jest i będzie zawsze drugą ojczyzną wszystkich malarzy, rzeźbiarzy, muzyków i pisarzy. Dziś może lepiej bym narysował ludzi występujących na kartach tej książki, ale nie chciałem za dużo zmieniać. Wykreśliłem kilka nierozsądnych sformułowań na temat kolonii, a poza tym zostawiłem książkę tak, jak napisał ją bliski mi, ale dziś nie w pełni zrozumiały dla mnie, jej autor. Kraków w styczniu 1957.

We Francji mówi się, że nowo narodzonych dzieci należy szukać w kapuście. Stąd na znanym rysunku Effela aniołki szukają Adama właśnie w liściach kapusty, a dobry Pan Bóg przechadzając się mówi:

— Jacyż oni naiwni!

Pan Władysław Lubrański mógłby powiedzieć, że jego syn, Jerzy, urodził się w burakach. Kampania cukrownicza była w pełni, pan Władysław miał w oczach nie kończący się rząd furmanek z burakami, a nad laboratorium cukrowni przychodził na świat Jerzy. Co chwila wpadał ktoś z meldunkami o burakach i co chwila Antosiowa zdawała mu relacje o czynnościach lekarza zawezwanego do żony. Potem dwie rzeczy: Jerzy i buraki, jakoś się na stale zmieszały w głowie pana Władysława.

Niedługo zresztą pan Władysław miał się cieszyć i doskonałą posadą w cukrowni i swym jedynakiem Jerzym. Działania wojenne lat 1914—1918 sprawiły, że cukrownia spłonęła, a on z rodziną przeniósł się spod Żytomierza do Warszawy. Tu życie zakończył, a matka Jerzego przeżyła go niedługo. Jerzy został z ciotką, siostrą maltkli, osobą cichą i małomówną.

II

Samochód otarł się prawie o Jerzego Lubrańskiego. Szofer nie zatrzymując maszyny krzyknął coś w złości, bluznął przekleństwem i odjechał. Lubrański, zaskoczony, stał chwilę na jezdni, czym spomiędzy wymijających go samochodów wolno wszedł

chodnik i skierował się do pierwszej bramy. Wyjął chusteczkę aczał systematycznie czyścić ubranie. Spodnie były zachłapane, ocierając plamy chusteczką rozmazywał je jeszcze bardziej. kaś przechodząca młoda panienka parsknęła śmiechem i prze-2gła obok niego.

Wypadła na ulicę.

Jak bomba — pomyślał Lubrański-

Nie miał najmniejszego żalu do szofera; szedł wyjątkowo sostroźnie, bruk był śliski, padał od rana deszcz. Nawet nie dał; gorzej — siąpił. Był z rodzaju tych, które — takie ma I wrażenie

— rozmywają wszystkie nerwy w człowieku. Pa-ją nie tyle na ziemię, co na jakieś miejsce w mózgu, że aż głowie szumi i boli.

Jerzy wychodząc z bramy — a chwilę stał i nie mógł się na wyjście zdecydować — o mało co nie przewrócił prowadzono za rączkę, grzecznego, tłustego chłopczyka. Niańka była irszawianką, naurągała mu więc, zanim zdążył powiedzieć irzepraszam". Dzieciak usłyszawszy, że o niego toczy się bój, e chciał pozostać w tyle, rozwrzeszczał się biorąc od razu wy-kie „c", a to znów spotęgowało niańczyną irytację. — Nie drzyj się Franuś, bo cię nikt ze skóry nie obdarł. Franuś darł się jednak właśnie tak, jakby go ze skóry w tej iwili obdzierano. Jerzy zauważył:

— Sama pani mówi, że dziecku się nic nie stało.

— Co ja mówię, to moja rzecz, mówię, żeby dziecko uspokoić, pan niech uważa, bo może pan dziecinę okaleczyć.

Franuś na dźwięk słowa „okaleczyć" zaczął się drzeć tak, ! aż zsiniał, a tłum uliczny, łasy na takie właśnie sensacje, ibrał się jak spod ziemi i zaczął dogadywać. Publiczność judziła anię, która dawała zupełnie bezpłatny popis krasomówczych sdołnień.

Sytuacja stawała się nader kłopotliwa, tak że Jerzy uznał za osowne nie czekać na zakończenie wywodów niani i dał nura

otaczający ich tłum. Gonіły go przykre życzenia niani i płacz ranusia, gdy szybko biegł w kierunku przystanku autobusu.

Dopał tego stale zatłoczonego miejskiego środka lokomocji gdy autobus ze zgrzytem hamulców ruszył, Jerzy zaczął z nie-

klamaną irytacją urągać sobie w myśli za całe' dzisiejsze roztargnienie.

Od samego rana był już zdenerwowany, zbudził się o świcie niemal, zaczął raz jeszcze przeglądać podręczniki mówiąc sobie, że to nie ma najmniejszego sensu, potem nie czekając na śniadanie wybiegł z domu, pobiegł na uniwersytet, żeby się przekonać, że przyszedł o półtorej godziny za wcześnie. Wyszedł z gmachu, na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Królewskiej wstąpił do sklepu Wedla, za którym był pokoik, tam podawano gorącą czekoladę. Wypił, znów pobiegł na uniwersytet, aż stary, woźny w dziekanacie prawa powiedział mu:

— Oj, panie Lubrański, nerwy to jak lejce trzeba w garści trzymać.

Wyszedł, okrążył budynek, poczekał w ogródku i wreszcie wszedł do dziekanatu i... zdał swój dyplomowy egzamin. Został magistrem prawa.

Teraz poczuł głód. Wrócił do domu i zaczął jeść śniadanie; gdy dopijał aromatyczną kawę, usłyszał dzwonek do drzwi wejściowych, a po chwili stał naprzeciw kogoś w mundurze, kto wręczył mu wezwanie na ćwiczenia wojskowe. Coś się spóźniło,, poplątano adres, bo Lubrański już nazajutrz miał się stawić w swym pułku. Był oficerem rezerwy.

Nie miał planów na popołudnie. Teraz ta sprawa rozwiązała się sama; siedział w domu i trochę znudzony wertował regulamin wojskowy, aby nie zacząć kariery w wojsku od strzelenia byka.

Lektura nie była pasjonująca. Wprawdzie nie było tu rzeczy, o których mówiła anegdota, w rodzaju „chlebak, jak sama nazwa wskazuje, służy do noszenia granatów" albo „na czym stoi żołnierz? Żołnierz stoi na granicach dla ich obrony". Nie — tego nie było, ale mimo to była to arcynudna książeczka. Jerzy wyszedł z domu o szóstej.

Przeszedł się po mieście i wrócił autobusem do domu. Skończył z dobrym wynikiem studia, a mimo to był z siebie niezadowolony. To nie było naturalne, że w takim dniu był sam jak palec. Zawsze nie umiał żyć z ludźmi i teraz...

Ogarnęła go jakaś irytacja na czekające go ćwiczenia wojskowe, przypomniał sobie ni z tego, ni z owego ową niańkę,

która go publicznie zwymyślała, i na beksiwego dzieciaka, który bał się przyczyną całego incydentu.

Przewracał się na łóżku, nie mógł zasnąć i był coraz bardziej irytowany.

- Panie pułkowniku, podporucznik Jerzy Lubrański melduje po-usznie swe przybycie do pułku celem odbycia ćwiczeń dla ofice-iw rezerwy.

Jerzy wypowiedział cały frazes jednym tchem, a że nde ode-hnął przed tym jak należy, trochę się zatchnął i ostatnie słowo jwiedział raczej cicho. Zauważył, że inni robią to tak samo. amiętał, że szybko przełożył czapkę do lewej ręki, uściśnął)daną mu dłoń starannie wygolonego starszego pana w mun-arze pułkownika, potem znów wziął czapkę w prawą rękę czekał bez ruchu, wyprostowany.

Teraz, jeden szybko, drugi zacinając się, meldowali się ofice-)wie rezerwy stojący po jego lewej stronie. Przed chwilą sły-:ał te same słowa mówione z prawej. Pomyślał, że jest niepo-jbieństwem, by pułkownik słuchał tego z zainteresowaniem, le pułkownik wyglądał raczej na zainteresowanego. Gdy się i niego patrzyło, robił wrażenie dobrego ojca, który odbiera jrawoizdanie od synów wracających z dalekiej podróży.

Teraz miał przemówić. Jeżeli to w ogóle możliwe, zrobiło się iszczę ciszej w ogromnej sali kasyna. Jerzy nie mógł się zorientować, o czym pan pułkownik mówi. Brzęczało strasznie dużo ów, ale Jerzy nie umiał ich z sobą powiązać. Po chwili Jerzy łał sobie sprawę, że pułkownik musiał posiadać inne zalety: ratorem bowiem na pewno nie był. Mówił coś o roli oficerów ;zerwy; jak na przemowę w czasie pokoju, w spokojnym roku 328, za dużo może było takich słów jak „ojczyzna”, „obrona”, „gotowość”. Nie wyjaśnił przeciw komu należy być w pogoto-riu i wskazał na majora, który teraz zaczął przemawiać.

Ten mówził zwięźle:

— Godzina szósta rano gimnastyka, od siódmej do trzynastej

wykłady teoretyczne. Po obiedzie będziecie panowie zajęci w swych bateriach. Po trzech tygodniach wyjedziemy na poligon, na szkołę ognia i tam będziecie panowie pełnili obowiązki młodszych oficerów. Potem czeka panów egzamin.

Skończył.

Przynajmniej było wiadomo o co chodzi.

Po przemówieniu majora, ten sam kapitan, który ich przedstawił pułkownikowi, zakomenderował:

— Panowie oficerowie mogą się rozejść! I innym głosem:

— Podchorążowie rozejść się!

Jerzy stał jeszcze chwilę, a potem wolno poszedł za innymi. W ten sposób znalazł się w bufecie. Szabla pętała mu się zgoła nieznośnie koło nóg, pas obciągał, zapięty kołnierz munduru (już ten krawiec coś usłyszy...) gniótł i dusił szyję, a szczytem męki były długie buty, które dawały się we znaki, jak gdyby ktoś kamienie młyńskie do nóg poprzywiązywał. Staął w drzwiach bufetu i patrzył na salę.

Nie znał tu zupełnie nikogo. Zaczął więc pilnie przypatrywać się nowym kolegom i tym z rezerwy, i zawodowym. Z zazdrością patrzył, że już zaczynają pomału tworzyć się grupki. Przykro mu było, że jest tak zupełnie sam. Spojrzał po sali i na końcu jej przy stoliku zobaczył barczystego jegomościa w mundurze porucznika, który dość obojętnie patrzył na zebranych i z wielkim apetytem pochłaniał wielką porcję jajecznicę.

Jerzy raz jeszcze rozejrzał się po sali i, choć go to kosztowało, podszedł do nieznanego. Przedstawił się i usiadł.

— Wiechowicz — powiedział zajądający jajecznicę. Po chwili:

— Wie pan co? Jajecznicę dranie przypalili, ładnie się w tym wojsku zaczyna...

Jerzy nie odpowiedział; ze złością i niemal z zawiścią patrzył na innych, którzy gadali już jak starzy znajomi i zaczęli zaprzyjaźniać się z sobą.

Po chwili odezwał się Wiechowicz.

— A niech pan zdejmie to szablisko, przekłada je pan i poprawia, a wszystko to na nic. Widać przecie, że panu przeszkadza.

13

1

To dobiło Lubrańskiego. Popatrzył dookoła. Tak, rzeczywiście, lko on jeden paradował z szablą, inni dawno już pozawieszali na kołkach.

Zrobiło mu się bardzo przykro. Dlaczego on zawsze jest taki kiś inny? Dlaczego nie umie tak się śmiać, jak na przykład n tam stojący w rogu młody podporucznik. Nawet nie ma ibrze skrojonego munduru, gdzież tam, zwyczajna drelichowa irtka, a nawet nie kurtka, lecz bluza wciągana przez głowę, ity też raczej nie od renomowanego szewca, a śmieje się bez-Dsko. Koło niego zgromadziło się kilku kolegów, a jemu się isłownie gęba nie zamyka. O czym on tak opowiada, że to tak interesuje wszystkich?

Wiechowicz popatrzył i, jakby zgadując o czym Jerzy myśli, i wiedział:

— Ten tam stare kawały opowiada.

— Bardzo go słuchają.

— Normalne. Gdy się opowiada stare kawały, każdy wie jakim miejscu trzeba się roześmiać i wszyscy są zadowoleni.

•zy nowym kawale może się zdarzyć, że ktoś nie rozumie, wsypa gotowa.

— Pan chyba żartuje? Wiechowicz popatrzył uważnie.

— Nie, nie żartuję, jestem na katedrze i mówię wykład. Jerzy, żeby zmienić temat rozmowy, powiedział po chwili imysłu:

— Wcześniej trzeba będzie wstawać.

— Przed piątą. — Wiechowicz nie zdawał się być tym spe-alnie zmartwiony.

I znów zaległo między nimi milczenie. W sali zaś aż brzęczało . rozmów, gadanie nie było końca. Oficerowie zawodowi ;ładali przydzielonych sobie oficerów rezerwy, co chwila ktoś I poznawał albo przypominał sobie, że się przecie doskonale .ają ze swoim sąsiadem.

— A pan z której baterii? — zapytał Jerzego Wiechowicz.

— Nawet nie wiem.

— A to trzeba się dowiedzieć. Wypada się zameldować u do-5dcy baterii i dywizjonu. Ja jestem w piątej, drugi dywizjon, widzi pan, na tej tablicy wywiesili rozkaz.

|

Jerzy podszedł do tablicy i wrócił do Wiechowicza.

— Jestem tak samo, jak i pan, w drugim dywizjonie...

— A w baterii?

— Piątej.

— No widzi pan, będziemy razem. Chodźmy wobec tego zameldować się.

Przypasali szable i wyszli na korytarz. Co chwila mijali żołnierzy, którzy w ciasnocie korytarza stawali na baczność. Zameldowali się u dowódców dywizjonu i baterii potem wyszli na miasto.

— Dziś laba, ale od jutra to oni wezmą nas do galopu.

— Skąd pan o tym wie?

— Skórę mam na te rzeczy ogromnie wyczuloną. Jak ktoś mnie chce zagnać do orki, czuję to właśnie przez skórę.

Wiechowicz przystanął i mruknął.

— Tak, drogi panie; czuję w powietrzu zamach na moje wysypianie się i inne wygody doczesne. Proponuję, abyśmy poszli do kawiarni. Koło poligonu, gdzie nas wywiozą, nie ma

nawet ludzkiej cukierni. Sześć tygodni będziemy żyli na odludziu. Chodźmy, pokażemy się w mundurach, może się jakiej pannie spodobały.

Jerzy Lubrański nie miał co prawda nadziei, żeby się mógł jakiejś pannie spodobać, bo do pańien nigdy jakoś nie miał szczęścia, ale pewność siebie Wiechowicza i jemu się udzieliła. Uśmiechnął się i z zawadiacką, jak mu się wydawało, miną powiedział:

— Doskonale, idziemy...

Potknął się o szablę, Wiechowicz niezbyt może taktownie ryknął śmiechem i to znów sprawiło go w zakłopotanie.

IV

Już po kwadransie tłoczyli się w dusznej kawiarni. Wiechowicz witał na wszystkie strony znajomych, znaleźli wolny stolik i usiedli.

Xó

— Wie pan, że człowiek w tym mundurze to się zupełnie zzej czuje — mówił Wiechowicz do Lubrańskiego — jakoś miej i tak...

Wykonał nieokreślony ruch ręką.

Lubrański skinął głową i uśmiechnął się. On — szczerze mówiąc — czuł się raczej nieswojo. Z natury był trochę nieśmiały

o gorsza, nie umiał udawać, że się czuje w swoim żywiole, jpoważało go właściwie wszystko:

1 mundur i poczucie, że w samo południe traci czas na siedze-w kawiarni, gdy ludzie normalni, pracujący ludzie powinni

przy swoich warsztatach czy biurkach. Dziwił się, że tyle b bezcelowo przesiaduje i traci czas w kawiarni, z podziwem rzył na Wiechowicza, który tu wszystkich prawie znał, o każ-a umiał coś powiedzieć, przeważnie zresztą coś uszczypliwego ośliwego i który był niesłuchanie pewny siebie. Krępoważało go, że nie umiał podtrzymywać rozmowy. Było to prawda niepotrzebne, bo Wiechowicz gadał za siebie, za niego :szcze za kilkanaście osób. Paplał bez przerwy. Jerzy pomy-
o nim:

Dziw, że ten służy w artylerii. Tak terkocze, że raczej podeń być w kompanii karabinów maszynowych. Tłok wzrastał. Było tak ciasno, że kelnerzy z trudnością zjon-wali pomiędzy stolikami.

— Co za ścisk — powiedział Jerzy. Były to, żeby być spradliwym, pierwsze jego słowa od wejścia do kawiarni. Wiechowicz popatrzył na niego niechętnie; był niezadowo-y, że mu przerwano tok opowiadania. Mruknął:

— Pierwszy raz pan tu jest, czy co? Ścisk jak co dnia. Tylko liedzielę jest... większy.

Nagle Wiechowicz poderwał się.

— Dzień dobry! — zawołał.

Wysoki smagły brunet podszedł do ich stolika.

— Można się przysiąść?

Powiedział to zabawnym cudzoziemskim akcentem. Usiedli. Wiechowicz zapytawszy czy Jerzy mówi po francusku jaśnił, że pan Marco Carnero jest sekretarzem ambasady krowa Italii. Było widoczne, że Wiechowiczowi imponuje znajo-ść z młodym dyplomatą.

Wiechowicz chciał w dalszym ciągu obgadywać wchodzących, ale zawiódł się; okazało się, że Lubrańskd i Carnero wołają mówić

o sprawach ekonomicznych.

Wiechowicz tak wyraźnie się nudził, że po jakimś czasie odszedł, Jerzy zaś został z młodym Carnero; rozmawiali o sprawach, które ich obydwu interesowały.

— Mamy — mówił Carnero — przed sobą ten sam dylemat:

1 my, i wy musicie emigrować. Ani Włochy, zwłaszcza południowe, ani Polska nie są w stanie wyżywić swej ludności. To stawia nas w tym samym położeniu wobec problemu emigracji na przykład do Brazylii.

— Ja sędzę — powiedział Jerzy — że to wadliwa struktura naszego życia stwarza konieczność emigracji. I u was, i u nas winna tu jest wielka własność.

Carnero roześmiał się.

— Ja, jako dyplomata mego kraju, nie mogę tego twierdzić, ale oczywiście ma pan rację. Wyszli obaj na ulicę i szli wolno w tym samym kierunku.

— Rodzina moja pochodzi z Wenecji — powiedział Carnero — tam w ciągu wcieków inaczej układały się stosunki niż w południowych Włoszech. My handlowaliśmy, i to głównie z Lewantem. Moja rodzina handlowała z Turcją i Egiptem od niepamiętnych czasów. Przyjechałem tu z Turcji, obecnie jestem odwołany do Rzymu, ale wiem, że wyślą mnie do Kairu.

— Całe życie marzyłem o podróżach — powiedział Jerzy.

— To dlaczego nie wstąpi pan do waszego urzędu dla spraw zagranicznych?

Jerzy przystanął.

— Jakoś mi to do głowy nie przyszło. Carnero roześmiał się.

— Niech pan o tym pomyśli.

Młody dyplomata pożegnał Lubrańskiego i wszedł do jakiejś bramy ze sławami:

— Tu mieszkam.

Lubrański został sam na ulicy., — Co za szczęśliwy człowiek — pomyślał o młodym Carnero. — Jest przejazdem z Turcji do Egiptu, ma przed sobą na pewno jeszcze wiele podróży.

2 Przez morza i dżungle

17

Nigdy nie zastanawiał się, czy wstąpienie do służby zagranicznej jest trudne. Na pewno — jak i wszędzie — potrzebne są lajomości. A tego właśnie Lufarańskiemu brakowało.

Ruszył wolno przed siebie.

Poszedł do domu na obiad. Mieszkał u swojej ciotki, pani Idwigi Dykowskiej. Po śmierci rodziców staruszka zajmowała się jego wychowaniem. Ciotka obejrzała mundur siostrzeńca, imiechnęła się jak zwykle i poszła do kuchni.

Znów został sam.

Ciotkę kochał bardzo. Poza innymi zaletami miała i tę, że owiła tak samo mało jak on.

Siadywali z sobą dość często

kąciku pokoju, ona z robótką, on z książką, godzinami nie łzywając się do siebie. Obojgu było z tym dobrze.

Po obiedzie Lubrański nie mógł usiedzieć na miejscu. Jakoś, toć się do tego nie przyznawał, miał wielką ochotę odwiedzić mnę Lilkę, koleżankę biurową. Nie było co ukrywać: panna ilka nie bardzo na niego zwracała uwagę, lecz jemu podoiła się.

— Gdyby tak teraz... w tym mundurze... gdyby tak opowiedzieć o tym Carnero.

Spojrzał na zegarek. Jeszcze w banku pracują. Zdaży. I... d tak... prawda, zapomniał zabrać notesik z szuflady.

Ucałował ręce ciotki i wyszedł.

Po drodze układał sobie rozmowę. Więc naprzód przypomni j dysipozycje wydane na czas jego nieobecności.

Nie, to do niczego. Przecież już wczoraj powiedziała, że szystko dokładnie pamięta i że nie lubi, gdy się ją nudzi.

Więc wprost proponuje, aby poszli razem do kina.

— Chyba nie wypada...

Wchodząc do gmachu banku postanowił nie robić planów zdać się na przypadek.

Wszedł do swego pokoju. Na jego własnym biurku siedziała ilka i rozmawiała z kimś żartobliwie przez telefon. Czekał dłu-} aż skończy ten dialog telefoniczny.

Czekając wpadał w coraz bardziej minorowy nastrój. Wresz-e gadanina telefoniczna skończyła się.

— Jakże pan śmiesznie wygląda! — krzyknęła Lilka.

Nie zwrócił uwagi na jej wykrzyknik. Z miną poważną za-

czął powtarzać wczorajsze instrukcje, aż w końcu zniecierpliwiona panna ziewnęła mu w nos:

— O Boże, jaki pan nudny.

Jerzy Lubrański stał w lesie przed marnie skleconą budą, w której kwaterował, i czytał po raz drugi list od ciotki.

Nos mu się opalił na czerwono, przytył trochę, ruszał się już w mundurze zupełnie pewnie. Stał nieco rozkraczony (do konnej jazdy trzeba się jednak przyzwyczaić) i czytał szeptem małe, nic nie znaczące nowinki.

— Panie poruczniku, melduję posłusznie, że pan porucznik Żabkiewicz prosi do siebie pana porucznika.

Chudy, wysoki kanonier odsalutował, zrobił zwrot w tył i „odmaszerował”.

Lubrański przeszedł przez zagajnik; koło baraku złapał go ogniomistrz Pazur, który meldował, że kanonier Pyz pobił kanoniera Komórka.

Lubrański mruknął:

!—' Przy wieczornym raporcie.

Poszedł dalej. Wszedł w las i dotarł wreszcie do wygodnego namiotu zajmowanego przez porucznika Żabkiewicza.

—! Co się z panem dzieje?

— Melduję... Żabkiewicz przerwał.

— Niech pan melduje na służbie, nie mogłem pana nigdzie znaleźć, a mam ochotę iść na zsiadłe mleko. Pójdzie pan?

— Bardzo chętnie.

O dwieście metrów stał szałas, w którym mieściło się coś w rodzaju kantyny.

•— Pusto tu —! odezwał się Jerzy.

— Pewnie. Upał jak sto diabłów, niedziela, to i bractwo śpi.

kazali sobie podać mleka. Muchy brzęczały nieznośnie, z dala hać było jakąś żołnierską piosenkę śpiewaną przez chór, szcze dalej czekały psy.

— Chodźmy do kasyna, może tam będzie weselej — propo-rał Żabkiewicz.

— Dobrze — zgodził się trochę apatycznie Lubrański.

Ma werandzie kasyna było już rojno. Około dwudziestu ofice-grało w szachy, ktoś odczytywał ze świstków papieru jakieś ołe wierszyki, słuchacze wybuchali co chwila śmiechem. Wiechowdcz wodził rej przy osobnym stoliku.

— Hola, Żabkiewicz, Lubrański, chodźcie do nas! !—! wołał — śnie kapitan Malenowski opowiada o swej przygodzie z ja-s panem od ułanów.

Kapitan Malenowski, człowieczek niewielkiego wzrostu, na lawych nóżkach, uśmiechnął się i perorował:

— Wiadomą rzeczą jest, że rację bytu i sens ma jedynie fleria. Konnica, ułani...

Nie sążone mu było mówić dalej, gdyż nagle rozległ się •y dźwięk trąbki i nawet szachiści, zwykle nieczuli na żadne łosy świata zewnętrznego, zerwali się od stołu; oficerowie ciii się pędem do swych baterii.

— Alarm!

yjechał generał. Był i przegląd, i defilada, i ostre strzelanie.

da strzelać piąta bateria.

Żabkiewicz, Wiechowicz, Lubrański i Dhil stali już na stano-ku.

Generał ze switą nieco z tyłu.

Gruchnęło. Obserwatorzy podali wyniki po rozerwaniu się isku i znów strzał... i znów...

W tej chwili w umyśle Lubrańskiego coś się przeobraziło.

i ważniejszym wypadkiem na całym świecie stało się dlań
re strzelanie piątej baterii. Poza celnością tych strzałów nie

było nic. Wszystko było nic nie znaczącym głupstwem, wszystko było niczym — dobrze
strzelać — chodzi o opinię baterii, o ewentualny awans Żabkiewlicza, dobrego kolegi.

Sektor, azymut, podniesienie, celownik...

Strzał.

•— Czy aby celowniczy nie „nawala”?

Lubrański działał jak maszyna.

— Odbój. Strzelanie skończone.

Generał powiedział parę miłych słów oficerom i zwrócił się do kanonierów.

— Dziękuję wam, chłopcy.

— Ku chwale ojczyzny, panie generale — wyskandowała bateria.

Dostojnicy odeszli.

— Dobrze było — mruknął Dhil, też z rezerwy, przydzielony do piątej baterii.

— Psiakrew, że też ta druga seria musiała się tak rozsypać. Celowniczy pierwszego działonu
musiał zgubić cel — odpowiedział Żabkiewicz.

Lubrański promieniał.

— Dobrze było, nie ma co. I to trzeba pamiętać, że obsługa pierwszy raz strzelała.

Był zachwycony sobą, kolegami, światem całym. Wieczorem odbyło się „oblewanie”.

Od tego czasu Jerzy znacznie zyskał na humorze. Opalił się na brązowo, mógł już stać prosto,
bo do konia przywykł, jadł za trzech i nawet się czasami rozgadywał.

— Jeszcze z pana będą ludzie — mówił mu Żabkiewicz. Lubrański śmiał się.

Było mu dobrze.

Od lat całych pracował i jednocześnie był na uniwersytecie. Od dzieciństwa szedł prawie
wyłącznie o własnych siłach. Teraz wykonywał tylko rozkazy, zresztą mało skomplikowane,
nie miał kłopotów materialnych, wysypiał się do syta.

Towarzystwo wesołych kolegów, z którymi się zaprzyjaźnił, dokonało reszty.

II

a poligonie trwało beztrudne życie. Rano służba, potem obiad ' miłym nastroju między
kolegami, po południu znów służba, wieczorem gawędy, przypominanie sobie
zabawniejszych zda-:eń dnia.

Dowódca Jerzego, porucznik Zabkiewicz, człowiek taktowny, ardo wesoły choć zawołany
służbista miał pod sobą, poza Lu-rańskim, z oficerów rezerwy — Wiechowdca i młodego
praw-ika Andrzeja Dhila.

Wiechowicz przy bliższym poznaniu nie okazał się sympa-rzny; mało koleżeński, często
wymykał się do pobliskiego mia-eczka zwalając pracę, którą miał wykonać, na Lubrańskiego
Dhila.

Dhil natomiast zdobył sobie od razu szacunek Jerzego. Był) pod każdym względem ciekawy
młody człowiek. Ojciec jego racował przed wojną jako inżynier we Władywoistoku. Gdy
ybuchła rewolucja, młody Andrzej zaciągnął się na okręt na-izący do „P and O-Co” i odbywał
rejsy z Szanghaju, dokąd rzeniosła się jego rodzina, do Tien-Tsinu. Po pewnym czasie hil-
ojciec otrzymał w Szanghaju dobrą posadę, tak że Andrzej tógł pozostać przy rodzicach i
kontynuować przerwana naukę.

Na wiosnę państwo Dhil powrócili do kraju.

Andrzej, który wtedy właśnie zdał maturę, wstąpił jako :hotnik do armii, potem zaś ukończył
uniwersytet i odbył pod-)ż do Kamerunu.

Był on o dwa lata starszy od Lubrańskiego, który całymi Ddzinami słuchał opowieści o życiu
marynarskim, o portach alekiego Wschodu lub o Kamerunie.

Któregoś wieczora porucznik Zabkiewicz wyjechał z rozkazu ułkownika do Warszawy,

Wiechowicz wymknął się jak zwykle o miasteczka. Na kwaterze zostali Lubrański i Dhil.

— Co ja bym dał, żeby móc poznać świat, tak jak pan — mó-ił Jerzy — to musi być wspaniale—podróżować po świecie.

Dhil roześmiał się.

— Tak — ciągnął dalej Lubrański — nie stać mnie, niestety, a luksus zwiedzania świata.

|

— Poznać świat z pełną kieszenią, to nie jest tak wielka sztuka.

— Ale z pustą chyba jeszcze większa.

— Ja jeżdżę z pustą. Lubrański spojrzał z podziwem.

— I jak pan to robi?

— To trudno tak powiedzieć.

— Musi mi pan powiedzieć. Już jako dziecko marzyłem zawsze o podróżach, niestety, człowiek chce tak, a życie kieruje nim inaczej.

— Rozmawiać o podróżowaniu bardzo lubię, przede wszystkim jednak chciałbym się dowiedzieć, dlaczego ten temat, tak pana interesuje?

— Ciekaw jestem szerokiego świata, codzienność naszego życia nie ma w sobie nic interesującego.

— Więc innymi słowy, obrzydło panu szare, puste życie? A mógłbym zapytać, czy pan ma dobrą posadę?

— Nie.

— Słowem niewiele pan ma do stracenia.

— Mówiąc ściśle: nic.

— Więc niech pan wyjeżdża. Orzeźwi się pan, zahartuje, zobaczy innych ludzi. Stanie się pan bardziej energiczny, przedsiębiorczy i z ufnością będzie pan patrzył w życie, które jest piękne i które tylko my czasami źle sobie urządzamy.

Jerzy roześmiał się.

— Projekt doskonały, ale — niestety — niewykonalny.

— Projekt jest zupełnie wykonalny. Nam potrzeba młodych ludzi, którzy by mieli trochę zapału i trochę fantazji.

— Nam?

— Polakom. Sądzę, że nieco żyłki odkrywczosci nowych, innych terenów, nieco pędu za morza i ciekawości dalekich lądów przydałoby się. Mamy doskonałych pionierów, jak nasi koloniści w Brazylii, mamy jedną z najliczniejszych emigracji, a niestety, dla naszego kupca Ameryka jest jeszcze prawie tak daleko, jak za czasów Kolumba. Nie rozumiemy morza. Nasz patriotyzm, który zdobywa się czasem wręcz na cuda, a drzemie na codzień, ogarnia tylko Polskę od Tatr do Bałtyku. A Polska jest większa. Daleko większa. I ta wielka Polska jest tak samo

23

ra kochania, ta wielka, zamorska Polska, do której iść eba.

— Pan myśli o koloniach?

— Nie. Po prostu myślę o Polakach poza Polską i myślę ;ć często o tym, że nie z własnej winy są oni poza Polską.

wszystko.

Nie chciał mówić więcej. Kiedyś jakby nawiązując do tej mowy powiedział:

— Polska w pewnym sensie jest tam, gdzie dociera polska śl, polska książka na przykład, i polski towar. Francuzi mają Warszawie wiele ksiązek, wystawiają sztuki w naszych tea-ch i sprzedają swoje towary na naszym rynku. Chciałbym lyśmy sobie to samo zorganizowali w Brazylii. To nie jest ani lOirczość ani kolonializm. To jest normalne prawo narodu do Dowania, na przykład brazylijskiej kawy bez pośrednika jondynu i nie za dewizy, a za nasze towary. W Brazylii są :ecież Polacy i na nich trzeba liczyć.

Zamilkł. Z kasyna dochodził gwar. Jerzy zapatrzył się w Dhila.

— Nasz pionier trzebił dżunglę w Paranie, nasz robotnik, cuje w kopalniach w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej. Polak Rogoziński opisał Kamerun, Beniowski był królem Madagaskaru, Motyliński pierwszy zdobył Hogar, Arciszewski zdobywał Brazylię, a w nowszych czasach cud techniki, z Santos do Sao Paulo budowali polscy inżynierowie. Tak, ... umiemy się zdobyć na maksimum pracy, umiemy twoić w Ameryce, Afryce czy Azji cuda, które potem stają się podstawą dla cudzych organizacji państwowych. Z takich jak I, którzy tu w kraju nie mają nic do roboty a mogą działać więcej nad odrabianie „kawałków” po biurach, tworzy się wędznie kadry odkrywców nowych możliwości... U nas nie;y panuje przesąd: -byle być razem, w biedzie, ale razem, glik wysłała syna do Australii — u nas, gdy synek ma wyjechać do Wiednia na studia, mamusia uważa, że biedactwo ułbi się na szerokim świecie.

— To los chyba zrządził, że ja pana spotkałem! — zawołał Drański.

Uśmiechnęli się do siebie.

VIII

Nad rozspanym Lubrańskim stał Wiechowicz i potrząsał nim z całej mocy.

— A to śpi.

— Jeszcze mu do cna wino nie wywietrzało — dorzucił ktoś z obecnych w przedziale.

— Wstawajcie kolego, dojeżdżamy do Warszawy. Lubrański przebudził się wreszcie.

— Pogratulować snu — roześmiał się Wiechowicz. Lubrański spojrzał na roześmiane twarze kolegów.

— Skąd ja się wziąłem w pociągu? Huragan śmiechu wybuchł w odpowiedzi.

— Co prawda to prawda. Rezerwa zęgnęła pułk jak przystało, ale pana to ani rusz nie można było oderwać od piersi Żabkiewicza. No, dobrze, że pan się obudził, bo oto i Warszawa.

Pożegnali się na dworcu, obiecali do siebie zatelefonować i rozeszli się.

Lubrański wsiadł do taksówki.

Przed bramą swego domu natknął się na paru oficerów, zaszalutował i pomyślał:

— Za godzinę będę znów cywilem.

Ogarnęła go tęsknota za lasem, za kolegami z pułku, za niefrasobliwym życiem. Jutro trzeba iść znów do banku, trzeba się starać o aplikaturę w sądzie, tak rozłożyć czas, aby móc w ogóle aplikować i jednocześnie pracować w banku. Trzeba będzie znów ciuć grosz do grosza.

Zapłacił szoferowi i wszedł na górę.

Ciotka przywitała go serdecznie, ale jak zwykle, o nic nie pytała.

Zdjął mundur, popatrzył nań z pewnym rozrzewieniem, wyjął z szafy cywilny garnitur, wykapał się i przebrał. Było mu jakoś nieswojo. Długie spodnie zawadzały, wycięcie marynarki przy szyi sprawiało wrażenie negliżu.

Po obiedzie zaszedł do banku. Panna Lilka przywitała go dość mile.

25

Pokręcił się po biurze, jakoś nie mógł się zorientować swym normalnym trybie pracy.

Jak w pierwszych dniach po wakacjach w szkole — pomyślał.

Kto tam dzisiaj jest oficerem inspekcyjnym? — myślał ilej — oj, będą oni teraz mieli służby, jeden po drugim, gdy uzerwą wyjechała.

Do pokoju weszła jedna z urzędniczek.

— Pan dyrektor prosi pana do siebie.

Udał się do swego przełożonego. Rozmawiali z sobą pół godziny, po czym Jerzy szybko wyszedł z banku i dopiero na Licy zdał sobie sprawę z tego, co się stało.

;— Straciłem posadę.

Bank zbytnio się był rozbudował i należało przeprowadzić redukcje personelu. Lubrański prowadził referat w dziale stażystycznym, który wskutek nowej organizacji miał być zredukowany do minimum.

Szedł szybko przez ulicę, doszedł do parku, usiadł na ławce, 3 chwili zerwał się i prawie biegiem wpadł do kawiarni. Miał iejasne przecucie, że spotka Dhila, musiał się przed kimś wy-idać, poradzić. Ciotce, której fundusze były dość skromne, nie iciał nawet wspominać o stracie posady.

W kawiarni usadowił się na miejscu, gdzie po raz pierwszy edział z Wiechowiczem, i zamówiwszy szklankę herbaty roz-rażał:

— Wymówił mi na trzy miesiące. Innymi słowy, dopiero za |zy miesiące będę na bruku. Od jutra trzeba iść normalnie do anku i jednocześnie szukać czegoś nowego. Byle przebrnąć rzeż aplikanturę.

Myślał intensywnie. Przez parę chwil zatarło się wspomnie-ie dnia wczorajszego — pułku, to co go wyłącznie interesowało rzeż ostatnie tygodnie, nagle stało się odległe, jakby obce, nie-;totne, nawet mało ciekawe. Miał przed sobą zagadkową przy-słość, mnóstwo znaków zapytania do rostrzygnięcia, do prze-nalizowania. Brutalnie, z leśnej sielanki, życie wprowadzało go nów w swój męczący labirynt.

Dhil nie przychodził.

Poczekał do drugiej godziny i poszedł do domu.

Zjadł obiad z panią Dykowską prawie nie rozmawiając z nią

|

Jakże inaczej wyglądały obiady w rojnym i gwarnym kasynie oficerskim.

Jerzy nie mógł usiedzieć na miejscu. Wyszedł z domu, ale, gdy znalazł się na ulicy, nie wiedział co począć z czasem.

Szedł wolno, bez celu i, sam nie wiedząc jak, znalazł się znów w kawiarni. Po raz drugi tego dnia.

Usiadł przy stoliku, zamówił pół czarnej i bezmyślnym wzrokiem wodził po zatłoczonej sali. Muzyka grała jakieś melancholijne tango. Jerzemu było coraz smutniej, coraz bardziej ponuro patrzył w swoją niewesołą przeszłość.

— Jak ja mam właściwie teraz żyć? — powtarzał sobie w duchu raz po raz.

IX

I wszystko stało się nagle. Jerzy spotkał Dhila na ulicy. Rozgadali się. Lubrański opowiedział o swych kłopotach.

— Drogi panie, ot co — wyjeżdżam do Brazylii, niech pan jedzie ze mną.

— Ale za co?

— Ma pan paręset złotych?

— Tyle jeszcze mam.

— To dobrze. Za tydzień od dziś spotkamy się przy wieczornym pociągu jadącym do Gdyni.

Niech pan postara się o paszport. Ja przez ten tydzień będę na wsi pod Lublinem, gdzie obecnie mieszkają moi rodzice. Przed rozłąką chciałbym być cały czas z nimi.

— Ale...

— Decyduje się pan na twarde życie marynarza?

— Tak.

— W takim razie załatwione. Gdyby formalności paszportowe- zajęły panu więcej czasu, proszę zatelegrafować. Oto mój adres.

Gdy Jerzy został sam, pomyślał:

Tak wygląda człowiek stanowczy. Ten wie, czego chce. Co la być, niech będzie — jadę z Dhilem.

Zakrzętała się szybko, otrzymał paszport, pożegnał się z ciot-ą, która po cichu łykała łzy widząc Jerzego gotowego do drogi, oeciwiina dała siostrzeńcowi medalionik ze świętą Teresą, tro-nę grosza i pobłogosławiła na drogę.

Umówionego dnia-Jerzy, z biletem w ręku, stał przy pociągu.

Dhil nie przychodził.

— Czyżby zażartował?

Złajał się za samo przypuszczenie. Dhil nie narażałby go na oszty i stratę czasu. Czekał cierpliwie. Kupił paczkę papierosów, gazetę, jedno drugie pismo ilustrowane i z niecierpliwością patrzył na zegar, o znów na drzwi wejściowe.

Dhil, nie śpiesząc się, przyszedł na parę minut przed odejciem pociągu.

— Bałem się trochę, że się pan spóźni — powitał go Jerzy. — Jak dotychczas nigdy mi się to nie zdarzyło.

Zajęli miejsca w wagonie trzeciej klasy.

— Jesteśmy sami. Jeżeli tak dalej pójdzie, to się nieźle prze-pimy — powiedział Dhil — a teraz drogi panie, musimy sobie mówić „ty”. Dwaj marynarze, ludzie prości, tytułujący się Iwornie, to jakoś nie uchodzi.

— Z największą przyjemnością, ale cóż, ja mój mistrzu — lowicjusz...

— Istotnie, jest pan w całym tego słowa znaczeniu „gringo”. Wyciągnął manierkę — przepili do siebie.

— Na imię mi Andrzej.

— A mnie Jerzy.

Ucałowali się. W tej chwili chciała się wtoczyć do przedziału jakaś przysadzista jejmość, zobaczywszy jednak manierkę i czułości dwóch mężczyzn cofnęła się.

Przyjaciele spali całą noc.

Gdynia powitała ich mroźnym powiewem. Ze stacji, na której zostawili walizki, udali się wprost do portu.

— Coś mało statków — zaklął Andrzej. — Ale na razie to grunt wy dostać dla ciebie książeczkę marynarską.

Jerzy stał na molo jak gdyby urzeczonej. — Wiesz Andrzeju, ja nigdy nie widziałem morza. Toń była szara, mętna, spokojna, ale na Jerzym robiła wrażenie czegoś majestatycznego.

— Co tam, nie takie cuda zobaczysz.

Andrzej pociągnął towarzysza i wolnym krokiem wrócili do miasta.

Staną przed kapitanatem portu.

— No, w imię Boże. Weszli.

Dhil pokazał swą książeczkę marynarską urzędnikowi, ten obejrzał ją starannie, sprawdził czy podpisy pod „przyjęty na statek” i „zwolniony ze statku” są identyczne, i zapytał dość szorstko.

— Chcecie się zaciągnąć?

— Tak. Na jakiś statek idący do Brazylii.

— Nie ma.

— Może będzie?

— Chodzą „Chargery”, ale te mają zawsze obsługę w komplecie.

— A towarowe?

— Z Brazylii? Rzadkie ptaki.

— Jakoś się poradzi. — Dhil wskazał na Lubrańskiego. — Ten także chciałby się zaciągnąć.

— Chciałby — przedrzeźniał urzędnik — a wojsko w porządku?

— Jestem ofi... — Jerzy nie dokończył, że jest oficerem, bo Dhil kopnął go dość boleśnie w łydkę.

— On ma paszport zagraniczny. Nie chodzi więc o możliwość wyjazdu, bo mógłby jechać przez każdy punkt graniczny, chodzi o pracę.

— A służyliście już na statku? — zapytał urzędnik Jerzego.

— To mój znajomy — uprzedził odpowiedź Dhil — był już raz na pokładzie, ale głupi, zaświadczenia nie wziął i teraz książeczki nie ma.

— Może zwiął ze statku? Znamy takich — mruknął urzędnik.

— Nie — ja to panu mówię. Rozmowa przeciągała się.

29

— Nic wam nie poradzę, jedźcie do Wejherowa. Na ulicy Jerzy zasępił się.

— Masz ze mną kłopoty.

— Głupstwo.

Wracali na stację. Dhil kupił dwa bilety do Gdańska.

— Nie do Wejherowa? — zdziwił się Jerzy.

— W Gdańsku są też władze polskie, a miasto jest, jak lesz, portem. Może nam się uda dwie pieczenie upiec przy :dnym ogniu.

— Dlaczego oni — pytał Lubrański — robią takie trudności książką marynarską?

— Książka marynarska to paszport zagraniczny.

— Więc po co kazałeś mi wyrobić sobie paszport?

— Bo książka żeglarska upoważnia jedynie do przebywania w portach, a my chcemy zwiedzić wnętrze Brazylii. Robią zaś trudności, bp jest to nie tylko paszport, ale i poświadczenie, że posiadacz jest marynarzem.

—| Ja się na okręcie zbłążnię pierwszego dnia.

— Nie bój się Jurku, jakoś to będzie, byle się na okręt dostać.

Tak rozmawiając dojechali do Gdańska.

Pojechali do portu, ale okrętu idącego do Brazylii nie było; zaszli więc do oddziału morskiego polskiego komisariatu, gdzie powtórzyła się mniej więcej ta sama rozmowa co w Gdyni.

Lubrański był zrozpaczony.

— Trudno, wrócę do Warszawy, a ty jedź...

W odpowiedzi Dhil zwymyślał go po marynarsku.

— Nie takie trudności będziemy mieli do zwalczania, grunt nie przejmować się.

W hallu Lubrański usłyszał, że ktoś zawołał go po nazwisku. Odwrócił się.

Przed nim stał młody podchorąży rezerwy, który był z nimi tego roku na ćwiczeniach.

— Pan tu pracuje? — zapytał Jerzy.

— Tak. W wydziale morskim. Dhil podszedł do urzędnika. —| Nazwisko moje Dhil.

— Jestem Łukasz i znam pana porucznika.

— Prawda — zawołał Dhil — cywilne ubranie zmienia. Zaczęli rozmawiać o ćwiczeniach, potem Dhil dyplomatycznie skreślił na ich pobyt w Gdańsku.

— Co panowie robicie w Gdańsku? — zapytał wreszcie Łukasz.

— Może byśmy gdzie usiedli — wtrącił Dhil — albo jeszcze lepiej, chodźcie do „Piwnicy Radców”. Zjemy obiad.

Zaczekali do przerwy obiadowej i poszli.

Dopiero podczas deseru Dhil wyłuszczył sprawę. Łukasz pokręcił głową.

—| Właściwie trzeba do Wejherowa.

— A niewłaściwie?

— Proszę o paszport — zwrócił się Łukasz do Lubrańskiego —

31

I

o trzy fotografie, a teraz pod moje dyktando zechce pan napiąć podanie.

Kelner przyniósł papier i atrament.

Jerzy pisał.

—| Przyjdziecie panowie jutro rano do biura, zobaczymy, co ię da zrobić.

Pożegnali się.

Nazajutrz już z samego rana stawili się w komisariacie.

— Oto pana książeczka, drogi kolego, a dziś ja panów proszę ia obiad; będę czekał w „Piwnicy Radców” o wpół do drugiej — iowiedział Łukasz.

Na ulicy Lubrański roześmiał się.

— Z czego się śmiejesz?

— Dobry chłop ten Łukasz, książeczkę dał i jeszcze na obiad >rosi, nie chce, żeby mu fundować. A swoją drogą, Polacy to Iziwny naród. On za dużo pieniędzy nie ma |— my też goli, i przyjmujemy się nawzajem jak udzielni książęta.

Po obiedzie pożegnali się serdecznie z Łukaszem i wrócili do 5dyni.

Przyjechali wieczorem, zabrali swoje walizki i przenieśli się : całym swym ruchomym dobytkiem do portowego hoteliku; ibrali się bardzo skromnie i zeszli do sali jadalnej, gdzie nieco !alszywie wygrywała katarynka.

Panował tu wielojęzyczny gwar.

Dhil podciągnął spodnie. Jerzy go naśladował. Usiedli przy itoliku.

— A schowaj no te białe łapy w kieszeń — mruknął Dhil — >ne zanadto świadczą, żeś nigdy nie był marynarzem.

Ferzy i Andrzej bawili już piąty dzień w Gdyni, a nic nie zwia-itowało możliwości wyjazdu.

Jerzy popadł w stan przygnębienia — Właściwie ta Gdynia, to jeszcze bardzo mały port.

— Znaczą się znalazł — roześmiał się Andrzej. Udali się do portu.

Przy wewnętrznym molo stał mały stateczek towarowy i brał drzewo.

— Tego kalosza wczoraj tu jeszcze nie było — zauważył Dhil.

Koło statku, na molo, stał jakiś barczysty jegomość w ubraniu, które prawdopodobnie było podobne do munduru podoficera floty handlowej. Jegomość klął po francusku, że aż ciarki przechodziły.

— Co panu? — zapytał poprawną francuszczyzną Andrzej. — Z obsługi dał kto nura?

Barczysty ustał na chwilę w wymyślaniu.

— A pana co to obchodzi?

—| Ja nic... tylko tak przez sympatię.

— A właśnie —| odszczeknął — sympatia, sympatia, a jak co do czego, to... et... —| machnął ręką — a żeby pan wiedział, że uciekł, drapichrust jeden.

—• A mało to marynarzy na świecie, po co sobie nerwy szarpać?

— A pan kto?

— Ja? marynarz i on też — wskazał na Jerzego. — A dokąd ten statek idzie?

— Hawr.

— Pojedziemy.

Barczysty spojrział podejrzliwie.

— Książeczki? -Są.

Pokazali swoje dokumenty marynarskie.

— To dobrze, żeście się nawinęli, po polsku nie mówię, to i wolę mieć takich, co znają francuski. —| A ty? — zwrócił się do Jerzego — rozumiesz?

— Tak, rozumiem.

— To i chodźcie.

Weszli po huśtającej się kładce na pokład.

|—| Tu, podpiszcie się — powiedział barczysty — a teraz oddajcie książeczki. W Hawrze dostaniecie je z powrotem. Będziecie z nami wracać, to i dobrze, nie — to zostanieie w Hawrze,

3 Przez morza 1 dżungle

33

tam znajdę marynarzy, ilu zechcę. A teraz jazda po rzeczy i wracać mi tu prędko do roBoty. Obaj towarzysze zeszli ze statku.

— Dobry kawał — śmiał się Jerzy. — Pierwszy raz w życiu byłem na statku i to z miejsca w roli marynarza. Ale Andrzeju, gadaj — po co my do Hawru?

— Bo stamtąd łatwiej się dostaniemy na jakiś statek, który idzie do Ameryki, a jak nie, to do Bordeaux, stamtąd zaś jest tyle okazji do Brazylii, ile tylko dusza zapragnie. Będziemy wiecznie w Gdyni siedzieć?

Zapłacili rachunek w hoteliku, wzięli walizy na plecy i pomaszerowali do portu. .

— W naszym apartamencie trochę przykro pachnie — powiedział Jerzy, kładąc swą walizkę na koi w kasztele marynarskim, na dziobie statku.

— Zatkaj nos albo go w ogóle obetnij, oszczędzi ci to dużo zawodów i przykrości w twojej nowej karierze.

Wyszli na pokład.

— Nazywać mnie będziecie panem Bodin — mruknął w ich stronę barczysty podoficer — a teraz marsz, uważać mi, jak belki będą wjeżdżały. Żeby mi je równo układać — dodał tonem pogrózki.

Zsunęli się na spód statku i w pocie czoła zaczęli układać ciężkie belki z drzewa.

Wieczorem tego dnia Jerzy Lubrański nie czuł zaduchu; jeszcze się całkiem nie rozebrał, gdy już spał. Obudził się z pęcherzami na dłoniach, ale mimo to z jakąś pasją stanął na nowo do pracy.

Pan Bodin patrzył na obu nowo zaciągniętych spode łba, wieczorem jednak, po ukończonej pracy, odezwał się:

— Dobrze z was chłopaki; robotni jesteście, to i możecie wyjść na ląd. Ale przed północą być mi na statku. Jutro rano ruszamy w drogę.

— Wyjść możemy, aleśmy nie ciekawi, Gdynię znamy; gdyby jednak pan, panie Bodin, zechciał z nami wypić buteleczkę wina, to co innego — proponował układnie Dhill.

Bodin spojrział na nich obu, bacznie rozejrzał się, czy go nie słyszy któryś z oficerów, i mruknął cicho:

34

— Ano dobrze, mogę pójść. Zaczekajcie na mnie za tym barakiem — wskazał zabudowania firmy „Robur”.

W kwadrans później maszerowali w trójkę do jednej z lepszych oberż marynarskich. Bodin dziwował się Gdyni.

— Rośnie, trzeba to powiedzieć, jak grzyb po deszczu. Ile razy przypląnę, widzę coś nowego. Weszli do zadymionego lokalu, a gdy wychodzili, Bodin szedł krokiem bardzo chwiejnym i trzymając się obu chłopców mrucał:

— Vive la Pologne! dobrze wychowane chłopaki, znają się na grzeczności.

Roztkliwił się, zaczął coś śpiewać w tak wykoszlawionej gwarze, że choć Jerzy i Andrzej dobrze znali język francuski, nie zrozumieli ani słowa.

Dopiero tuż przed wejściem na statek Bodin nagle wytrzeźwiał. Kazał nowym marynarzom poczekać chwilę, sam wszedł pierwszy i niezwłocznie udał się do swej kajuty.

Andrzej i Jerzy weszli w parę chwil później i od razu udali się na spoczynek.

Nazajutrz o świcie statek wyszedł z portu.

Zacząła się zwykła krzątania, opatrywanie lin, bielenie części metalowych, szorowanie pokładu.

Andrzej siedział na swej pryczy i tłumaczył Jerzemu zasady sterowania:

— Oficer powie ci, przypuścimy „Siid West 30” — co zrobisz?

— Będę uważał, aby linia w rondelku zgadzała się z tym kursem.

— Uważaj przede wszystkim, abyś za mocno nie machał sterem, daj czas, aby okręt sam „nadszedł” na kurs i patrz, skąd idą fale. Jak cię będzie rzucać na „bambort”, to wal na „tribort” i odwrotnie.

Wrysował mu różę kompasu i tłumaczył dalej:

— Już to obrobiłem z Bodinem, że na pierwszy raz ja pójdę do steru, a ty sobie staniesz koło mnie, niby to jako rezerwa. Powiedziałem mu, że ty doskonale sterujesz, a ja niby nie jestem dość pewny siebie. Mam wachtę z tym młodym porucznikiem.

35

obiecał, że cię z pomostku nie wyrzuci, to ci tam resztę wytłumaczę. A potem ty masz wachtę z tym drugim, to znów

z tobą pójdę, no i jakoś będzie. Bogu dzięki, morze jak po iwie, to się łatwiej nauczysz. »
Wybił dzwon.

— Czas na nas.

Weszli na pomostek. Andrzej zluzował jakiegoś atletę o zajętej wardze, młody oficer otulony w płaszcz zauważył Jerzego.

— A ty tu co?

— Ja... ja... chciałem...

— Wynosić się. Lubrański zeszedł na dół.

W parę godzin później wypadła kolej na Jerzego.

Wszedł na górę, stanął przy sterze i spojrzał na tabliczkę wypisanym na niej kursem. Szarpnął sterem, okręt zachybotał Iniej. Oficer odwrócił się i huknął:

— Marynarz jesteś czy osioł?

Jerzy zbladł. Wyteżył całą uwagę i wpatrzony w kompas wy-iwnywał kurs. Na pomostek wszedł kapitan.

— Panie poruczniku, zmieni pan kurs o dwa „rumby” na „schód”.

Oficer „wydał komendę, zapisał nowy kurs na tabliczce. Jerzy rzekręcił sterem, ale akurat w przeciwnym kierunku niż nale-ało.

W tej chwili usłyszał gdzieś z dołu cichy szept:

— W odwrotną stronę — nie tak silnie. Oficer obejrzał się i popatrzył podejrzliwie.

Jerzy, czerwony z wysiłku i emocji, przekręcił sterem.

— Nie szarp tak gwałtownie — tym razem już wyraźniej słyszał głos Dhila.

Porucznik odwrócił się, odszedł parę kroków, spojrzał w dół zobaczył Andrzeja, który wcisnął się w kąt za przepierzeniem.

— A ty czego tu chcesz?

Andrzej, jak niepyszny, zgramolił się z pomostku.

Jerzy skupił się. Całą siłą woli skoncentrował uwagę na kom-asie. Z największym spokojem, na jaki się mógł zdobyć, zaczął ówno sterować kołem.

w

Po chwili wszedł na pomostek Bodin. Popatrzył na Lubrań-skiego, jak gdyby lustrując jego robotę, pogadał coś z porucznikiem i zeszedł.

Na dole czekał Dhil.

— No i co?

— Co ma być? Takiś to ty? To tobie się zdaje, że ja, stary szczur morski, dam się wam, żółtodziobom wziąć na kawał? Tobie się zdaje, że wy Bodina podejdziecie? A czemuż to tak cię ciekawi sterowanie twojego kolegi, skoro sam mi mówiłeś, że on lepiej od ciebie okręt prowadzi? Ja was znam. Stary kawał.

— Panie Bodin, pan jest bardzo mądrym człowiekiem, ale niech mi pan powie...

— Co mam powiedzieć, będą z niego ludzie.

— Tak?... — ucieszył się Andrzej — no to w Hawrze oblejemy.

Bodin poklepał go protekcyjnie po ramieniu.

— Niezłe z was chłopaki, chętnie się wami zaopiekuję. Zapalił fajkę i odszedł.

Po skończonym dyżurze Jerzy przez trzy godziny opowiadał Andrzejowi swoje wrażenia.

Był tak dumny, że z trudnością mimo zmęczenia usnął.

XI

— Pech nas prześladowuje z tą Brazylią czy co, u licha — mówił Andrzej do Jerzego.

Szli wąską, krętą uliczką portową w Hawrze.

— A tak. Cośmy u poczciwego Bodina zarobili, tośmy z nim uczciwie przepili, a teraz choć głową tłucz o mur. Bodin nie pomógł, trzeba będzie chyba wracać na tym pudle do Gdyni.

Dziura, nie port, ten Hawr — odparł Jerzy.

Szli dalej w milczeniu, nagle Jerzy przypomniał sobie:

— Wczoraj słyszałem „Pod Kogutem”, że na jakimś grucho-cie, który idzie do Haiti, szukają marynarzy.

— A do Honolulu wakatów nie ma?

— Ojej, jakiś ty dowcipny. Poszli do doków „French Linę”.

— Patrz no, przyjechał pociąg z Paryża z pasażerami na „Ile es Fleurs”.

— Niebrzydki stateczek, do naszego pudła nie bardzo podobny, co?

—| Dobryś, jeden z najpiękniejszych okrętów świata.

Stanęli w hangarze i patrzyli na wysiadających z wagonów. Walizy zabierali tragarze wprost na okręt. Pasażerowie przechodzili obok stołów, gdzie urzędnicy sprawdzali bilety, a po-
em wygodnymi schodami, na których stała szpalerem w galo-/ych mundurach służba, wchodzili do hallu statku, gdzie grała

rkiestra.

— Widzisz, nędzna stworo, jak to państwo jeżdżą? — powie-
tział Andrzej.

— A no widzę, ekscelencjo — westchnął Jerzy. Mimo nich przeszedł robotnik i potracił Dhila kufrem.

Stali dobrą chwilę, nagle Jerzy pociągnął towarzysza za rę-:aw.

— Patrz.

— Co się stało?

— Jaka ładna panna.

Minęła ich młoda, bardzo gustownie ubrana osoba. Lubrański wytrzeszczył oczy.

— Zgubisz gały — zgromił go Andrzej i odciągnął na bok. — Sfic tu nie wystoimy.

Przeszli na drugą stronę ulicy i spotkali Bodina.

— No i co chłopcy? Powiadani wam, pływicie ze mną z powrotem. Źle wam było, co?

— Tłumaczyłem przecież, że chcemy do Brazylii.

— Po co? Nie wszystiko jedno, gdzie się tłuc?

— Mamy w Rio de Janeiro narzeczone, chcemy je odwiedzić i zapytać, jak się im powodzi.

Bodin roześmiał się rubasznie.

— A tu jak na złość, na wszystkich statkach do Brazylii jest komplet — skarżył się Jerzy.

— Pchajcie się do Bordeaux.

— Komplet.

— No, to do Nowego Jorku. Stamtąd często chodzą statki po kawę do Brazylii. Albo jedźcie do Hamburga, stamtąd też może się trafić okazja.

— Bo ja wiem — odpowiedział Andrzej jakby niezdecydowany.

— Słuchaj, wielka rzecz Nowy Jork. Najwyżej tydzień pływ-by, pasażerskim nawet tylko pięć dni — zapalił się nagle Jerzy — a przynajmniej zobaczymy Amerykę. Ostatecznie Brazylia nie zając, nie ucieknie.

— Prędko się opierzyłeś, piskłę marynarskie. — Bodin śmiał się ze swego dowcipu. — Ale chodźcie, zaprowadzę was do biura „French Linę”, mam tam brata żony, może co poradzi.

— Ano, chodźmy.

Bodin deklamował po drodze:

— Już taki jestem; jak mam pełen brzuch czyjegoś wina, tom jego przyjaciel, i co tylko mogę to zrobię.

W biurze rozpoczęła się walna narada. Trwała dość krótko, bo do brata żony pana Bodina zawołał jakiś urzędnik:

— Kilku z obsługi „Ile des Fleurs” upiło się i zrobiło burdę. Natychmiast dać zastępców. Kto pod ręką. Okręt pod parą, za godzinę rusza.

—| Staram się być zawsze przezorny — odpowiedział skromnie brat żony pana Bodina, ale nie mógł skończyć, bo urzędnik szybko wyszedł.

— To się nazywa mieć szczęście! — zawołał Bodin i sam, we własnej osobie, wyskoczył na ulicę, zatrzymał przejeżdżające auto, do którego wsiadli brat jego żony oraz Dhil i Lubrański. Po drodze zajęchali po swój skromny dobytek i pożegnawszy Bodina bardzo serdecznie udali się w towarzystwie jego szwagra na „Ile des Fleurs”.

Jakiś podoficer zabrał ich marynarskie książeczki.

— Przydzielam was do drugiej zmiany. Waszym przełożonym jest pan Favre. Hej tam, Favre, masz tu dwóch ludzi na miejsce tych gałganów, protegowani Bodina.

Favre zlustrował nowych podwładnych.

— Chodźcie do magazynu, dam wam zapasowe mundury, tak można łązić po towarowcu, ale nie tu, tu jest szyk.

Gdy okręt odbijał od brzegu, Andrzej i Jerzy w marynarskich mundurach wyszli na górny pokład.

— Pa... Europo, do widzenia! — zawołał Jerzy.

— Ten Favre zdaje się być, na nasze nieszczęście, abstynentem. To nie to, co poezciwina Bodin — westchnął Andrzej — zobaczysz, że te portki ze mnie zlecą. Na jakiegoś wielkoluda szyte. Nie lubię pasażerskich statków i tych liberii.

— Wybredny jesteś.

— Ty Jurku, naprawdę zaczynasz się opierzać.

— Jazda — zabrzmiał nad nimi głos pana Favre — do roboty! Druga wachta obejmowała służbę.

40

Był wieczór drugiego dnia podróży. Jerzy i Andrzej siedzieli przy stole i jedli obiad. Obok nich francuscy koledzy nie rozumieli ich języka, a najbliższy sąsiad Andrzeja, czarny jak noc Senegalczyk, szczyrzył lśniące, białe zęby i wołał do obecnych:

— Trudną mową gadają.

Po obiedzie usiedli w kącie we dwóch i zapalili fajki. Okręt lekko kołysał.

— Wiesz, Andrzeju, powiem ci, że jestem rad z tej jazdy, ale to, co mi mówiłeś, że nasza włóczęga może się kiedyś przydać, to nonsens. Kupcy, ludzie bogaci, robią handel zamorski, a tacy jak my mogą być co najwyżej marynarzami.

— Niemądry jesteś Jurku. Pomyśl sam: jak Polska zacznie prowadzić handel morski, to kto będzie pracował? Kto będzie na przykład agentem w obcym porcie? Myślisz, że dadzą radę kawiarniane typy albo porządne chłopaki, które jednak za ma-miny fartuszek nosa nie wyściubiły? Nie bracie — na świecie potrzeba ludzi, którzy ten świat i jego zwyczaje znają, którzy umieją się z innymi ludźmi dogadać. Pomyśl, marny w Brazylii ileś tam dostatnich gospodarstw chłopskich, a narzędzia rolnicze? Wiesz jakich używają?

— Nie wiem.

— Niemieckich. Bo zaden Polak nie przyjechał i nie sprzedał polskiemu chłopu polskiej kosy czy sierpa. Nikt od niego nie kupił kawy czy herba matę. Tak to jest. Widzisz, jak kilku Japończyków mieszka w mieście, w Brazylii, to pomiędzy nimi jest na pewno kupiec, oni się nawet przestają myć, gdy nie ma japońskiego mydła. Tacy już są...

— Słuchaj Andrzeju, czy ty myślisz, że u nas naprawdę nie ma innej rady, że zawsze część chłopów będzie musiała emigrować?

— To inna sprawa. Nie zapominaj jednak, że to nie Polska odpowiada za nędzę wsi galicyjskiej i za lata dziewięćdziesiąte ubiegłego wieku. A wtedy poszła największa fala emigracyjna. Ona wrosła w Brazylię i teraz trzeba ją wykorzystać do celów naszego handlu. Rozumiesz?

Lubrański może nie był zupełnie przekonany, może chciał się trochę podroczyć z przyjacielem, bo powiedział:

— Powłóczyć się miła rzecz, ale mimo to wątpię...

41

— jA. tak, wątpić to każdy potrafi, mazgajem być też nie sztuka. Oczywiście, wygodniej jest siedzieć na miejscu, nie robić nic albo tylko tyle, ile potrzeba, aby czymś czas zabić. Ale ja tego nie potrafię. Zasklepić się w kołowrotku bezmyślnych codziennych zajęć, a dla rozrywki patrzeć, jak takie same osły jak ja grają w bilard; to dobre dla matolek. Masz taką samą Wadę, jak dzisiejsza młodzież — brak ci wytrwałości. Przecież dopiero zaczynamy naszą karierę. Poznamy Brazylię...

—]Sfa razie jedziemy do Stanów Zjednoczonych.

_jA. więc poznamy przedtem Stany. Popracujemy sobie w fabrykach, zobaczymy, jak żyją nasi wychodźcy, a potem znów Brazylii(? spenetrujemy i na własne oczy zobaczymy, jak to jest w Paranie. Nie bój się, wrócisz do kraju na pewno mądrzejszy niżliś wyjechał.

Favre zawołał Andrzeja na pomostek kapitański.

— Czy ty będziesz sterował tym kolosem? — zapytał z lekką obawą o własny los Jerzy.

— E, chyba nie, tu sternicy inna branża. Gość tam pewnie dadzą porządniejszego do roboty. |Wyszedł szybko.

Favre zwrócił się do Jerzego.

— przejdiesz przez dek spacerowy pierwszej klasy. Gdybyś zauważył jakieś śmiecie, uprzątniesz. Zobacz czy wszystko w porządku. Teraz pasażerowie spożywają obiad, więc dek jest pusty. Zimno jes* zresztą, więc mało kto tam chodzi, ale jakbyś zobaczył leżaki powysuwane, to wyrównaj, potem, możesz wrócić. Dyżur na pomostku masz o północy. Jerzy wyszedł. W labiryncie korytarzy ledwo trafił na schody wiodące na pokład. Przeszedł przez lukę towarową, wspiął się jeszcze wyżej i znów wyżej, otworzył barierę zagradzającą wejście do pierwszej klasy i zaczął obchodzić promenadę. To tu, to tam poprawił leżak, wyrzucił za burtę kawałek gazety i szedł dalej.

— Ładny spacer, idę i idę a końca wciąż nie ma.'

Był zadowolony, że Andrzej pierwszy miał służbę na pomostku.

— powie mi czy sterował — myślał z niepokojem — przecież Prowadzić takiego smoka to nie byle co. Nie dałbym rady...

IZ '

a może właśnie dałbym radę — pocieszał się — albo to święci garnki lepią?

Szedł dalej i natknął się na jakąś damę otuloną w futro.

Uklonił się. Niewiasta przystanąła.

— Mógłby mi pan objaśnić — przemówiła po angielsku — do czego służy ta lina, którą okręt wlecze za sobą?

Jerzy zaczerwienił się. Poznał ową ładną pannę, którą zauważył w dokach.

— Jest to „log”, proszę pani.

— To mi niewiele wyjaśniło — roześmiała się.

— Log jest to przyrząd do mierzenia szybkości biegu okrętu. — Jerzy usiłował wysławiać się jak najbardziej poprawną angielszczyzną.

— Mam jeszcze jedno zapytanie — odezwała się panna — niech pan mi, proszę, powie, po co wy od rana do nocy malujecie łodzie ratunkowe?

Jerzy zastanowił się przez chwilę.

— A wie pani, że i ja zadaję sobie często to pytanie.

Panna zdawała się być nieco zaskoczona poufałym tonem marynarza.

— Proszę mi rozstawić leżak — powiedziała dość chłodno. Jerzy spełnił rozkaz. Młoda dama wyjęła z portmonetki monetę i wręczyła ją Lubrańskiemu.

— Dziękuję pani. W mojej ojczyźnie uczono mię, że mężczyzna powinien służyć kobiecie bezinteresownie.

Młodą pannę zaczął bawić ton marynarza.

— A w mojej uczą, by nie żądać niczego za darmo. Za pracę należy płacić.

— A za uprzejmość?

— Pan jest Francuzem?

— Nie pani. Polakiem.

— Pierwszy raz spotykam tak rycerskiego marynarza. —| Czy zdaniem pani marynarz nie może być rycerski?

— W każdym razie jest pan jakimś osobliwym marynarzem. Dawno pan służy na tym okręcie?

— Zaokrętowałem się równo w trzy kwadransy po pani.

— Jak to?

— W Hawrze wysiadła pani z pociągu z jakąś starszą panią,

43

r

która niosła na ręku małego pieska. Walizki pani są z niebieskiej, krokodylowej skóry.

— Tak...

— Stałem wtedy z moim przyjacielem w doku i proszę mi wierzyć, nie miałem pojęcia, że będę płynął na tym okręcie. Patrzyłem na panią, przyznaję. I gdy ślepy traf zrządził, że kilku marynarzy wszczęło awanturę i na ich miejsce szukano na gwałt kandydatów, jednym z nich byłem ja. Mogę panią zapewnić, że w planach moich był rejs do Brazylii. Ale...

— Więc ostatecznie czy pan jest marynarzem?

— Jestem.

Umilkła. Potem wolno wstała, zawahała się, podała mu rękę. Odeszła. Jerzy zaczął dalej obchodzić dek.

Nie ma to jak dalekie podróże —| pomyślał i gwizdząc pobiegł na dół ogrzać się przed dyżurem na pomostku.

— Gdzieś się tak długo wałęsał? — zapytał pan Favre.

— Leżaki były w okropnym nieporządku — odparł.

— Zdrzemnij się. Niedługo twój dyżur na pomoście.

XII

Słońce świeciło mocno. Pomarszczona gładź oceanu szumiała, wiał lekki, orzeźwiający wietrzyk.

Na pomostku kapitańskim stał Andrzej wpatrzony w indykator — przyrząd, który cykaniem dawał znać, ile obrotów robi maszyna. Jerzy stał opodal w rezerwie. Oprócz nich na pomoście był jeszcze sternik i oficer dyżurny.

To nie to, co na tym kaloszu wożącym drzewo z Gdyni do Hawru — myślał Jerzy.

Drzwi od kajuty kapitańskiej otworzyły się, wyszedł z nich kapitan statku, zwany na wielkich transatlantykach komendantem, w towarzystwie jakiejś starszej damy i młodej panny.

Jerzy drgnął.

Ona — pomyślał.

Młoda panna słuchała objaśnień dawanych przez komendanta, a gdy ten skończył, odezwała się:

14

— Panie komendancie, chciałam panu powinszować wyszkolonej obsługi na pańskim okręcie. Wczoraj, ten oto marynarz — wskazała Jerzego — zachował się jak prawdziwy dżentelmen.

, Kapitan uśmiechnął się z zadowoleniem.

\ — Staramy się, panno Davis, aby podróżnym na naszych statkach było jak najwygodniej, a obsługę rekrutujemy bardzo starannie, dobierając tylko najodpowiedniejszy materiał.

Dhil przypomniał sobie, jak to ich „przebierano” w Hawrze i zagryzł wargi, aby nie parsknąć śmiechem. Panna Mary Davis i jej towarzyszka odeszły.

— Po skończonej służbie zameldujesz się u mnie — powiedział komendant do Jerzego i podążył za paniami.

— Tak jest, sir — odpowiedział Jerzy, kładąc słowo „sir”, marynarskim zwyczajem, na końcu zdania.

Wieczorem, jedząc obiad, Jerzy mówił do Andrzeja:

— Uważasz, komendant powiada do mnie, że jest ze ranie zadowolony. Więc ja do niego, żeby nam w Nowym Jorku oddał książeczki marynarskie. A on powiada: „Pierwszy raz mi się zdarza, żeby ktoś po pochwale prosił mnie o dymisję”, a ja na to, że w Nowym Jorku znajdzie rodowitych Francuzów, a my chcielibyśmy w tym mieście jakiś czas pozostać. I patrz, książeczki kazał oddać, wypisał nawet pochlebne świadectwa, i po-wiadar. „Masz książeczki, twoją i tego Dhila, zarobek wypłacą wam w porcie, a jak będziecie chcieli wracać do Europy, to dowiedzcie się, czy jesteśmy w Nowym Jorku, zabiorę was z powrotem”.

— Aleś ty się spryciarzu wyrobił. A swoją drogą to musi być jakaś ważna persona ta panna, skoro jej zdanie tak u starego zaważyło.

— Myślę... Zapomniałem ci powiedzieć, mówił do mnie: „Te rozkapryszone córki amerykańskich bogaczy jeżdżą tam i z powrotem, uprzejmość obsługi to najlepsza reklama dla linii”.

— Zadowolony jestem z ciebie, Jurku. Gracko się spisałeś.

— Dziękuję ekscelencji za pochwałę. Będę się starał i w przyszłości dogodzić wymaganiom. Ale teraz poważnie, powiedz mi Andrzeju, jak to będzie w tej Ameryce; przecież tam jest prawo Johnsona, które ogranicza imigrację z Europy? Z każdego państwa wolno przecież wyjeżdżać tylko określonej liczbie osób.

45

— Mamy książeczki marynarskie.

— Wiem, ale one uprawniają nas jedynie do przebywania, r portach, a nie zarobkowania w mieście. Nie chcę cię zaś łu/ zić i twierdzić, że nasza gotówka przeliczona na dolary to mL-tek.

— Zejdziemy ze statku zupełnie legalnie. Również legalnie aczniemy szukać jakiejś skorupy pływającej do Rio de Janeiro ib Santos. A poza tym, kto nas tak od razu w tym szalonym, idzkim skupisku znajdzie? Myślę, że niedługo zabawimy w godnie u wuja Sama.

— I ja jestem tego zdania. Nie lubię pchać się tam, gdzie mnie ie chcą.

— Ciekawy kraj ta Ameryka. Przy całej swej logicznej zasadę życia Amerykanie są to ludzie nie uznający złotego środka, tają przy tym ekscentryczne pomysły... Czy ty wiesz, że oni Los Angeles założyli, ni mniej ni więcej, tylko konserwatorium wizdania?

— Innego kłopotu już nie mieli?

— Tak, tak. Pobudowali największe domy na świecie, stwo-;yli olbrzymi przemysł, powołują do życia fundacje godne na-adowania, a jednak ten ich dziecinny entuzjazm dla pewnych iraw jest naiwny. Z jakąż przesadą traktują na przykład sport? sort jest rzeczą konieczną dla rozwoju fizycznego, powiem ięcej, nawet moralnego, ale nie może zajmować naczelnego iejsca w życiu codziennym. Tymczasem Amerykanie doprowa-:ili sport do istotnych dziwactw.

— Jak to?

— Jeszcze w kraju czytałem w pismach o wynikach badań |zeprowadzonych przez Instytut Carnegiego *) na wyższych :zelniach amerykańskich. Otóż wśród stu trzydziestu kolegów uniwersytetów tylko dwadzieścia pięć nie bierze udziału we jpółzawodnictwie sportowym, inne zaś wydają parokrotnie :ęcej pieniędzy na cele sportowe niż na naukę. Doszło do ta-2go absurdu, że stypendia, które powinni otrzymywać ci, któ-y się najlepiej uczą, dostają wyłącznie asy sportowe. Mało

*) Ufundowany w Pittsburgu (USA) przez przemysłowca amerykań-ego A. Carnegie z pochodzenia Szkota.

tego, uniwersytety wspomagają finansowo uczniów szkół śred-\nich, którzy są wybitnymi sportowcami, aby tylko zapewnić ^obie, że zapiszą się oni na dany uniwersytet i wejdą w skład jogo drużyny sportowej 1). \ — To chyba trochę przesadzone.

\— I ja tak myślę. Sztuka życia polega na zachowaniu równowagi. Sam jestem zamiłowanym i niezłym sportowcem, ale przecież człowiek kulturalny musi mieć poza ćwiczeniem fizycznej izręczności jeszcze jakieś inne cele.

+— Ameryce trzeba jednak przyznać, że umiała zdobyć się na piękne gesty. Przecież w czasie wojny światowej wysyłała żywność, opiekowała się biednymi dziećmi; i u nas działał Komitet, na którego czele stał Hoover.

— Co do Hoovera to nie wiem, czy ci wiadomo, jak bardzo wpłynął na jego zainteresowanie się Polską Ignacy Paderewski.

— Wiem, co Paderewski zrobił dla nas w Ameryce, ale szczegółów nie znam.

— Przede wszystkim powiem ci, że swego czasu, gdy ogół mieszkańców Stanów Zjednoczonych mało o Polsce wiedział, adresowano listy i paczki z darami dla dzieci polskich „Do ojczyzny Paderewskiego” i posyłka taka dochodziła do Polski. Kiedy nasz wielki obywatel był już znanym wirtuozem, Hoover, studiując na uniwersytecie, piastował godność prezesa stowarzyszenia akademickiego, mającego takie same cele, jak u nas Bratnie Pomoce. Kiedyś, aby zasilić skromne fundusze Towarzystwa, Hoover zwrócił się do impresaria Paderewskiego i umówił się z nim o koncert mistrza. Nie wiem dokładnie, dlaczego, dość że koncert nie przyniósł spodziewanych zysków. Zażenowany Hoover poszedł za kulisy do Paderewskiego i wręczając mu połowę umówionej sumy, prosił go o sprolongowanie reszty wypłaty. Paderewski, gdy się dowiedział o kłopotach młodzieży, nie tylko zrezygnował ze swego honorarium, ale jeszcze wspomógł ich z własnych funduszów. Toteż, gdy dziękowano Hooverowi za jego akcję na rzecz Polski, odpowiedział: „Oddaję dług, jaki zaciągnąłem wobec Paderewskiego”.

Było to w roku 1929.

— Ale ten Hoover to, o ile wiem, „wielki wtajemniczony”.

— Jak to rozumiesz? / t — Zajmuje się filantropią, ale poza tym to tęgi rekin finansowy. Czy tak nie jest? /

— Oczywiście, że tak. Ale nie zapominaj, że jedziemy przecież do kraju tych rekinów. /

— Rekinów, ale i płotek. Podobno dzielnice murzyńskie czy :hińskie, a nawet włoskie, w Nowym Jorku to skrajna nędza.

— Zdaje się, że tak. Zresztą zobaczymy.

Do zagadanych przyjaciół podszedł pan Fawe.

— Dhil, na ciebie kolej.

i

Andrzej i Jerzy wylądowali w Nowym Jorku. Jerzy, choć brał :ię na tysięczne fortele, nie zobaczył już panny Mary. Andrzej :pił z niego i gwizdząc przepychał się w portowych dokach, gdzie :elnicy czynili sprawiedliwość i sądny dzień, szukając w kufrach jasażerów zakazanego alkoholu.

Na ulicy z przekąsem odezwał się Jerzy:

— I to ma być ów sławny Nowy Jork? Gdzież ten ruch, ;dzie te drapacze chmur?

— Nie podoba ci się Nowy Jork?

— Miasto, jak każde inne.

— Mimo że ci się tu nie podoba, trzeba pomyśleć o zakwa-erowaniu się. Rzeczy nasze zostały na okręcie, mogą tam spokojnie do jutra poleżeć...

•—! Więc jaki jest twój plan?

— Wsiądziemy do podziemnej kolei i pojedziemy na Times Square. Krzyżuje się tam sławny Broadway x) z 7-th Avenue2)

J) Najruchliwsza ulica Nowego Jorku, 30 km długa.

2) Jedna z głównych ulic Nowego Jorku. Właściwy Nowy Jork (Man-attan) dzieli się na dolne (downtown) i górne (uptown) miasto. Północne, orne miasto jest zbudowane regularnie wzdłuż biegnących z południa ii północy szerokich ulic głównych (avenues) i kolejno

numerowanych iocznic (streets) biegnących ze wschodu na zachód i łączących North liver i Itlast River.

i 44-th Street. Jest to podobno najruchliwszy punkt świata. Potem kupimy sobie gazetę, na przykład „Timesa”, i w rubryce „Room to let” — pokoje do wynajęcia — poszukamy czegoś odpowiadającego naszym skromnym wymaganiom.

— I funduszom — dodał Jerzy — ale po co właściwie mamy jechać na Times Square?

— Zęby od razu stanąć w centrum tego sławnego ruchu i gwałtu amerykańskiego.

— Jakoś nie podoba mi się to miasto.

— Poczekaj.

Zaczęli szukać zejścia do podziemnej kolei. Uszli spory kawał wśród brudnych, zaśmieconych ulic i wreszcie dotarli do stacji.

Zeszli po schodkach na dół.

— Gdzie tu się kupuje bilety?

— Gdybym to ja wiedział.

Zapytali jakiegoś śpieszącego się przechodnia.

Okazało się, że w ogóle biletów się nie kupuje, należy po prostu pięciocentową monetę, zwaną w gwarze amerykańskiej „nikiel”, wrzucić do otworu przy wejściu. Wtedy kręcący krzyżak, puszczony automatycznie ze sprężyny, pozwala na wejście jednej osoby na peron. Gdy znaleźli się po drugiej stronie bariery, Jerzy zapytał:

— Który z tych pociągów najbardziej ci się podoba?

— Przecież nie ma tu ani jednego.

— No to który z torów? Przecież jest ich kilkanaście. Jak myślisz? Gdzie tu siadać, i w którą stronę jechać? Co?

— Pleciesz głupstwa, a w dodatku zawsze wynajdujesz jakieś trudności; zaraz zapytamy się i dowiemy.

Zagadnięty jegomość wepchnął ich rubasznie do nadjeżdżającego wozu i krzyknął:

— Cztery stacje — potem trzeba się przesiąść. Pociąg ruszył z miejsca w zawrotnym tempie.

— Patrz, nawet konduktora nie ma — odezwał się Andrzej.

— A cóż, chcesz żeby kontrolował te pięciocentówki, które leżą w puszcze przy krzyżaku?

Zresztą, słyszałeś o tym, że w Ameryce praca jest droga, oszczędza się więc ją, gdzie się da.

4 Przez morza i idżungle 49

r

Na następnej stacji jakiś głęboki, basowy głos, dochodzący nie wiadomo z której strony, rozległ się w wagonie.

— Patrz Jurek, tu przez tuby radiowe zapowiadają stacje. Widocznie maszynista ma przed sobą mikrofon i woła kolejno nazwy ulic, a głośnik powtarza w każdym wagonie jego głos.

Na czwartej stacji wysiedli i popychani przez tłumy ludzi dostali się mimo swej woli na inny peron, leżący jeszcze o dwa piętra niżej pod ziemią.

— Zapytaj kogoś Andrzeju, bo my za te pięć centów jeszcze do San Francisco w Kalifornii zajedziemy.

Zaczęli się dopytywać, ale fala ludzka wyniosła ich znów na inny peron i dawniejsze informacje nie przydawały się już teraz.

— Zachciało ci się Times Square — narzekał Jerzy.

— Zachciało mi się podróżować z mazgajem — odciął się zniecierpliwiony Andrzej. —

Dojedziemy — pocieszał go.

Jerzy czuł się trochę urażony. Nie odzywał się do towarzysza. Jakieś pół godziny błakali się w milczeniu po labiryntach podziemnych, nareszcie, porządnie już zmęczeni, doszli do właściwego toru i wsiedli do nadjeżdżającego pociągu. JecKali już blisko" godzinę, a tuba nie wymieniała celu ich „podróży”.

— Musieliśmy źle wsiąść — powiedział dość chłodno Jerzy i sam zagadnął najbliższego sąsiada.

— Panowie wsiedli do pociągu lokalnego, który się zatrzymuje na każdej stacji, przy każdej ulicy. Z doków należało jechać koleją powietrzną, wysiąść przy 6-th Avenue i przejść pieszo jeden blok. Teraz jednak niech panowie wysiądą na następnej stacji, po przeciwległej stronie jest tor, po którym chodzą ekspresy. Ekspresem dojedziecie stamtąd w dziesięć minut, podczas gdy tym pociągiem trzeba by jechać jeszcze trzy kwadranse.

Nieznajomy wyszedł na pierwszej stacji, Andrzej i Jerzy wysiedli na następnej i wtoczyli się do zapchanego ekspresu, który właśnie nadjechał.

Gdy pociąg pospieszny ruszył, zdawało im się, że tego pędu, gwałtu i turkotu nikt nie wytrzyma. Współpodróżni jednak czytali spokojnie wielkie płachty gazet i niewiele sobie robili z błyskawicznie szybkiej jazdy. <

— Times Square.

50

Wyniosła ich fala ludzka i stanęli na ulicy.

— Jezus Maria! — krzyknął Jerzy.

— Co się stało?

Jerzy, zapominając, że miał do towarzysza urazę, wskazał w górę. Stali chwilę, przyparciu przez przechodniów do witryny jakiegoś sklepu, z którego dochodził donośny dźwięk orkiestry transmitowany przez głośnik radiowy, i patrzyli oniemieli w górę.

Przed nimi wznosiły się drapacze chmur, koło nich na jezdni sznurami ciągnęły sunące wolno auta. Stojąc na rogu 7-th Ave-nue i 42th Street widzieli wozy górnej kolei, pędzące z szalonym hukiem i turkotem po 6-th Avenue. Wszędzie widniały wielkie ogłoszenia. Gwar był straszliwy, bieganina, krzątania. Wszystko szło i jechało w jeden rytm, stawało na znak świetlnego sygnału, ruszało na znak w jeden zawrotnie szybki rytm mechanizmu olbrzymia.

— No... jak ci się podoba Nowy Jork? — zapytał Andrzej.

— Co?

•— Nie słyszysz?

— Nie.

— Jak ci się Nowy Jork podoba? — krzyknął Andrzej.

— Tak powinni malować piekło; jak tu właściwie chodzić?

— Ano, włączmy w tłok i drepczmy tak, jak oni.

— Ale dokąd?

— Wszystko jedno. Nauczmy się najpierw chodzić po „amerykańsku” na ulicy, bo to sztuka nie lada.

Szli Broadwayem.

Domy kilkudziesięciopiętrowe, wszędzie ten sam zawrotny ruch, ten sam hałaśliwy i nie słabnący rytm ruchu.

— Jurek, warto by zobaczyć tę sławną 5-th Avenue 1)...

— Daj mi święty spokój, nie jestem turystą, chciałbym się już znaleźć pod jakimś dachem i zjeść coś jak człowiek; gdzie my teraz będziemy szukali tej milionerskiej alei?

— Poczekaj, to wcale nie trudno. Czytałem w opisach, że Nowy Jork ma ulice i aleje numerowane, trudno się więc pomylić. Cofniemy się na 7-th Avenue i pójdziemy na prawo. posiadająca

1) Najelegantsza ulica zamieszkała przez milionerów i rozliczne kluby, pałace, kościoły, hotele.

51

Jeżeli następna przelica będzie 6-th, to znaczy, że idziemy dobrze, bo po 6-th idzie 5-th, a jeżeli 8-th, to wrócimy na 7-th i pójdziemy w odwrotnym kierunku.

— Ostatecznie, chodźmy. Zaszli na 8-th Avenue.

— Wracamy.

— Ty mnie dziś chyba zamordujesz — odezwał się Jerzy, ale i jego również zaczęła bawić ta swoista metoda poznawania miasta.

— Cierpliwością i pracą doszliśmy oto. Teraz w prawo; wedle moich spostrzeżeń, ulice przecinające tę aleję będą wzrastać, jesteśmy na 42-th Street, powinna teraz być 43-th. Tak było istotnie. Obliczenia Andrzeja okazały się trafne. Minęli 43-th Street i doszli do 55-th.

Szli bardzo wolno, oglądając po drodze wystawy sklepowe, przyglądając się bacznie przechodniom i czekając na rogach ulic, aż sygnał świetlny zatrzyma pojazdy i da pieszym możliwość posuwania się naprzód.

Na 55-th Street Jerzy stanął.

— Nie mój drogi, ani kroku dalej.

— Jeszcze kawałeczek, próżniaku — prosił Andrzej.

Doszli do hotelu Plaża, za którym rozpoczyna się Park Centralny.1)

— Chcesz może wejść do hotelu, odpocząć trochę? — zapytał Andrzej.

— Nie kpjij ze mnie. Chcesz, żeby nas wyrzucili; to jakiś pałac, nie na nasze fundusze.

— Nie bój się, w Ameryce masz zawsze prawo wejść do hotelowego hallu, usiąść w fotelu i przeczytać sobie gazetę. Amerykanie wychodzą z założenia, że nikt nie jest na tyle niemądry, aby niepotrzebnie czas trawił na wysiadaniu, ma więc prawdopodobnie jakiś interes. Nikt cię o nic nie zapyta, wiem to z pewnością. Kupimy sobie gazetę i zobaczymy, gdzie są wolne pokoje.

Gdy weszli, zachwycony Jerzy zawołał:

— Co za przepych!

Położony w środku górnego miasta.

— Ujdzie — potwierdził nonszalancko Andrzej.

W kiosku hotelowym kupili gazetę i usiedli na wygodnej kanapce.

— Ojej, ależ mnie nogi bołą, mam wrażenie, że nie będę mógł wstać.

— Nic ci nie będzie — filozofował Andrzej. — Miasto znamy — zaopiniował.

— Spodziewam się.

— A więc wiemy, jak i dokąd iść, tak czy nie? 7-th Avenue, numer 4771, koło Parku Centralnego. Tu trudno nawet zbłądzić. O, patrz, ogłoszenie. To gdzieś tu w pobliżu. Jesteśmy na 5-th Avenue, gdy minimy park, wtedy strawersujemy 6-th Avenue i już będziemy na miejscu.

— Rób, co chcesz, ja już pieszo nie pójde.

— Siądziemy do autobusu i zapytamy. Patrz, jesteśmy w szczęśliwym położeniu; znamy język. A jak nasi emigranci przyjeżdżają i ani be ani me po angielsku?

Wyszli z hotelu i wsiedli do autobusu. Konduktor przyrzekł im, że wskaże gdzie należy wysiąść.

Po dłuższej podróży autobusem i pieszo stanęli przed okazałą kamienicą zaopatrzoną w numer 4771.

— To tu — obwieścił Andrzej.

— Teraz powiedzą cenę i spadniesz ze schodów.

— Co ryzykujemy pytając?

Przyjęła ich bardzo miła kobieta, pokazała pokój o dwóch łóżkach z łazienką i gazową kuchenką umieszczoną we wnęce w ścianie. Otwierało się klapę, na której były przymocowane palniki, a w głębi wisiały garnki i stały talerze. Łóżka wraz z pościelą tak samo można było podnosić i chować w ścianie, a wtedy pokój stawał się wcale obszerny. Szafy nie było, tylko mała alkowa z wieszakami w ścianie.

— No, zapytaj, ile ten pałac kosztuje — powiedział po polsku Jerzy.

— Dziewięć dolarów na tydzień — odpowiedziała gospodyni najczystsą polszczyzną.

— Pani jest Polką? — zapytali prawie jednocześnie.

— Tak.

— Co za traf — ucieszył się Dhill.

Obaj przedstawili się i zapłacili dziewięć dolarów z góry za pierwszy tydzień.

— Sklep spożywczy jest naprzeciwko — informowała gospodyni — nie radzę panom jadać w restauracji, bo to kosztuje bardzo drogo. Lunch — posiłek południowy trzeba naturalnie spożywać na mieście, bo z pracy nikt przecie nie zdąży na godzinną przerwę do domu.

— Umiesz gotować? — zwrócił się Jerzy do Dhila.

— To nie sztuka. Dostaniecie panowie wszelkie potrawy w konserwach, tylko odgrzać i gotowe — udzielała wyjaśnień gospodyni.

Po wyjściu właścicielki mieszkania Andrzej odezwał się:

— Ponieważ jesteś zmęczony, więc ja pójdę na przystań po rzeczy, a ty idź do sklepu i przygotuj obiad.

Gospodyni raz jeszcze wróciła do pokoiku.

— A rzeczy panów?

Gdy odpowiedzieli, że chcą po nie jechać, uśmiechnęła się.

— To będzie panów drogo kosztować, bo z walizkami trzeba brać taksówkę, a to spory wydatek. Lepiej zatelefonować do biura spedycyjnego, przyślą posłańca po kwit i po paru godzinach, za niewielką stosunkowo zapłatą, dostarczą panom bagaż do mieszkania.

Na to odezwał się Jerzy:

— W takim razie, Andrzeju, ja zajmę się rzeczami, a ty przygotuj obiad.

XIV

Tego samego wieczora, gdy Jerzy był zajęty rozpakowywaniem rzeczy, Andrzej pisał list. Widać pismo było treści poważnej, gdyż często odkładał pióro, zastanawiał się, marszczył czoło, znów pisał.

Wreszcie skończył i odezwał się do Jerzego:

— Napisałem nie list, a skończone arcydzieło.

— Skromność jest rzeczą ze wszech miar godną podziwu —

54

zauważył Jerzy — a mógłbyś mnie oświecić, do kogo kierujesz to arcydzieło.

— Do pana Relawskiego.

— Któż to zacz?

— Jest to, uważasz Jurku, właściciel Biura Transportowego w Detroit. Ma on, rzecz prosta, stosunki z towarzystwami utrzymującymi komunikację pomiędzy Detroit, Chicago i Milwaukee na jeziorze Michigan. Co na to powiedziałbyś, gdybyśmy sobie tak popływali pomiędzy tymi centralami polskich osadników?

— Wolę co prawda pływać po oceanach niż po jeziorach. Poza tym zdajesz się ciągle zapominać, że celem naszej podróży jest Brazylia.

— Bynajmniej nie zapominam, myślę, jednak, że się ze mną zgodzisz, iż byłoby nonsensem być w Stanach Zjednoczonych i nie skorzystać z okazji zwiedzenia tak ciekawego kraju.

— Masz zupełną rację, ale w takim razie czy nie należałoby zacząć od poznania Nowego Jorku?

— Zanim Relawski odpisze, poznamy metropolię.

— Czy myślisz, że o jakiejś pracy umysłowej nie ma mowy w Nowym Jorku?

— Jestem prawie pewien, że nie. Zresztą skoro mamy przekonać się na własnej skórze, jak wygląda dola emigranta, to powinniśmy być konsekwentni.

— Zgoda. A gdzie poznałeś pana Relawskiego?

— Był na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu.

— No to wysyłaj list — w imię Boże.

— A teraz co byś powiedział, Jurku, gdybyśmy dla odmiany pojechali górną koleją do centrum miasta i zobaczyli na własne oczy, jak wygląda amerykańska reklama?

— Już ja to widzę, że podróżując z tobą, niełatwo długo usiedzieć na jednym miejscu.

Poszli do stacji górnej kolei, gdzie Murzyn zawiózł ich windą na pomost, gdyż w tym miejscu, koło 7-th Avenue i Parku Centralnego, pomost był rzucony na wysokości kilku pięter.

— Dziwna to lokomocja, w powietrzu, nad głowami bliźnich — zauważył Jerzy. — A huczy...

Pociąg przelatywał nad ciemnymi dzielnicami miasta, czasem

iii

55

opadał w lunę światła, gdyż każda dzielnica ma swoje własne entrum, gdzie jarzą się reklamy sklepów i kinematografów, areszcie wpadł na 6-th Avenue i w okolicach 50-th Street i oślepiającą powódź światła.

— Gdzie wysiadamy? — zapytał Jerzy.

— Ano chyba na 42-th Street, warto by obejrzeć Times >quare wieczorem.

Gdy wysiedli, uliczny ścisk chwycił ich w swe kleszcze. Nie ył on ani na jotę mniejszy niż za dnia. Skierowali się ku >roadway.

— Istotnie, reklamy świetlne Warszawy w porównaniu z ty-li to dziecinna zabawka.

— Przecież tu jest jaśniej teraz niż za dnia — odezwał się a to Jerzy.

— Bo w dzień drapacze chmur nie dopuszczają słońca. 'atrz... patrz... patrz... widzisz tę reklamę? Pewnie ma najmie j jakie piętnaście pięter wysokości i trzydzieści metrów długości. Patrzyli w osłupieniu.

Vasza ekscelencjo — mówił nazajutrz Jerzy do Andrzeja — daje się, że nasz sekretarz zaczyna działać opieszale i spóźnia ię z przysłaniem miliona dolarów. Co by wobec tego ekscelencja iowiedział, gdybyśmy tak rozejrzeli się za jakąś robotą?

— Jestem zgodny ze zdaniem waszej książęcej wysokości — loże ktoś poszukuje wytwornych dżentelmenów do zmywania irudnych naczyń w restauracji. Posada odpowiedzialna, trzeba ie lada inteligencji, aby uważać, żeby się przypadkiem naczy-iaa nie stukły, no a sama praca nader miła.

Gdy znaleźli się w centrum miasta, Jerzy zauważył:

— Czy jednak nie byłoby lepiej kupić gazetę i przekonać się, zy ktoś nie potrzebuje miłych i zdolnych młodzieńców do lek-:iej a dobrze płatnej pracy?

— Chodź, nie pleć tyle, bo jestem dzisiaj zupełnie niedyspo-nowany.-

— Ekscelencja raczy mi łaskawie wybaczyć. Stanęli przed olbrzymim gmachem.

— Widzisz Jurku, oto i jest.

— Co?

— Sklep.

— Podziwiam twoją spostrzegawczość. Sklepiczyna ma jakieś, lekko licząc, czterdzieści pięter, a tyś go od razu zauważył. Chcesz kupić damski kapelusik?

— Czytaj — wskazał kartę przybitą u wejścia. — „Potrzeba mężczyzn do noszenia pak”.

— Istotnie bardzo interesujące. .

— A dalej: „zgłaszać się do pana Firvell, na trzydziestym drugim piętrze, wejście nr VI, drzwi 15, pokój 8”.

W magazynie panował wielki ruch. Przedzierali się przez zatłoczone sale szukając windy. Nagle Jerzy pociągnął swego przyjaciela za rękę.

— Andrzeju, co to za piekielna machina?

— Schody ruchome.

— A po co się ruszają? *)

— Idziesz po schodach, które równocześnie jadą w górę, w ten sposób zyskujesz podwójnie na szybkości. Możemy skorzystać z tej lokomocji.

Na pierwszym piętrze, gdzie stopnie schodów wyprostowują się i nikną pod podłogą, Jerzy czy to chcąc przyspieszyć, czy też zejść na podłogę, potknął się, przewrócił jak długi na

wznak, przekoziółkował i sam nie wiedząc jakim sposobem znalazł się o parę kroków dalej, gdzie poruszyła się pod nim podłoga i garbiąc się w schody zaczęła unosić go do góry. Zanim się Andrzej spostrzegł, zobaczył nogi przyjaciela wyprostowane i wędrujące na górne piętro. Rzucił się więc ku schodom, wyjechał na drugie piętro, ale Jerzego już tam nie było. — Czy on tak na czterdzieste piętro chce nogami do góry jechać? — pomyślał Andrzej i zaczął szukać swego towarzysza.

*) W latach 1929 i 1930 w Warszawie nie było ruchomych schodów. Dlatego Jerzy widzi to urządzenie po raz pierwszy w Ameryce.

57

Na drugim piętrze był dział letnich sukienek. Dłil biegał to tu, to tam, a wreszcie ujrawszy windę wsiadł, aby pojechać jeszcze wyżej.

W chwili, gdy oszklona winda ruszyła w górę, zobaczył Jerzego jadącego drugą windą na dół. Dojechał więc na trzecie piętro, zczekał na windę zwożącą klientów w dół i znów zobaczył Jerzego jadącego w górę.

— Na parterze zaczekam na tego szaleńca — pomyślał i stanął z boku tak, aby mógł mieć na oku wszystkie windy zjeżdżające na dół.

Minęło dwadzieścia minut; Andrzej trochę się znecierpliwiał a trochę zaniepokoił i znów wsiadł do windy. Na najwyższym piętrze, gdzie mieścił się dział kołysek i zabawek dzieciennych, zastał Jerzego, któremu sprzedawca zachwalał właśnie niewielki, skórzany wózek dla niemowląt.

58

— A niech cię nie znam. Ani chybi zaangażują cię do cyrku po tych akrobatycznych popisach na schodach. Dlaczegoś nie zjechał na dół?

— Bałem się, że się znów miniemy. Wolałem już tutaj zczekać na ciebie.

— A ja czekałem na dole.

— A skąd ja mogłem o tym wiedzieć. Tyle ci tylko powiem, że tymi diabelnymi schodami więcej jeździć nie będę. Schody powinny być masywne, a nie, jak tu, tańczące oberka. Poza tym mogłeś mi, co prawda, uprzedzić o dziwnych zwyczajach amerykańskich. Jadą tą windą ze mną jakieś trzy panie i jeden pan. Już <chciałem mu powiedzieć, żeby nie kopał damom w noski grubym cygarem, gdy nagle on zwraca się do mnie i powiada: „Młody człowieku, czy nie nauczono cię, że gdy w windzie znajdują się panie, należy zdjąć kapelusz z głowy?”

Objasniłem go, że jestem cudzoziemcem i o tym zwyczaju nie wiem, przeprosiłem damy, wolałbym jednak tę uwagę usłyszeć od ciebie niż od obcego człowieka.

— Widzisz, co kraj, to obyczaj; tu wolno puszczać kłęby dymu w twarze bliźnich, ale kapelusz należy zdjąć zawsze, gdy się znajduje pod jakimkolwiek dachem z nieznaną nawet niewiastą. Natomiast nie należy nigdy 'zdejmować okrycia głowy, gdy się rozmawia z mężczyzną w biurze, w windzie lub gdziekolwiek, bo Amerykanie się z tego śmieją.

— Bój się Boga Andrzeju, odłóż twoje dalsze wykłady wychowawcze na potem. Chodźmy do tego jegomościa, który ma nam dać posadę. Jakże on się nazywa?

— Zapomniałem.

— A ja też.

— Ładna historia, nie ma rady, musimy zjechać na dół i przeczytać jeszcze raz ogłoszenie. Tylko już się mnie trzymaj, bo się znów pogubimy.

Gdy wyszli przed bramę na ulicę, zobaczyli, że posługacz zrywa kartkę obwieszczającą o wolnych posadach.

— Dlaczego pan zrywa tę kartkę? — zapytał Andrzej.

— Bo przed chwilą przyjęto już ludzi do pracy.

— Widzisz Jerzy — urągał Andrzej — przez twoje akrobatyczne popisy na schodach straciliśmy posady.

59

— A ja mam siniaki na plecach. Dobrze się zaczyna. Jerzy nadrabiał miną, ale był zażenowany.

— Chodźmy do portu i jedźmy do Brazylii, nic tu nie wysiedzimy — powiedział.

— Skoro sobie, mój Jurku, posiniaczyłeś siedzenie, to nie dziwota, że ci trudno wysiedzieć. Jestem jednak tego zdania... uważaj! — krzyknął — samochód cię przejedzie!

Gdy przeszli na drugą stronę ulicy, Andrzej kończył:

— Myślę, że jeszcze parę dni warto posiedzieć w Nowym Jorku. Patrz, oto i cafeteria. Może tu ocenią lepiej nasze zdolności.

Przy wejściu Andrzej zapytał jakiegoś młodego człowieka
o zarządzającego.

— Jestem zarządzającym — czym panom mogę służyć?

— Nie ma pan jakiej pracy dla nas?

— Nie.

— Jakoś się nam nie wiedzie — powiedział Jerzy, gdy się znów znaleźli na ulicy.

—| A ty byś chciał, żeby tu wszyscy na nas czekali, co?

— Zdaje mi się, że my się na śmierć zachodzimy. Czy nie byłoby lepiej kupić gazetę i przeczytać ogłoszenia? Ciągłe ci to proponuję, ale ty...

— Oj, nie nudź...

Kupili „Timesa” i stanęli przy wystawie.

— Jest. Potrzeba chłopców do drukarni.

Wsiedli do kolejki podziemnej i pojechali pod wskazany adres.

W przedpokoju panował tłok. Reflektantów na pracę było już kilkunastu.

Stanęli pod ścianą. Jakiś nadmiernie wysoki jegomość otworzył drzwi, wskazał na dwóch spośród zebranych i zabrał ich ze sobą. Po paru minutach wyszli obaj z kwaśnymi minami.

Wysoki jegomość rozejrzał się po zebranych i wskazał na Jerzego
i jakiegoś piegowatego wyrostka.

— Chodźcie ze mną.

Jerzy zawahał się chwilę, spojrzął na Andrzeja, ten mrugnął lań zachęcająco i popchnął lekko poprzez ciżbę w kierunku drzwi.

— Daj mi te matryce z półki — powiedział wysoki jegomość i o piegowatego wyrostka.

58

— Ja nie wiem...

—| W takim razie ty —| wskazał na Jerzego.

— Co mam przynieść?

— Do widzenia. Nigdy nie pracowaliście w drukarni. Takich nie potrzebuję.

W przedpokoju Jerzy szepnął Andrzejowi:

— Wiesz, ty, co to jest matryca? Jeżeli nie, to nie masz tam po co chodzić.

Dhil nie zdążył odpowiedzieć, gdyż razem z jakimś grubas-kciem został wepchnięty do pokoju przez resztę czekających na rezultat egzaminów.

— Masz korektę ogłoszeń, pokaż to ogłoszenie w kolumnie.

Andrzej przeczytał ogłoszenie, spojrzął bezradnie na odlew...

— Nie umiesz? Do widzenia! Potrzebujemy tylko wykwalifikowanych chłopców do drukarni.

— Tobie się też nie udało? — przywitał Andrzeja Jerzy.

— Mnie?... Udało się znakomicie.

— Jak to, jesteś zaangażowany? — Mam prawie robotę w rękę.

— Winszuję ci, będę teraz musiał sam dla siebie szukać pracy.

— Ależ ja mam pracę dla nas obydwu. —| Mów nareszcie, nie żartuj ze mnie.

— Czy ty wiesz, co to znaczy w Ameryce pierwszemu wiedzieć o wolnej posadzie? Prawie to samo, co ją mieć, bo się unika konkurencji. A mnie udało się przeczytać ogłoszenie, które

będzie wydrukowane dopiero za parę godzin. Ogłoszenie o wolnych miejscach. Dalejże, jedziemy po posadę.

— A cóż to za posada?

— Nie wszystko jedno?

—| Jak mi każą grać na gitarze, to uprzedzam cię, że nie będę, bo nie potrafię.

—| Na razie możesz powiesić swoje uzdolnienia muzyczne na kołku. Potrzeba dwóch młodzieńców do pomocy w portierni hotelu Godham.

Gdy stanęli przed srogim obliczem portiera, ten obejrzał ich ze wszystkich stron.

Jerzy, chąc dostojnika dobrze dla siebie usposobić, odezwał się:

61

— W hotelu może się przydać nasza znajomość języka francuskiego i polskiego, dla gości cudzoziemców...

Portier puścił mimo uszu te zachwalane kwalifikacje.

— Macie stać przy drzwiach do restauracji i otwierać je, gdy goście wchodzą lub wychodzą. Jeżeli liberie będą na was pasowały, mogę was przyjąć.

Zaprowadził ich do małego pokoiku. Włożyli mundury, portier obejrzał ich starannie:

— Ali right — powiedział. — Płacę po dwanaście dolarów na tydzień. Praca trwa od piątej po południu do pierwszej w nocy, z półgodziną przerwą na posiłek, który dostaniecie w kuchni dla służby. Macie stać po obu stronach drzwi, mówić do gości wchodzących: „dobry wieczór”, a gdy się do was zwrócą, należy zdjąć czapkę, z czapką w rękę wysłuchać zlecenia i załatwić je niezwłocznie. A poza tym nie spóźniać się. Przyjdźcie ogoleni i z umytymi porządnie rękoma. Dostaniecie białe rękawiczki.

Gdy zegar wybił piątą, Jerzy i Andrzej stanęli przy drzwiach.

— Miła posada — mruknął Jerzy.

— I źle płatna, ale za to ranki mamy wolne i znajdziemy sobie inne zajęcie. Z tym, co mamy, będzie można jakoś przeżyć.

Nie mogli dalej rozmawiać, gdyż raz po raz portier zerkał ku nim, stali więc wyprostowani, a choć na pozór zajęcie to nie było nużące, po skończonej pracy byli bardzo zmęczeni.

Rankami szukali czegoś bardziej odpowiedniego. Po południu i wieczorem pracowali w hotelu.

Tak minęły trzy dni.

Któregoś dnia urząd pocztowy zwrócił list Andrzeja do Re-lawskiego, z notatką: „Adresata nie znaleziono”.

XVI

I co dalej? Dhil rozpostarł ręce. Istotnie[^]co dalej — nie wiedział. Zostali zwolnieni z posady w restauracji hotelowej, zwolnieni nagle, bez podania przyczyny.

— A ja ci mówię, Andrzej, że wyrzucono nas, bo jesteśmy nierównego wzrostu. To dobrze wygląda, gdy przy drzwiach wejściowych stoją dwaj jednakowi.

—| Możliwe... chociaż — liberie na nas pasowały.

— No tak... rzeczywiście.

Szli wolno przez aleje Parku Centralnego.

— Zresztą mniejsza o to dlaczego, dość że jesteśmy znów na zielonej trawce — zaopiniował Andrzej — należy...

— Znow szukać?

— A ty myślałeś, że przyjechaliśmy tu na wakacje?

Kupili „Kurier Narodowy” i „Nowy Świat” — polskie pisma wychodzące w Nowym Jorku, poza tym kilka pism angielskich, i udali się do domu, by przejrzeć ogłoszenia.

— Mam — zawołał Lubrański potrząsając gazetą.

— Trzymaj, byle mocno.

— Patrz: „potrzeba paru ludzi do wyładowywania towarów wiadomość No 3751 1-th Avenue”.

— No to chodźmy. Pojechali od razu.

Niestety, już kilku kandydatów przyjęto. Przyjaciele wychodzili z bramy z kwaśnymi minami, gdy dogonił ich jakiś człowiek.

— Panowie Polacy?

— Tak.

— Dawno ze starego kraju?

— Niedawno.

— I ja chciałem tu dostać pracę i też spóźniłem się — objaśnił tonem usprawiedliwienia nieznajomy — nazywam się Wojciech Guzikowicz.

Przedstawili się sobie i szli bez celu.

— Dawno pan szuka pracy? — zapytał Lubrański.

— W Nowym Jorku o pracę niełatwo. Tu przyjeżdżają emigranci z całego świata. Część ich nie ma pieniędzy na dalszą drogę w głąb kraju, zostają i dlatego tak trudno o pracę; tu więcej rąk roboczych niż wolnych miejsc.

— A pan dawno w Ameryce?

— Od urodzenia. Ojciec mój ma sklep w Milwaukee, a ja przyjechałem za lepszą pracą i zrobiłem źle; trzeba było zostać

62

63

w Chicago lub Detroit; ale nie żałuję — poznałem metropolię, a na powrót zarobię.

— Ale pan doskonale mówi po polsku — powiedział Dhill.

Guzikowicz spojrzał zdziwiony.

— Jestem przecież Polakiem. Rozmowa zesłała na środowiska polonijne.

— Tu w Nowym Jorku Polacy są niezbyt zamożni — mówił Guzikowicz — to nie to, co u nas w Milwaukee, gdzie jest kilkunastu bogatych biznesmenów, tak samo zresztą jak w Chicago i Detroit. Niestety, Polacy nie zajęli w Ameryce stanowisk, jakie im się należały. Mimo że w Chicago jest przeszło czterysta tysięcy Polaków, mało ich jest w radzie miejskiej i w miejskich urzędach.

— Ale że pan będąc człowiekiem inteligentnym i znając stosunki szuka pracy fizycznej? — zdziwił się Lubrański.

— Nic dziwnego. U nas w Ameryce najgorzej płatni są inteligenci. Byłem jakiś czas urzędnikiem w banku i zarabiałem szesnaście dolarów na tydzień, a zdolny robotnik u Forda zarabia do pięćdziesięciu, a czasem nawet i więcej. Obecnie chcę wrócić do Milwaukee. Ojciec pisał, że jestem mu potrzebny w sklepie, chcę więc zarobić na powrót. U nas, panie, studenci i studentki uniwersytetów zarabiają w lecie jako kelnerzy w miejscowościach wypoczynkowych.

Nagle do Guzikowicza podszedł ktoś i uderzył go dłonią w łopatkę.

— Hallo — jak się masz?

— Co ty tu robisz, Antek — zawołał Guzikowicz.

— A ty Wojtku?

Zaczęli się witać, Guzikowicz przedstawił swym nowym znajomym Antoniego Gordę.

— Więc i ty rzuciłeś to nudne Milwaukee — mówił Gorda do Guzikowicza — to pysznie zrobiłeś. U nas w Nowym Jorku weselej, inne życie.

— Dla ciebie może, ale nie dla mnie. Chcę wracać, a nie mam roboty, żeby zarobić na bilet, tak "jak i ci panowie, którzy dopiero przyjechali z Polski.

— Z Polski? Co tam słychać?

Rozmawiali z pół godziny, wreszcie Gordę przystanął i powiedział:

— Panowie przyjechali z Polski, a ty Wojtek jesteś moim kolegą jeszcze ze szkoły parafialnej; proponuję wam pewien biznes.

— Gadaj Antek.

— Jestem przełożonym nad mechanikami w teatrze Rialto. Kieruję grupą robotników ustawiających dekoracje, ale was wziąć nie mogę, bo mam dobrze zgrany komplet. Wiem jednak, że za parę dni idzie u nas premiera i że reżyser kazał wyszukać dziesięciu ludzi do statystowania. Robota łatwa. Aktorzy próbują już dawno, a jutro rano ma być próba ze statystami. Zrozumiano?

— Nie bardzo — powiedział Guzikowicz.

— A to takie proste. Jutro o dziesiątej rano przyjdziecie do teatru i staniecie z innymi. Będzie tam masa amatorów. Parę minut, po dziesiątej wejdę z reżyserem i wybierzemy najlepiej prezentujących się. Wybiorę was i przedstawię reżyserowi.

Gdy Dhill z Lubrańskim znaleźli się w swoim pokoju, zaczęli się śmiać.

— Notuj Jurku, notuj w pamiętniku nasze wszystkie zajęcia, bo ich nie spamiętamy. Teraz, uważasz, zostaniemy aktorami.

Nazajutrz przed dziesiątą byli już w teatrze, gdzie kazano im iść za kulisy i czekać w jakiejś salce zastawionej meblami. Zastali tu z górą sto osób.

— Patrz, Jurku, potrzeba dziesięciu, a ilu kandydatów.

Znaleźli Guzikowicza i utorowali sobie przejście do pierwszych rzędów czekających. Po chwili wszedł jakiś przysadzisty jegomość bez marynarki i Antoni Gorda w białym kitlu, z okularami na nosie.

Gorda wskazał na paru statystów; ci wystąpili. Reżyser popatrzył na nich, jednego o coś zapytał i kazał im odejść. Potem wybrał trzech innych; wtedy Gorda wskazał na swoich znajomych.

— Ci prezentują się dobrze — powiedział do reżysera.

— Ali right.

Dhill, Lubrański i Guzikowicz udali się wraz z innymi wybranymi za reżyserem.

5 Przez morza i dżungle

65

XVII

Próby dobiegały końca. Wieczorem tego dnia miała się odbyć premiera.

Andrzej i Jerzy siedzieli w garderobie, gdzie fryzjer przyklejał im brody i, choć to nie należy do jego obowiązków, uczył ich sztuki charakteryzowania się.

— Wiesz Jurku, że ta robota nie bardzo przypada mi do gustu. Płacą gorzej niż źle, a do tego, co to za robota?

— Ma ona tę dobrą stronę, że od dziś, gdy próby się skończyły, mamy zajęte tylko wieczory; w dzień możemy znaleźć inną pracę. Ponieważ zaś sztuka może być na afiszu przez dłuższy przeciąg czasu, mamy więc zapewnione minimum egzystencji

Więcej nie mogli z sobą rozmawiać, bo do garderoby wszedł inspicjent i zawołał statystów. Stanęli za kulisami, aby w pewnym momencie wypaść z krzykiem na scenę, jak tego chciał autor sztuki.

W górze wisały dekoracje, z boku stały części pokojów. W tym akcie scena przedstawiała, las. Spuszczone były boczne kulisy, na których wymalowano drzewa. Z tyłu ustawiono kępy malowanych drzew, a za nimi wisił horyzont.

W budce zajął miejsce sufler, a aktor, który pierwszy miał wyjść na scenę, stał już blisko kurtyny. W chwili, gdy inspicjent krzyknął „gotowe”, Antoni dał znak ręką, reflektor rzucił na scenę snop księżycowego światła i kurtyna poszła w górę.

Aktor, który dotychczas stał spokojnie i rozmawiał z suflerem, nagle zachwiał się i zaczął jęczeć; wtedy obok statystów ukrytych w kulisie przebiegła aktorka, rzuciła się do swego kolegi i zaczęła głośno desperować, że jej mąż jest postrzelony przez bandytów.

Akcja toczyła się zwykłym biegiem. Andrzej i Jerzy znali już z prób treść sztuki, czekali na swoje wejście.

Inspicjent dał znak, wpadli z innymi*statystami z okrutnym krzykiem i zaczęła się bitwa. Jerzy, zgodnie z rolą, musiał upaść jako zabity i leżeć spokojnie aż do końca, Andrzej wraz z po-

66

zostałymi uciekł. Po chwili kurtyna spadła i Jerzy wrócił do garderoby.

Występowali jeszcze w ostatnim obrazie, ale już w roli gości w malowniczych strojach hiszpańskich.

Wchodzili na scenę i nie tylko przechadzali się tam i z powrotem, ale w pewnej chwili śpiewali. Właśnie za to śpiewanie pobierali po dolarze więcej, bo byli nie tylko statystami, ale i chórem. Załatwił to sympatyczny Gorda.

XVIII

Upłynęły trzy tygodnie. Andrzej i Jerzy rankami szukali zajęcia, ale mając być zabezpieczony, nie chcieli brać byle czego.

Była niedziela.

Dwaj przyjaciele wstali wcześniej, umówili się bowiem z Wojtkiem Guzikowiczem, że pojedą do Bronx. Jest to dzielnica miasta, gdzie mieści się ogromny zwierzyńiec.

Chodzili już dłuższy czas po alejach parku i bawili się wiewiórkami, które są tu tak obłaskawione, jak gołębie w Wenecji, i siadają spacerowiczom na ramieniu, domagając się orzeszków.

— Widzicie panowie największy amerykański ogród zoologiczny — mówił Guzikowicz — a teraz chodźmy do pawilonu słoń, pokażę wam coś zabawnego, o czym czytałem w pismach. Stanęli przed jedną z klatek i wybuchnęli gromkim śmiechem: w klatce obok poważnego, wielkiego słonia stało maleńkie, parotygodniowe słońiętko.

— Jest to rzadki wypadek, bo jak zapewne wiecie, słonie nie rozmnażają się w niewoli, a oto wyjątek.1)

Mały słoń był istotnie nad wyraz zabawny. Niezgraba od urodzenia, z czymś co zapowiadało trąbę, a co obecnie zawadzało nie dając zgoła pożytku, podskakiwał, przewracał się, a matka podnosiła go trąbą i starała się okiełzać jego wybujały temperament.

J) W ogrodzie zoologicznym w Warszawie również urodziło się przed wojną słońiętko nazwane „Tuzinka”.

67

Z Bronx wrócili do miasta i zwiedzili dzielnicę bankową i sławną Wall Street.

Wieczorem udali się, jak co dnia, do teatru.

Po ucharakteryzowaniu się Jerzy zszedł na scenę i będąc już obyty z jej urządzeniem podszedł do małej dziurki w kurtynie, by spojrzeć na widownię. Nie spodziewał się wprawdzie zobaczyć nikogo znajomego, ale patrzył przyglądając się nowojorskiemu towarzystwu.

Wtem aż odskoczył ze zdziwienia.. W łoży na pierwszym piętrze zobaczył pannę Mary Davis, z którą rozmawiał na okręcie jadąc z Europy. Była z ojcem i jeszcze z jakimś starszym panem.

Wrócił do swego punktu obserwacyjnego i patrzył na łożę. Jakże piękna wydała mu się ta Amerykanka.

— Na miejsca! — zawołał inspicjent.

Uskoczył w kulisy; na scenę wszedł aktor grający poranionego w bitwie; kurtyna poszła w górę i znów, jak co dnia, przedstawienie potoczyło się zwykłym trybem.

Gdy statyści wpadli na scenę. Jerzy nie mógł się powstrzymać, by nie rzucić okiem na łożę.

W ciemności sali niczego jednak nie mógł się dopatrzeć. Mając myśl zaprzątniętą czym innym nie uważał, i gdy podbiegł do niego jeden z aktorów i uderzył go, Jerzy nie przewrócił się, jak wynikało z jego roli. Wtedy aktor, który miał mówić „zabiłem łotra”, a nie mógł tego powiedzieć dopóki Jerzy się nie przewrócił, pchnął go mocniej tępym nożem. Tym razem Jerzy naprawdę stracił równowagę, padając pośliznął się, przeokoziółkował przez budę suflera i ku szalonej wesołości sali wpadł na dół, do pomieszczenia orkiestry.

Amerykańska publiczność, którą łatwo rozśmieszyć byle czym, zaczęła bić brawo, tupać i zaśmiewać się, gdy na scenie działy się rzeczy bardzo tragiczne.

Jerzy podniósł się bardzo obolały i pod sceną szedł do swojej garderoby.

Skutek nieuwagi był natychmiastowy. Reżyser oświadczył, że Jerzy nie ma po co jutro przychodzić do teatru; na jego miejsce znajdzie się inny statysta, obdarzony większym poczuciem równowagi.

68

Jerzy był zrozpaczony. Andrzej niby to pocieszał przyjaciela, ale był zły.

— Masz za dużo skłonności do akrobatyki. Wtedy w sklepie, dziś znów w teatrze.

— I są tacy, którzy utrzymują, że można dwadzieścia lat mieszkać w Nowym Jorku i nie spotkać znajomego — mówił Jerzy.

— A co to ma do rzeczy?

— Nic... tak sobie mówię.

69

Zaczęły się ?"3wu ciężkie dni. Jerzy całymi dniami szukał iakiejś pracy, ale bezskutecznie.

Andrzej usiłował go pocieszać. "!"usieli przeprowadzić się do bardzo taniego pokoju, mającego tę i iicdogodność, ie o"-:na wychodziły na ulicę, przez którą przechodziła trasa górnej kolei. W tym, ładnym zresztą, pokoiku panował tak straszliwy hałas, że w dzień niepodobna było wytrzymać, a w nocy choć pociągi jeżdżą rzadziej, było trudno spać, nawet młodym i zdrowym ludziom.

Przez dwa dni Jerzy pracował na rogu 42-th Street i 4-th Avenue, jako pomywacz naczyń w restauracji, ale i tę posadę

stracił: nie umiał dostatecznie szybko pracować i' zbił kilka talerzy.

Andrzej każdego wieczora statystował w teatrze.

XIX

— Wyobraź sobie — mówił Dhill — i mnie wylali z teatru. Jerzy usiadł na łóżku. Andrzej przeszedł parę razy po pokoju i usiadł na swoim łóżku.

— Dlaczego? — zapytał Jerzy.

— Pamiętasz tego aktora, który ciebie zabijał?

— Naturalnie. Pchnął mnie bestia, żem ze sceny spadł i stracił robotę, dobrze go pamiętam.

— Otóż pchnął on i mnie, ale na korytarzu. Zapytałem go grzecznie, czy mu się spieszy, a on do mnie per „głupi statysta”; wtedy ja go palnąłem tak, że się nogami nakrył, i wyrzucono mnie. Mój Jurku, można nie mieć pieniędzy, ale to jeszcze nie powód, by znosić czyjeś impertynencje.

— Naturalnie. Tylko, Andrzej, oni tu w Ameryce wszyscy się popychają, gdy im spieszo.

— Dobrze o tym wiem, ale on mnie pchnął z zamiarem zrobienia mi awantury.

— Za co?

— Bo mu wczoraj udowodniłem, że nie zna Moliera. Ten pan artysta powiedział bowiem o Molierze, że to autor tragedii.

70

— Osioł!

— Ano widzisz. Nie wiedział, że Molier był autorem sławnych komedii.

Po chwili Andrzej zaczął się rozbierać.

— Chodźmy spać. Teraz nic nie wymyślimy, a od jutra trzeba będzie zacząć kombinować.

Tak łatwo nie damy się zjeść w kaszy.

Nazajutrz, gdy Lubrański obudził się, Andrzeja nie było już w pokoju. Jerzy ubierając się pomyślał:

— Widać Andrzej poszedł szukać pracy. Oczywiście, musimy szukać oddzielnie. Może przynajmniej jeden z nas coś znajdzie.

Zostawił kartkę: „Będę w domu około szóstej wieczorem” i wyszedł. Jak co dnia, kupił gazetę i zaczął chodzić od adresu do adresu.

Chodził bezskutecznie.

Kupił nowe wydanie dziennika i dowiedział się, że przy Park Avenue, to jest przy ulicy, gdzie mieszkają bardzo bogaci ludzie, pod numerem 3870 potrzeba młodego człowieka, który by codziennie woził na wózku starego i chorego pana na spacer.

Wsiadł do podziemnej kolei i dojechał na miejsce, skąd musiał przejść pieszo kilkadziesiąt metrów.

Przed jednym z mijanych domów stała piękna limuzyna. Jerzy przystanął, by obejrzeć samochód, gdy z domu wyszła panna Mary Davis i stanęła oko w oko z Jerzym, który zerwał z głowy kapelusz i skłonił się pięknej pannie.

— Ależ to pan, panie marynarzu! — zawołała Mary. — Co pan tu robi?

— Ja? Różne rzeczy; czasami spadam nawet ze sceny do orkiestry w teatrze „Rialto”. Mary roześmiała się.

— Więc to pan był tym niefortunnym statystą?

— Tak, ja.

— To naprawdę ciekawe. Pan jest raz marynarzem, to znów aktorem. Sądzę jednak, że te wszystkie zajęcia są chwilowymi pana zajęciami. Amerykanki nie są zbyt wykształcone; ja jednak skończyłam pensję we Francji i uderzyło mnie od razu, że pan jest na pewno europejskim inteligentem;

U

Roześmiał się.

•— To naprawdę ciekawe; proszę mi powiedzieć, kim pan jest? — I nie dając mu czasu na odpowiedź dodała: — Wie pan co? Przejedziemy się. Oto moja maszyna. W Ameryce młoda panna może porwać młodego człowieka.

Jerzy przypomniał sobie 'starego pana, którego miał wozić lub raczej chciał wozić, ale gdy spojrzął na pannę Mary westchnął i wsiadł do samochodu.

Auto ruszyło, teraz Mary powtórzyła pytanie:

— Kim pan jest?

— Gdy pani powiem moje nazwisko...

— Niewiele mi to wyjaśni, ale wypada, aby mi się pan przedstawił.

— Nazywam się Lubrański, na imię mi Jerzy.

— Widzę, że się z panem nie porozumiem. Będę więc zadawała pytania, a pan będzie mi odpowiadał.

— Dobrze, będę mówił jak na spowiedzi.

— Kim jest ojciec pana?

— Obecnie nie żyje, a był inżynierem, dyrektorem dość dużej cukrowni.

— A dziadek?

— Był profesorem uniwersytetu.

— A jakie pan ma studia?

— Jestem prawnikiem.

— W Europie prawnicy nie zwykli pracować jako marynarze ani też statystować w teatrach.

— A w Ameryce?

— W Ameryce ta praca jest dobra, która przynosi więcej pieniędzy. Ja jednak jestem pół-Europejką i niezupełnie rozumiem...

— Mojego postępowania?

— Tak.

— Widzi pani, chcę zwiedzić świat, a nie mam na to pieniędzy. Jeżdżę więc wraz z moim przyjacielem i pracuję. Oto wszystko.

Rezeźmiała się.

— W takim razie może zaczniemy od tego, że pokażę panu

72

Nowy Jork. — Rzuciła szoferowi w tubę jakiś adres i skręcili na Long Island.1)

Nazajutrz rano, a była to niedziela, poczta przyniosła zaproszenie panny Davis dla Jerzego i jego przyjaciela na popołudniową herbatkę.

Obaj zajęli się gorliwie przyprowadzeniem swej, nieco już zniszczonej garderoby do jakiego takiego stanu i punktualnie o piątej stawili się pod wyznaczonym adresem.

Pan Davis był dyrektorem towarzystwa dla importu kawy z Brazylii. Towarzystwo miało kilkanaście własnych okrętów.

Po półgodzinnej rozmowie ojciec panny Mary zaproponował Jerzemu i Andrzejowi miejsce marynarzy na okręcie „Chicago”, który wypływał do Santos²⁾ po partię kawy.

Nasi przyjaciele mieli nazajutrz załatwić formalności w biurze, a za dwa dni już zaokrętować się na „Chicago”.

— Sądzę, że moje stosunki przydały się, choć mam, twoim zdaniem, zbyt zaniżone do akrobatyki. — Były to pierwsze słowa, z którymi odezwał się Jerzy, gdy tylko wyszli z rezydencji państwa Davis.

XX

— Co to jest zwrot przez sztang? — Jerzy skłonił się Andrzejowi z przesadą.

— Zachodzi wówczas, drogi mój mistrzu, gdy statek zwracając się dziobem do wiatru przechodzi linię wiatru i kładzie się na nowy hals — wyrecytował jednym tchem.

— Doskonale. A co to jest hals?

— Słowo to ma znaczenie dwojakie: znaczy przedni, dolny róg każdego żagla, oznacza również część drogi przy lawirowaniu statkiem.

J) Część Nowego Jorku położona na wyspie tejże nazwy. 2) Miasto-port, najważniejszy ośrodek handlu kawą, w stanie Sao Paulo w południowej Brazylii.

73

— Pochodne od tego słowa? — pytał w dalszym ciągu Andrzej.

— Iść, czyli płynąć, lewym lub prawym halsem. — Dobrze, dobrze, ale co to znaczy?

— Chodzi o statek żaglowy; iść lewym halsem znaczy mieć wiatr z lewej strony, prawym zaś halsem idziemy wtedy, gdy wiatr wieje z prawej strony.

— Bardzo dobrze. A teraz powiedz mi jeszcze, co rozumiemy przez lawirowanie na żaglowcu?

— Żaglowiec nie może iść prosto pod wiatr. Jeżeli zatem mamy dotrzeć do punktu x, a wiatr wieje prosto od tego punktu, w dziób okrętu, lawirujemy, to znaczy idziemy to prawym, to lewym halsem. Przy takiej manipulacji statek musi zwracać się co pewien czas o dziewięćdziesiąt stopni i wtedy zwracamy go najczęściej przez sztang, o którym przed chwilą mówiliśmy.

— No a teraz powiedz mi jeszcze, co powinien zrobić kapitan żaglowca w czasie burzy?

— Tego nie wiem.

— Powinien zmniejszyć do minimum ożaglowanie i trzymać statek jak najostrzej dziobem przeciw fali. Nazywa się to w języku marynarskim leżeniem na dryfie. Ale nie powiedzialesz mi jeszcze, co oznacza samo słowo dryf?

— Jest to termin na zboczenie z drogi pod wpływem wiatru i prądów wody.

— Świetnie Jerzy, robisz postępy, co się zowie.

— Bardzo się cieszę, ale po co ty mi Andrzeju wkuwasz w głowę metody żeglarskie, skoro dziś płynamy przeważnie na parowcach?

— Dlatego, że podstawą wykształcenia marynarskiego jest nauka o żaglowcu, a poza tym w burzliwym życiu, jakie obraliśmy sobie, możemy równie dobrze pływać jeszcze na żaglowcach. Zresztą od przybytku wiadomości głowa nie zaboli.

— Zagadaliśmy się. Patrz, szósta już dochodzi. Czas w drogę; pieniądze mamy w kieszeni, pożegnaliśmy się już z Nowym Jorkiem i nim dojedziemy do doków będzie ósma.

— Walizki nasze są już zapewne na okręcie. Swoją drogą, jakie ułatwienia i wygody ma się w Ameryce, co? Telefon i w godzinę masz już rzeczy tam, gdzie chcesz.

74

— Pamiętasz, jak błędziliśmy po Nowym Jorku pierwszego dnia? — roześmiał się Andrzej, gdy wsiadali do górnej kolei.

— Skorzystaliśmy bez wątpienia. Myślę, że teraz chyba na całym świecie damy sobie radę.

— I ja tak myślę.

Gdy wchodzili na statek zgromił ich z miejsca młodszy oficer:

— Już jest po ósmej. Spóźniliście się o trzy minuty. Hallo, bosman, oto dwaj do waszej wachty — zwrócił się do rosłego marynarza, a następnie do dwóch przyjaciół:

— To jest wasz przełożony, pan Garów.

— Tak jest, sir — odpowiedzieli równocześnie i podeszli do bosmana.

Podoficer zaczął ich lustrować, sprawdził muskuły Jerzego, obejrzał obu od stóp do głów.

— Oddajcie książeczki. Podeszedł do latarni i zaczął czytać.

— Kurs Gdynia — gdzie to jest?

— W Polsce — odparł Andrzej.

— Ale jaki kontynent — Azja, Afryka?

— Nie, panie Garów, Europa — odciął się, trochę zły, Andrzej. — Europa, port nad Bałtykiem.

— Dobrze. Nie gadać tyle. Gdynia—Hawr świadectwa chlubne. Hawr—Nowy Jork świadectwa chlubne, a zewsząd zwolnienia. Coś mi się to wydaje podejrzane. Długo jakoś nie popasaliście na jednym okręcie? Co? Marsz do kasztelu, my tu sobie i tak z tym damy radę. Koje siódma i dziewiąta.

Gdy obaj młodzi przyjaciele znaleźli się w kasztelu, Andrzej mruknął:

— A to nas przywitali.

Z góry doleciał ich donośny głos pana Garów:

— Nasza centrala ma talent do wyszukiwania marynarzy, co jeden pętaś, to gorszy.

— Słyszysz? — szepnął Jerzy. Andrzej odzyskał humor:

— To nic. Pokażemy im naszą robotę i wtedy inaczej będą na nas patrzyli. A ręczę, że jak będziemy odchodzili, pan Garów będzie miał większy respekt dla Polaków i Gdyni w Azji nie ulokuje.

75

Powiedzieli sobie dobranoc, zapewnili się wzajem, że wszystko będzie dobrze, położyli się, ale ani Andrzej, ani Jerzy długo w noc nie mogli usnąć przewracając się niespokojnie z boku na bok. Wstali o świcie i zaczęli rozglądać się po kasztelu.

W kojach spało kilku Murzynów, jakiś Malajczyk i Jankesi.

Zaduch panował nieznośny.

Przywitali się z nowymi kolegami, pogadali o tym i owym; dowiedzieli się, że Garów jest zły i dla ludzi okrutny, że kapitan, dobry, ale słaby człowiek, jest pod wpływem pierwszego oficera, który faktycznie rządzi okrętem, i tym podobnych ploteczek.

— Ja wam mówić, Garów zły chłop — perorował krępy, starszy już Murzyn — on lubić pić, on lubić poszturchiwać i głośno wymyślać złe słowa, on nie mieć serce, on mieć zła wątroba zamiast serce, on być kiedyś rozbójnik, ja to mówić, ja Billy, ja go dobrze znać.

— Ale ten mówi jakimś językiem...

Jakiś marynarz objaśnił, że Billy w ogóle nijak mówić nie umie. Zna angielski, francuski, portugalski i hiszpański, i tak mu się wszystko pomieszało, że wreszcie mówi jakimś swoim okropnym językiem, który czasem i zrozumieć trudno.

Rozległ się gwizdek alarmowy. Cała załoga wybiegła na pokład, ustawiając się w dwuszeregu.

Garów przeszedł przed frontem.

— Hej tam, ty Dhill i ty drugi o tym trudnym nazwisku. Lubr... Lubran... — przekreślał — wystąpić z szeregu. Dlaczego nie mówiliście, że centrala zaokrętowała was jako starszych marynarzy?

— Nie pytano nas o to, sir — odparł Andrzej.

— Bo nikomu coś takiego do głowy przyjść nie mogło; starsi marynarze, tu, obraza boska.
— Możemy być nawet zwyczajnymi chłopcami pokładowymi do prostych robót i szorowania statku. Nasza robota przekona, czy potrafimy być starszymi marynarzami, czy nie — odpowiedział Jerzy.

— Oho, tacyście to pewni siebie?

— Siebie nie, ale swej roboty, tak.

Pan Garów splunął przez zęby na dwa metry przed siebie.

76

— Stańcie na prawym skrzydle.

Kapitan Wilston, starszy już człowiek, o łagodnych, siwych oczach, zbliżał się w towarzystwie porucznika Atkinsona i młodszego oficera Stroma.

Garów zaczął kolejno wywoływać po nazwisku ludzi z załogi i przedstawiać oficerom. Po skończonej ceremonii padła komenda:

•— Do roboty! Pierwsza wachta na dół układać towar, druga na pokład podawać, a trzecia do dźwigów.

XXI

Przed wieczorem drugiego dnia okręt miał już w swym wnętrzu cały ładunek maszyn i samochodów przeznaczonych do Santos, skąd w drodze powrotnej miał zabrać ładunek kawy.

— Zabronione jest komukolwiek opuszczać statek — grzmiał Garów — w nocy odcumowanie.

Załoga porozchodziła się po statku.

— Teraz obejrzymy sobie to nasze „Chicago” — powiedział Andrzej.

Zeszli do kotłowni, gdzie paru Murzynów-palaczy wzniecało już ogień pod olbrzymim kotłem. Szef-mechanik dłużył coś przy motorze.

— Hej tam — angielskie pieski — pokładowa hołota — czego tu? — przywitał ich jeden z palaczy. — A na górę, mamine synki, tu jest naprawdę praca, a nie zawracanie głowy.

Wyszli jak niepyszni. Na pokładzie, pod wyżką kapitańską, na złożonym luku towarowym spotkali bosmana Garowa.

— Ponieważ jesteście tacy robotni, więc robiąc plan dyżurów przy sterze postanowiłem, że gdy okręt będzie brał wodę, na was wtedy wypadnie kolej. Cóż, nie darmo jesteście starszymi marynarzami? A uprzedzam, że „Chicago”, choć jest najlepszym statkiem towarowym, o pojemności szesnastu tysięcy ton, trochę lubi myszkować.

— Tak jest, sir — odpowiedział Andrzej i odszedł z Jerzym pod lewą burtę.

n

— Słuchaj, Andrzej, co to znaczy, że statek myszkuje, albo że bierze wodę?

— Statek bierze wodę, to znaczy zalewają go fale, a myszkuje wtedy, gdy ma wadę w budowie, wskutek której jest naro-wisty i zbacza z kursu to na prawo, to na lewo.

— Aha, rozumiem. Ale ten Garów to antypatyczna bestia. Nieoczekiwanie usłyszeli gwizd alarmowy.

Załoga zbiegła się i jak zwykle ustawiła się w dwa rzędy.

Po schodkach wszedł na pokład pan Davis z Mary. Kapitan dziękował wzruszony, że sam pan prezes zarządu raczył przybyć z córką na „Chicago” przed wyruszeniem. Garów rozdziawił usta, a gdy zobaczył, że Mary podchodzi do Andrzeja i Jerzego i rozmawia z nimi, stracił zupełnie kontenans.

— Polecam pana uwadze tych dwóch chłopców — powiedział pan Davis. •— Chciałbym ich wyszkolić na oficerów, są to bowiem wykształceni i inteligentni młodzi ludzie.

— Od razu to zauważyłem — odpowiedział kapitan. — Garów, dacie tym dwom starszym marynarzom oddzielną kajutę, tę obok pańskiej, na dwie koje. Starsi marynarze nie powinni w ogóle sypiać w kasztelu.

— Tak jest, sir — odpowiedział Garów.

— Życzę panom dobrej podróży — Mary podała rączkę Jerzemu i Andrzejowi — a po powrocie z Brazylii proszę nas odwiedzić.

Po odejściu prezesa i jego córki kapitan zawołał obu przyjaciół.

— No, chłopcy, myślę że skorzystacie i nauczycie się czegoś.

— Spodziewamy się, sir.

A Garów, gdy im otwierał miniaturową kajutę z łózkami jedno nad drugim, mruknął:

— Tu będzie wam chyba wygodnie. Tu mieszkał nawet mój pomocnik.

Syrena okrętowa zawyła, do „Chicago” podpłynął holownik i wolno zaczął go wyciągać z portu.

— I znów na oceanie — zawołał Jerzy. — Zdaje mi się, że dzięki interwencji pana Davisa życie nie popłynie nam tak ciężko, jakeśmy to sobie w pierwszych chwilach wyobrażali.

18

Na progu kajutki stanął Garów.

— Dhil, dyżur od północy do drugiej, a ty do czwartej. A trzymajcie ster mocno w garści, okręt lubi myszkować, zła-szcza w rękach takich wytrawnych marynarzy, co to ich sam pan prezes popiera.

Rozległy się zwykle trzaski statku zmagającego się z naporem fal.

XXII

— Maszynkę kotwiczną doprowadzić do ładu, nie łaska? Co? — ryczał z całej siły Garów.

Paru marynarzy powlokło się leniwie na dziób okrętu.

— Pies ten Garów — mruknął któryś.

Jerzy stał przy sterze. Poznał już małe narowy statku i czuł się przy kole dosyć pewnie.

Andrzej pejlingował jakąś latarnię morską, obok której przejeżdżali. (Pejling jest to kierunek kompasowy przedmiotu widzianego z okrętu).

Andrzej ustawił na kociołku kompasu pejlingator, spojrzął przez szparę i celownik na latarnię morską; sprawdził na kompasie kierunek latarni, i podał wynik obserwacji porucznikowi.

— Dobrze.

Porucznik wszedł do kabiny przylegającej do pomostku. Na dużym stole leżała mapa Merkatora, na niej cyrkle, ekierka, kątomierze i ołówki. Na ścianach wisiały termometry i barometry. Kabina taka to mózg okrętu. Tu oblicza się drogę, wytycza kursy, dokonuje poprawek kompasowych. Na każdym bowiem okręcie oddziałują na igłę magnetyczną wpływy uboczne, jak obecność żelaza i tym podobne. Trzeba więc, chcąc otrzymać właściwy kierunek kompasowy, uwzględnić poprawki.

Jerzy zauważył, że od lewej strony burty fala zaczyna spychać dziób okrętu z wyznaczonego kursu. Przekręcił sterem i wyrównał kurs. Manipulację tę musiał powtarzać bez końca.

Powoli zaczęło się ściemniać. Morze szumiało bezustannie.

— Hej tam, bosman — zawołał kapitan, który nagle zjawił się na pomostku.

79

— Jestem, sir — głos groźnego pana Garów zabrzmiał łagodnie spod drzwi kasztelu.

— Sprawdzić czy brezenty dobrze naciągnięte na luki towarowe, coś mi na ulewę wygląda.

— Tak jest, sir.

W chwilę później słychać było, jak w zadymioną czeluść kasztelu Garów rzucał ludziom rozkazy:

— Hej tam, John, Calvin i wy w kącie też, na pokład wszyscy, do roboty wałkonie.

Krzyczał, wymyślał, klął, aż w pewnym momencie wszystko ucichło.

Widać, robota została wykonana.

— Luki w porządku, sir — raportował.

— Wygląda tak, jakby się miało na burzę zanosić — mruknął kapitan jakby do siebie.

Tymczasem dma stawała się coraz silniejsza. Zaczął mżyć drobny deszcz. Morze jakby ocknęło się z dotychczasowego uspienia, fale potężniały z chwili na chwilę, z siłą przelewały się jedna przez drugą.

— Trzymać kurs! — rozległ się głos oficera.

80

Jerzy wpił się wzrokiem w kompas. Obracał sterem coraz szybciej, fale coraz częściej zrzucały okręt z wytyczonej drogi. Wały wodne, jakby z daleka wiatrem gnane, piętrzyły się wysoko w górę, szumiące, pełne jakiejś majestatycznej grozy.

Morze sfałdowane długimi falami skotłowało się nagle. Na wierzchołkach wałów wodnych potworzyły się wtórne fale, które na swoich grzbietach niosły jeszcze mniejsze. •

Cała ta masa wody, bezmiar jej, rzucił się z furią na okręt, wykręcił nim i podrzucił jak wiórem.

— Trzymać kurs!

Deszcz, jakby tylko czekając na tę chwilę, wylał się nagle rzęsystrymi strumieniami. Z nieba spłynęły potoki wody, szum przeszedł w grzmot, w jęczący poświst, w bezmiar krzyku rozpętanego żywiołu.

Statek zapadł w dół, ześlizgując się po grzbietach ogromnych fal, by, schwytany przez następne, podnosić się na ich szczyt i znów runąć.

— Trzymać kurs!

Jerzy przywarł do koła. Patrzył skupiony w kompas, to znów na bezmiar morza, wsterowywał klinem dziób okrętu w wały wodne, działał jak automatyczna maszyna. I nagle poczuł, że całym sobą, całym swym jestestwem jest zespolony z organizmem okrętu, że stał się jego częścią składową, nieodłączną i konieczną.

— Pieska garuga — pomrukiwał kapitan stając obok Jerzego.

— Garuga... już wiem! — przypomniał sobie Jerzy lekcje z Andrzejem — jest to krótkotrwała burza.

Zaszumiało, zasyczało, przez pokład przeleciała woda, fala jedna, potem druga. Huśtawka potęgowała się z chwili na chwilę.

Jerzy przekręcił trochę za mocno ster i wał wody z lewej strony chlusnął z szyderczym chichotem na pokład, zalał cały okręt, bryznął na pomostek kapitański. W ślad za nim rzucił się drugi wał, jeszcze większy. Fala przeszła Jerzemu nad głowę; wczepił się kurczowo w ster, odetchnął, zachłysnął się słoną wodą; zanim zdążył opamiętać się, nowa fala przeszła nad stat-

6 Przez morza i dżungle

81

kiem, zalała go na chwilę, po czym na nowo wypłynął na wierzchołek fali.

— Trzymać kurs!

Mimo przejmującego, zimnego deszczu Jerzy był spocony. Pracował rzetelnie.

— Druga zmiana!

Jerzy zamienił się na miejsca z Andrzejem, który teraz chwycił ster.

— Trzymać kurs!

Około czwartej w nocy przyczłapał Garów z kasztelu ze zmianą. Andrzej i Jerzy czołgali się ze schodków, pełzając po nich nieledwie. Na dolnym pokładzie Andrzej krzyknął — trzymaj się linki!

Ponad nimi przeszła fala. Długą, zda się nieskończenie długą chwilę stali pod naporem wody. Gdy statek wspiał się na grzbiet fali, przebiegli szybko do drzwi kasztelu i zsunęli się na dół. Byli zmęczeni i głodni.

— Jeść dacie? — zapytał Andrzej.

— A idź do kuchni. „Cook”! śpi i możesz zjeść choćby te myszy, co się po garnkach gonią

— mruknął jakiś zaspany głos.

Część załogi siedząca w kasztelu grała w karty. Inni spali. Murzyn Joe chrapał donośnie w swojej koi.

Andrzej wyszedł z ogólnej izby i otworzył drzwi do małej kajutki.

Jerzy stał obnażony do pasa i wycierał się włochatym ręcznikiem.

— Muszę wszystko zdjąć z siebie i przebrać się, jestem mokry jak mops po kąpieli.
— Jak to przebrać się? A spać nie łaska?
— Spać?... przecież jest burza. Prawdziwa, jak sto diabłów.
— To ty masz zamiar każdą burzę przesiedzieć w ubraniu? Nie, mój bracie. Jak będziemy potrzebni, to nas pan Garów na pewno obudzi, nawet, jeżeli go znam, dość brutalnie. A teraz... dobranoc.

*) Kucharz w języku angielskim.

XXIII

Gdy się obudzili, pogoda się polepszyła. Fale szły wprawdzie duże, lecz okręt nie brał już wody.

Garów wypędził całą załogę na pokład dla uporządkowania okrętu, sprawdzenia brezentów na lukach i tym podobnych, koniecznych po ulewie czynności.

Na głównym maszcie przepaliła się lampka.

— Masz tu zapasową, drałuj na górę — zawołał Garów do jednego z marynarzy.

— Mam się wspinać po maszcie z lampką, teraz?

— Tak.

— Po co? Przecież można to samo zrobić po obiedzie, statek nie będzie się tak kołysał.

W odpowiedzi na to Garów zamachnął się i uderzył go w twarz.

— Garów, za co go bijesz? — zawołał kolega poszkodowanego.

Uderzony leżał na podłodze i nie ruszał się.

— Nie Garów, a pan Garów, rozumiesz durniu? Jeśliś taki odważny, to też pójdziesz na ten maszt.

— Nie pójdę.

— Co?

Garów podniósł rękę, ale rosły Tommy Miller uprzedził uderzenie i zdzielił Garowa przez głowę. Tamten zachwiał się, splunął krwią, ryknął i rzucił się na Tommy'ego.

Szczepili się ze sobą. Marynarze otoczyli ich kołem i zachęcając wykrzyknikami do bójki cieszyli się niezmiernie z całego zajścia.

— Bij Garowa!

— Wał, co sił!

Z pomostku krzyknął kapitan:

— Stać tam!

W chwilę potem znalazł się na dole.

Zziębnięty Garów jął opowiadać o przebiegu wypadku. Właściwie nie opowiadał, a wyrzucał z siebie w chaotycznym bełładzie słów setki przekleństw.

83

— Milczeć! — krzyknął podrażniony kapitan. — Jak było? — zwrócił się do Andrzeja.

— Pan Garów kazał zmienić lampkę na maszcie, marynarz zaproponował, aby tę czynność odłożyć, aż morze się nieco uspokoi.

— Czy powiedział, że nie wykona rozkazu?

— Nie. Dosłownie powiedział: „Przecież można to samo zrobić po obiedzie, statek nie będzie tak kołysał”.

— Co dalej?

— W odpowiedzi na to pan Garów wymierzył mu policzek i ogłuszył go.

— Co dalej?

— Miller ujął się za kolegą, nastąpiła bijatyka, resztę pan sam widział, sir.

Kapitan chrząknął.

— Skoro bosman wydał rozkaz, lampa musi być zmieniona. Morze kołysze czy nie kołysze

— jazda na górę! Kto na ochotnika?

— Ja! — zawołał Jerzy.

— Ja! — krzyknął równocześnie Andrzej.

— Idź ty — kapitan zwrócił się do Andrzeja — a bosman ze mną; mamy z sobą do pogadania.

— Ha — ha — ha — śmiali się marynarze — wiemy to dobrze, co znaczy, jak kapitan ma na osobności do pogadania z bosmanem.

•— Będzie miał za swoje.

— I za naszą krzywdę.

Andrzej zaczął się wspinać na maszt. Schował żarówkę do kieszeni i szczebel po szczeblu wchodził po poprzecznych deseczkach przybitych do masztu.

Z dołu dochodziły go głosy marynarzy:

— Już dosyć tego.

— Precz z bosmanem.

Szedł dalej spokojnie, nie zważając, że im wyżej wchodzi, tym silniej się kołysze i wiatr go sypcha.

Z całej siły uczepił się masztu. Czasem widział morze za prawą, czasem za lewą burtą. W pewnej chwili zakreśliło mu się trochę w głowie, ale opanował się i szedł spokojnie dalej.

84

Tymczasem na dole krzyczeli coraz głośniejsze. Wyszedł kapitan. •— Co tu się dzieje?

— Tu nie okręt wojenny, sir — odezwał się Tommy. — Dyscyplina i tak za duża, a bić ludzi nie wolno. To jest statek handlowy, sir.

— Nie twoja rzecz — uciął kapitan.

— Moja. Bosman traktuje nas jak niewolników, jak psy. Pomruk przeszedł wśród załogi.

— Z takim bosmanem nikt wracać nie będzie, niech pan kapitan szuka innej załogi w Santos

— odezwał się któryś z marynarzy.

— A najlepiej, niech Garów nie będzie bosmanem — odezwał się znowu Tommy — nas poganiać nie trzeba, sami wiemy, co robić.

Głosy podnosiły się. Garów, który wyszedł za kapitanem, chciał coś powiedzieć, lecz kapitan przerwał mu.

— Bosman do mojej kajuty, tam czekać na mnie. Garów odszedł.

Kapitan zwrócił się po jego odejściu do załogi:

— Chcecie mnie uczyć, co mam robić? Ja tu jestem kapitanem czy wy? Co?

— Z takim bosmanem nikt nie wytrzyma, bije i piekli się od rana do nocy.

— • Panie poruczniku! — zawołał kapitan.

— Jestem, sir.

— Zarządzi pan pracę i dopilnuje. Wyczyścić pokład, pomalować, co trzeba, a wy chłopcy do roboty.

Odwrócił się i odszedł. Na górce skinął na młodszego oficera, podporucznika Stroma, i wszedł z nim do kabiny nawigacyjnej. — Słyszał pan?

— Tak jest, sir.

— Niedobrze. Nie lubię awantur na morzu podczas złej pogody, a barometr...

— Ciągłe spada.

— Jeżeli w nocy będziemy znów mieli przeprawę z morzem, gotowi tego Garowa cichaczem przez burtę wyrzucić, na pokarm dla ryb.

86

— Jeżeli wolno mi powiedzieć... — Proszę, słucham.

— Garów jest do niczego. Autorytetu u ludzi nie ma, więcej krzyczy niż robi, a otacza go nienawiść.

— Wiem o tym.

— Gdyby go po prostu złożyć z" bosmanowania.

— To byłoby najgorzej. Wyglądałoby tak, jak gdybym uląkł się załogi.

— Skoro jednak załoga ma rację?

Kapitan spojrzał uważniej na swego młodszego oficera.

— Drogi panie, pan jest... jest... jeszcze bardzo młody, to właśnie chciałem powiedzieć.
— Jeżeli Garów będzie nadal pełnił funkcję, będzie się mścił, a to może mieć fatalne rezultaty
— odezwał się podporucznik.
— Mam dostatecznie mocną rękę, panie Strom — odparł kapitan.
— Ustępstwo nie zawsze jest oznaką słabości, sir...
— Może pan już odejść na pomostek.

Strom poczerwieniał, skłonił się i odszedł. Kapitan zapalił fajkę, popatrzył na barometr i wyszedł za młodszym oficerem.

— Panie Atkinson, dziś w nocy będą przy sterze na zmianę ci dwaj Polacy; niech pan ich wobec tego zwolni z wszelkich czynności przez dzień, aby się mogli wyspać.
Garów, któremu kapitan ostro zwrócił uwagę za jego postępowanie, poszedł do swych zajęć i spoode łba patrzył na załogę. Starał się normalnym głosem wydawać dyspozycje, czuć jednak było, że dzieje się z nim coś niezwykłego. Kipiał, a musiał się hamować. Jakoż niedługo umiał panować nad swą złością: awantura była nieunikniona.

Gdy o godzinie dziesiątej wieczorem Jerzy stanął u steru, a Andrzej siedząc na jakiejś pace przegryzał chleb z masłem, Garów podszedł do niego i odezwał się z chytrze maskowaną złością:

— Zachciało ci się na ochotnika łązić na maszt, żeby się przed wszystkimi popisać? Do popisywania się to ty masz talent, do roboty za to mniejszy. Lampa znów coś migoce. Będziesz musiał teraz już nie na ochotnika, ale z mojego rozkazu pójść jeszcze raz na górę.
87

Andrzej spojrział w górę. Lampa paliła się normalnie.

— Pan się myli, światło działa zupełnie dobrze, proszę spojrzeć.
— Nie odpowiadać tylko iść, jak każę.

Koło Andrzeja zgrupowali się członkowie załogi. Było ciemno. Dma szła mocna. Statek z jakąś bezsilną furią dziobał pochylające się fale. Światelko na maszcie chwiało się bez ustanku, w lewo i w prawo, to w tył, to znów w przód.

— Panie Garów — odezwał się dobrodusznie murzyn Josoe — światło jak światło, pali się przecież, a gdzie w taką ciemną noc drapać się na górę. Można spaść do wody i tyle.

— Milczeć, czarna małpo! — krzyknął Garów. Nagle pohamował się i zaczął mówić stłumionym szeptem:

—• To wy się skarżyć będziecie na mnie? Zęby powybijam, że ani jeden nie zostanie, gęby wam tak pokieruszuję, że... Ja wam pokażę — zbliżył się do Andrzeja — na górę, marsz! Andrzej wstał.

— Dobrze.

— Nie chodź — zaczęli go buntować koledzy.

— Pójdę, panie Garów, spełnię rozkaz, bo znam prawo marynarskie, ale potem zapytam się kapitana, co o tym sądzi. Załoga podniosła krzyk.

— Dosyć tego Garowa, na śmierć chłopca wysyła! Stroni usłyszał krzyki i pobiegł do kapitana.

— Ostrzegalem pana kapitana...

— Co pan mówi, za młody jesteś na to, aby się ciągle z naukami wrywać — irytował się kapitan i wybiegł na pokład. Koło masztu stała załoga.

— Co tu robicie?

— Garów kazał Dhillowi wyjść na górę, mówił, że lampa migoce.

Kapitan spojrział na światło.

— Dhill.M — zawołał.

— Słucham, sir — doszedł zebranych głos z góry.

— Złaż!

— Tak jest, sir.

Po chwili Andrzej stanął obok kapitana, który odezwał się poważnie.

— Garów, sprawa z tą lampą nie jest tak prosta, jakby się zdawało. Musisz sam iść na górę i sprawdzić, nie można tej czynności powierzać mało doświadczonym.

Garów zawahał się. Stał osłupiały.

— No jazda, przędzej! — zawołał kapitan. Załoga wybuchnęła śmiechem.

Garów, trzęsąc się jak w febrze, podszedł do maszty.

— Jestem trochę za ciężki na drapanie się po maszcie, panie kapitanie...

— Powiedziałeś ciężki?

— Tak sir.

— Ciekawe, że ci to przeszkadza. Mnie się zdaje, że się będziesz dlatego właśnie lepiej trzymał maszty.

Resztę słów zagłuszył ryk śmiechu marynarzy.

Posypały się niemiłosierne drwiny.

Garów objął maszt i wstąpił na pierwszy szczebel.

— Jazda do góry!

Statek zakołysał silniej, chlusnęło wodą na pokład. Wiatr wył za burtą jakby wszyscy diabli zwoływali się na sabat czarownic. Mokra było, ślisko, a podrzuty statku wstrząsały wszystkimi nerwami. Załoga, zła i przemoczona, teraz z sadystyczną satysfakcją patrzyła na to niecodzienne widowisko. Widać było, że i kapitan miał tego wszystkiego dosyć, bo jakaś nieznana marynarzom zła nuta zabrzmiała w jego głosie, gdy krzyknął w ciemność, w górę do Garowa:

— Do góry, przędzej!

Po długiej chwili Garów zsunął się na pokład.

— Byłeś na górze?

— Tak jest, sir.

— Kłamie! — zaczęto wołać — kłamie, ja mam dobry wzrok, wlaź najwyżej na cztery metry.

Garów stał jak skazaniec.

— Dhil! — krzyknął kapitan — od dziś jesteś bosmanem, a Garowa za niewykonanie mojego rozkazu zatrzymasz w areszcie. W Santos, po wypłaceniu tego, co mu się należy, zwolnisz go ze służby.

Kapitan odszedł.

— Niech żyje kapitan! — Niech żyje bosman Dhil! — krzyknęła załoga.

Zaczęto popychać Garowa.

— Stać! — krzyknął Dhil.

Sam odprowadził Garowa do aresztu, zamknął drzwi kluczem, który odebrał od eksbosmana i wrócił na pokład.

— Wstyd koledzy, skoro wróg jest powalony, nie wolno się nad nim przecie pastwić ani z niego kpić. Skończone! Zrozumiano? — zawołał Dhil.

— Tak jest, sir. Racja! — odkrzyknęła załoga.

— A teraz ci, którzy nie są potrzebni, spać. Wydawał komendy głosem bardzo spokojnym.

— Lubraskiego zastąpi przy sterze Tommy, potem Joe. Dobranoc wam chłopcy.

— Dobrej nocy, sir — odparli chórem. Gwarząc rozeszli się.

— Ten sobie da radę — mówił do Stroma kapitan. — Załozie można zrobić ustępstwo, ale w porę. Zapamiętaj to sobie młody przyjacielu, musi to nastąpić we właściwym momencie, w przeciwnym razie nastąpi rozluźnienie dyscypliny, a w ślad za tym idzie bezład.

Gdy Tommy zluzował Jerzego, pogoda, mimo złych zapowiedzi barometru, poprawiła się.

Księżyc wyjrzał zza chmur i pobielił swym zimnym światłem pokład okrętu. Bełty fal spokorniały, okręt lekko kołysząc szedł po swoim kursie.

Andrzej obszedł cały statek i wszedł do swej koi. Zastał Jerzego siedzącego na pryczy.

— Jurek, nie chce ci się spać?

Jerzy zerwał się, i stanął w urzędowej postawie.

— Nie, sir.

— Zwariowałeś?

— Tak! Z radości! Zresztą oddaję bosmanowi, co mu się należy. .

Spojrzeni po sobie.

Jerzemu zakręciły się w oczach łzy, odwrócił głowę i nagle rzucili się sobie w objęcia.

90

XXIV

Billy, ten sam Murzyn, który zaraz pierwszego wieczora tak źle usposabiał Andrzeja i Jerzego do bosmana Garowa, siedział na progu kambuza i głaskając starego czarnego kota okrętowego mruczał:

— Dobra kot, dobra bardzo, a Garów była zła bosman. Kot chodzić po pokład i jeść dobre jedzenie, a Garów siedzieć w komórka i być smutna, bardzo smutna. Jamba.

— Do kogo to tak gadasz, Billy? — zapytał „cook” wracając z przechadzki po pokładzie do swojej kuchni — a poza tym co to znaczy „jamba”?

— Billy gadać do kot, a jamba znaczyć jamba.

— A kot ci odpowiada? — zaśmiał się rubasznie kucharz — i mówi do ciebie „jamba, jamba”.

— On umieć słuchać, umieć rozumieć i nie przerywać. To mądry być kot.

— To niby znaczy, że ja nie daję nikomu przyjść do słowa i zawsze przerywam — co?

— To znaczy: na każda okręt „cook” to wielka gęba i do mówić i do jeść.

Kucharz zirytował się nie na żarty.

— Słuchaj ty, Billy, żyliśmy w zgodzie, ale jak widzisz mnie tu żywego, ja ci ten wełnisty łeb rozwałę. Mnie się będziesz czepiał, mnie, który wam gotuję?...

— Niesmacznie i podle — dorzucił Tommy podchodząc do rozmawiających.

Tommy od czasu gdy pobił Garowa, stał się pewny siebie i nieco arogancki. Robił wprawdzie wszystko, co do niego należało, ale zawsze starał się akcentować pewną wyższość wobec kolegów. Dokładał starań, by kucharz wyrobił sobie o nim przekonanie, że jest na okręcie ważną osobą. Miał w tym pewne ukryte cele: lubił dobrze i obficie jeść.

Kucharz spojrzał z wyrzutem na Tommy'ego.

— I to ty mówisz, Tommy, ty, któremu daję najlepsze kąski? Zaczęli sobie dogadywać.

Nie wiadomo jak i kiedy, „cook” rozgoryczony i zdrażniony

91

w swej ambicji do żywego wbiegł do kuchni, chwycił wielką łyżkę do rozlewania zupy i wybiegłszy z powrotem na pokład chciał zdzielić nią Tommy'ego. Tommy uskokzył zgrabnie w bok, tak że uderzenie przeznaczone dla niego spadło na głowę Bil-ly'ego, który nie spodziewając się natarcia, jako że klótni przysłuchiwał się w milczeniu, wydał głośny okrzyk i rzucił się na przeciwnika. „Cook” uskokzył i Billy całym rozpędem wpadł do kuchni, przewrócił się i pociągnął za sobą worek mąki. Po chwili wyszedł cały upudrowany, a wyglądał tak śmiesznie, że obaj przeciwnicy, „cook” i Tommy, wybuchnęli zgodną salwą śmiechu. •

Billy na czarnej spotniałej twarzy, na kędzierzawej czuprynie, wszędzie posypany był białą mąką. Murzyn, nie orientując się jak wygląda i widząc, że ci dwaj którzy sprzeczali się, śmieją się obecnie z niego, będąc z natury podejrzliwy, sądził że cała scena była z góry ukartowana, by sobie z niego zadrwić. Ryknął więc w furii strasznym głosem i rzucił się na Tommy'ego, uderzył go z całej siły w głowę i nim ten mógł oddać cios, rozwścieczony Billy grzmotnął w głowę kucharza tak skutecznie, że pocziwy „cook” bez słowa jęku usunął się na podłogę.

Teraz zwarli się z sobą Billy i Tommy.

Na tę scenę nadszedł kapitan.

— Baczość! Odskokczyli od siebie.

Kapitan spojrzął na umęczonego Murzyna, na Tommy'ego, któremu ciekła struga krwi z nosa, wreszcie na leżącego bez duszy kucharza i zawołał głosem nie wróżącym nic dobrego:

— Bosman!

Przybiegł Andrzej, a za nim paru z załogi, którzy w danej chwili nie mieli nic do roboty.

— Jestem, sir — zameldował się Andrzej.

— Co do diaska, co się tu dzieje, co za porządki? Bijatyki, awantury. Zrobić mi z tym w tej chwili porządek.

Kapitan odszedł na pomostek.

Andrzej wezwał dwóch ludzi i wskazał na zemdlonego kucharza:

— Wiadro wody na łeb, ocucić go.

Marynarze zabrali się bez zapału do ratowania kucharza.

92

Chcieli być świadkami tego, co nastąpi, a tu kazano im ocucić kuchtę. Na szczęście jednak dla nich „cook” odzyskał wkrótce przytomność.

— Zabił mnie ten czarny łotr. Tommy mnie sponiewierał, kości mi połamali hultaje |— lamentował.

— Marsz do kuchni! — krzyknął Andrzej, a potem zwracając się do sprawców zajścia zawołał:

— Wstyd wam czy nie? Przez was mam mieć wymówki od kapitana. Stare chłopcy, a zachowują się jak łobuzy. Dlaczego pobiliście kucharza?

Billy uderzył w pokorę.

— Moja być wina.

Ale Tommy'emu nie podobało się takie postawienie sprawy. Po tym, tak sobie wyobrażał, gdy usunięto przez niego Garowa, nie imponował mu bosman.

— Co tam wstyd? Załatwiliśmy swoje osobiste sprawy poza służbą. Nasza rzecz.

— Na statku nie wolno zakłócać spokoju :— powiedział dobitnie Andrzej — zostaniesz za to ukarany.

— Dużo sobie z tego robię.

— Co? Słuchajcie chłopcy — zwrócił się do załogi — pod wasz sąd oddaję postępowanie Tommy'ego. Czy wolno tak robić?

Nikt się nie odezwał, ale po minach marynarzy widać było, że uważają postępowanie Tommy'ego za karygodne. Tommy spojrzął wyzywająco.

— Patrzcie, sam nie wie. Bosman, a marynarzy pytać musi. Co jest? Byle pędrak, ledwie od ziemi odrósł, a będzie nam tu bosmanować.

Andrzej poczuł, że krew napływa mu do głowy, opanował się jednak.

— Cofniesz, coś powiedział?

— Ani myślę.

— Cofniesz?

— Nie.

Andrzej był niezłym bokserem, toteż po jednym uderzeniu w szczękę, Tommy leżał jak długi na pokładzie.

|— Odnieść go do aresztu |— zakomenderował Andrzej — masz tu klucze Joe.

93

Aby się dostać do aresztanckiej celi, trzeba było przejść przez środkowy pokład, na którym wznosił się pomostek kapitański, toteż gdy procesja niosąca Tommy'ego przeszła, kapitan zawołał :

|— Bosman!

Andrzej wbiegł na pomostek. Kapitan patrzył na niego chwilę i nie odzywał się. Jerzy, który miał właśnie dyżur przy sterze, patrzył z ciekawością i niepokojem na Andrzeja, ale zapytać o nic nie mógł.

— Co się stało? —• zapytał po chwili kapitan.

— Kazałem jednego z załogi zaarrestować i odprowadzić do celki.

— Jak to odprowadzić — przecież go nieśli?

— Byłem zmuszony uderzyć go.

— Należy unikać takich smutnych konieczności.

— Doskonale sobie zdaję z tego sprawę, sir.

— Możecie odejść, bosmanie.

Andrzej zbiegł na dół i zwołał marynarzy. Miał do nich mowę

o dyscyplinie i o porządku, przemawiał do ich serc i rozumu,

1 właśnie wtedy, gdy porucznik Atkinson przekonywał kapitana, że na okręcie znów zapanują niepokoje, doszedł do ich uszu krzyk załogi:

— Niech żyje bosman Dhil!

Kapitan spojrział na swego pierwszego oficera i zaczął w skupieniu nabijać fajkę.

Atkinson prawdę powiedziawszy trochę zgłupiał, a kapitan nic już nie mówił.

XXV

Wszystko wróciło do normalnego trybu życia. Na pomostku stał kapitan, oficerowie, Andrzej, który przyszedł po dyspozycje, i Jerzy przy sterze. Pogoda była wspaniała. Okręt wszedł już w strefy zwrotnikowe. Ocean był spokojny, wyglądał jak szklana tafla. Nic nie mąciło harmonii doskonałej ciszy.

94

Naraz rozległy się jakieś krzyki.

— Co tam u licha? — zniecierpliwiał się kapitan.

Andrzej przeskoczył jednym susem barierę i ześliznął się na pokład.

— Panie — mówił Joe — w areszcie dzieje się coś niezwykłego.

— Niech pan pójdzie zobaczyć! — zwrócił się kapitan do podporucznika Stroma.

Gdy porucznik, Andrzej i kilku marynarzy znaleźli się przed drzwiami celi mieszczącej się na prawo od kasztelu, doleciał ich uszu jakiś łomot. Otworzono drzwi i oczom przybyłych ukazał się niecodzienny widok. Garów i Tommy, mocno szczeni z sobą, kotłowali się.

Sprzęty częściowo poprzewracane, częściowo połamane wały się po podłodze.

Rozdzielono napastników. Garowa zostawiono w areszcie, dla Tommy'ego kazał porucznik uprzątnąć kajutkę, którą dotąd zajmował Andrzej z Jerzym.

— Dhil zajmie kajutę bosmańską razem z Lubrańskim.

Zaraportowano o zajściu kapitanowi.

— Niedługo kajut na areszty zabraknie! — kapitan miał minę zafrasowaną.

Andrzej zebrał całą załogę i znów miał do niej wielką przemowę.

— Jeżeli zdarzy się jeszcze raz jakaś bójka — zrzeknę się bosmanowania na korzyść Garowa. W obliczu groźby powrotu Garowa załoga przyrzekła, że bijatyk nie będzie. Jakoż istotnie, przez parę dni panował niczym nie zmacony spokój.

Pod koniec szóstego dnia z kajuty zamienionej na areszt, gdzie siedział zamknięty Tommy, rozległy się hałasy, a potem wycie tak nieludzkie, że mróz przeszedł ludziom po grzbietach.

Andrzej podszedł pod drzwi.

— Co ci się stało?

— Powiedz kapitanowi, że jeżeli mnie nie wypuści na wolność będę tak wył całymi nocami.

Andrzej nic nie odpowiedział. Udał się do kapitana i zawiadomił go o tym.

— Pokrzyczy i przestanie

Tej nocy trudno było spać w kasztelu. Tommy płuca miał silne, wył też od zmierzchu do świtu. Było coś tak strasznego w tym skowycie, że Jerzy poszedł spać na tył okrętu, gdzie położył się na ziemi. Paru innych marynarzy zrobiło to samo.

Krzyki Tommy'ego dolatywały nawet do pomostku oficerów i do saloniku kapitana.

Rano Andrzej raportował:

—| Panie kapitanie, jeżeli Miller nie przestanie wyć, może być bieda. Mamy w kasztelu kilku Murzynów, którzy są przesadni, sam słyszałem, jak Joe mówił „tak wyje śmierć”. Z tego nic dobrego nie wyjdzie. Poza tym cała załoga nie zmrzyła dziś oka.

Kapitan był bezradny.

— Przyjdźcie do mnie za godzinę — powiedział do Andrzeja.

— Mam sposób na tego wyjca — usłyszał Andrzej głos Jerzego.

— Mów...

— Wezmę paru ludzi; pójdziemy i powiemy mu, że jeżeli w tej chwili nie przestanie wyć, to załoga wyważy drzwi aresztu i obije go na kwaśne jabłko.

— Ja nie mogę brać w tym udziału.

— Ale ja mogę i zrobię to, bo cała załoga ma już dość tego wycia.

— Spróbuj, ja jednak oficjalnie o niczym nie wiem. Jerzy pobiegł do kasztelu i zawołał do kolegów:

— Chłopcy, czy my nie dosyć pracujemy? Dosyć chyba, a wyspać się nie można. Jazda za mną! Jeżeli Tommy nie przestanie skowyczeć jak szakał, wywalimy drzwi i zrobimy z nim porządek. Wszystko jedno.

Ruszyli ławą.

Odbyła się rozmowa między Jerzym a Tommym. Ten, sądząc z początku, że to czece pogróżki, wył jeszcze silniej, gdy jednak Jerzy zaczął walić w drzwi, a załoga wygrażać, Tommy zląkł się widocznie, gdyż przestał koncertować.

— Jak jeszcze raz zaczniesz, to zrobimy z tobą porządek taki, że nas popamiętasz — powiedział mu Jerzy odchodząc.

Z pomostu kapitańskiego rozległ się głos:

— Brawo, młody żeglarzu.

7 Przez morza i dżungle 91

Jerzy spojrział w górę. Kapitan stał w towarzystwie obu oficerów i kiwał Jerzemu przyjaźnie głową. Jerzy wyprostował się, skłonił swej władzy i odszedł pełen dumy i zadowolenia.

XXVI

Był ranek. Okręt lekko pruł wody, słońce prażyło niemiłosiernie, promienie niemal prostopadle padały na pokład. Nawet skrawka cienia nie można było znaleźć na całym okręcie. W kajutach panowała duchota. Mimo wentylatorów gorąco dawało się we znaki. Nieroztropni i mniej doświadczeni wypijali kubły wody i pocili się wskutek tego jeszcze bardziej.

Sternik stał bez ruchu. Prowadzenie okrętu na tej połaci oceanu nie przedstawiało trudności. Ot, statek pruł sobie lustro wody, szedł pewnie, spokojnie i bezpiecznie w bezkresach wodnej toni.

Andrzej usiadł na dziobie okrętu, gdzie był jaki taki przewiew. Po chwili nadszedł Jerzy. Usiadł przy nim i zaczął nabijać fajkę. Potem wyspał z powrotem tytoń do gumowego mieszka i machnął ręką.

— Spiekota taka, że nawet palić się nie chce.

Spiekota nie spiekota, musimy nareszcie z sobą poważnie porozmawiać. Jutro będziemy w Santos.

Już wiem, co chcesz powiedzieć. Mówiliśmy o tym nieraz. Należy się zastanowić, co dalej wypada robić. Zostać czy wracać?

— Otóż właśnie to.

— Celem naszej podróży była co prawda Brazylia.

To prawda. Ale przecież zasadniczym celem naszej podróży było zaznajomienie się z pracą Polaków na obczyźnie. Poznaliśmy, bardzo zresztą jednostronnie, Nowy Jork, a w rezultacie nie wykonaliśmy nawet w znikomym procencie naszych zamierzeń. Poza tym nie bardzo" wypada nam odchodzić z okrętu, skoro zostałem bosmanem; jakoś niezręcznie zostawić statek i wyrwać w świat.

'i ~\,-

— Przesadzasz. Dostałeś manii wielkości. W Santos kapitan dostanie tylu marynarzy, ilu tylko zapragnie.

— Nie dostałem manii wielkości, jak się uszczypliwie wyrażasz, tylko uważam, że z każdej sytuacji należy się przyzwoicie wywiązać. Poza tym, czy jednak nie byłoby lepiej wrócić do Stanów Zjednoczonych, tam popracować, a potem wrócić do Brazylii?

Jerzy nie odpowiedział. Po chwili Dhil zapalił fajkę i znów zabrał głos:

— Widzisz,- mój Jurku, to prawda, że chcemy poznać życie Polaków w Ameryce, ale prawda też jest, że nęci nas przygoda; jeżdżąc po świecie uczymy się i jestem tego pewny, nadejdzie dzień, w którym potrafimy wykorzystać nasze doświadczenie. Poza tym nie należy przesadzać; i tak widzimy, że dokładnie

99

nie zbadamy warunków pracy Polaków w całej Ameryce. Zakreślmy sobie mniejszy, skromniejszy program.

— Zgoda, sędzę jednak, że skoro już dopływamy do Brazylii i z takim trudem udało nam się urzeczywistnić, choćby częściowo, nasze plany, zostanmy raczej tutaj, a do Stanów zajedziemy, gdy będziemy wracali do kraju.

— Otóż mam zamiar zrobić tak: jeżeli kapitan dostanie odpowiednich ludzi do obsługi statku zostaniemy w Brazylii, w przeciwnym razie nie ma o czym mówić. Musimy wracać do Stanów Zjednoczonych.

— Zgoda. U

— Wobec tego zaraz pogadam z kapitanem.

Jerzy wyciągnął się i zaczął drzemać. Andrzej poszedł do kapitała i przedstawił mu prośbę o zwolnienie ich ze służby.

Kapitan zdawał się być zaskoczony.

Mówił o tym, że mieli się szkolić u niego na fachowych marynarzy, coś tam niepochlebnego powiedział o niespokojnych duchach, włóczykiach, ale przyrzekł, że jeśli dostanie odpowiedniego bosmana w porcie, wypłaci im należność i wyda marynarskie książeczki.

Tegoż popołudnia podszedł do Jerzego kucharz.

— Chodź do kuchni. Mam ci coś do powiedzenia.

„Cook” zamknął drzwi i odezwał się trochę tchórzliwym szeptem:

— Słuchaj mnie pilnie. Wiesz, że do wszystkich moich, i tak zbyt licznych obowiązków dołączył się i ten jeszcze, że muszę nosić jedzenie Garowowi i Tommy'emu.

— A cóż?... chciałbyś ich głodem morzyć?

— Może by to i było dla was lepiej — odparł tajemniczo.

— Dlaczego?

— Słuchaj no. Poradź bosmanowi i sam sobie zapisz dobrze w głowie to, co ci radzę. Nie wychodźcie wy wcale na brzeg w Santos. Garów odgraża się, że wam kości pogruchoce. W portach Południowej Ameryki zabić człowieka niewielka rzecz; co dnia zdarza się taka historia. Mówię ci, nie wychodźcie wcale na brzeg bo może być bieda.

— My mamy zamiar w ogóle zostać w Santos. „Cook” zmarł w osłupieniu.

— Zwariowaliście? Słońce równika na mózg wam uderzyło? Toż idziecie w ręce śmierci. Wy nie znacie tego Garowa. Ale ja go znam. To zawzięta i mściwa sztuka. On tak łatwo swego nie daruje. On wam nie zapomni ani przebaczy złej noty w książce marynarskiej. On wam nie zapomni więzienia, degradacji i wyrzucenia z pracy. On się zemści.

— Niech psy straszy, nie nas — odparł dumnie Jerzy.

— Pleciesz, bo jesteś młody, zapalony i niedoświadczony. Cały świat chciałbyś wyzwąć do walki. Bardzo to ładnie, ale pędzenie na oślep w nieszczęście to jeszcze nie dowód odwagi. Gdybyś wiedział, że tam, w porcie, czai się na ciebie wściekły pies, który może ugryźć, też

byś leciał mu naprzeciw i uważał, że jesteś bohaterem? A Garów to wściekły pies. Zresztą rób, co chcesz. Nic mi do tego. Uprzedziłem was i sumienie mam spokojne.

Jerzy zamyślił się. Wyszedł z kuchni i odszukał Andrzeja, Nie mógł się jednak z nim porozumieć, bo bosman rozmawiał cały czas z kapitanem, a wieczorem Jerzy znużony położył się spać i zapomniał o całej gadaninie kucharza, do której nie przywiązywał zbytnej wagi.

Nazajutrz o świcie okręt wszedł w zatokę Santos.

Dziwaczne brzegi, oblane słońcem powitały „Chicago” barwami stu tęczy, blaskiem promieni świetlnych i delikatnie rzeźbionymi profilami wzgórz. Zamajaczyły palmy, zrazu dalekie, potem coraz bliższe, o wyraźniej szych już konturach. Okręt wywiesił flagi, zawiadamiając sygnałami, że na okręcie wszyscy zdrowi i że oczekują pilota, który „Chicago” wprowadzi do portu.

Po paru godzinach przycumowano do brzegu, gdzie różnokolorowa zgraja tragarzy przyglądała się okrętowi, oceniając możliwości zarobku przy wyładowywaniu. Jakiś Mula w mundurze policjanta stanął przy schodkach; urzędnicy wchodzili na pokład, ot zwykły ruch i rwetes portowy, tak bardzo odcinający od harmonii spokoju oceanu.

Marynarze stłoczyli się przy barierze. Gapili się na tragarzy, ci na nich. Słowa angielskie mieszały się z portugalskimi.

Na brzegu pracowały wielkie maszyny do ładowania kawy.

100

ioy

Kawę ładuje się w workach sześćdziesięciokilogramowych do piwnic, skąd idą na pasach w górę, wpadają na ruchomy pomost i biegną aż do miejsca, gdzie za pomocą ruchomego pomostu wpadają automatycznie do wnętrza okrętu.

W tej chwili ładowano właśnie kawę na okręt stojący jakieś sto metrów od „Chicago”.

Andrzej kazał otwierać luki i przygotować się do wyładowania towaru.

Kapitan w odświętnym mundurze wyszedł na ląd, aby udać się do agenta towarzystwa.

Część marynarzy, również odświętnie ubranych, otrzymała przepustki, delegat agenta zaczął omawiać z młodszym oficerem sprawę rozładunku.

Kapitan wrócił dopiero wieczorem.

— Słuchajcie, Dhill, mam na wasze miejsce ludzi, ale zastanówcie się dobrze czy zostanieie w Santos, czy też pojedziecie z powrotem. Muszę wiedzieć definitywnie.

— Zostaniemy, panie kapitanie.

— W takim razie jesteście od jutra wolni.

Zwrócił się do pomocnika agenta, napisał parę słów na bilecie wizytowym i wręczając list dodał:

— Zechce to pan odnieść szefowi.

Tegoż wieczora Garów i Tommy odzyskali wolność. Ostatnią noc na okręcie Andrzej i Jerzy spędzili prawie bezsennie na robieniu planów.

— Mamy trochę gotówki, otóż proponuję, abyśmy dojechali do Kurytyby i tam, w kolonii polskiej, poszukali pracy.

— Sądzę, że tak będzie najlepiej.

— Można jechać albo okrętem do Paranagua,¹⁾ a stamtąd koleją do Kurytyby,²⁾ albo z Santos do Sao Paulo, a stamtąd koleją. Ta druga kombinacja jest droższa, ale wygodniejsza.

— Głosuję za pierwszą.

— Zrobione.

Nazajutrz pożegnali się z kapitanem i załogą, i zeszli na ląd.

1

J) Port w stanie Parana w południowej Brazylii. 2) Stolica stanu Parana.

XXVII

Wczesnym rankiem stanęli Andrzej i Jerzy w Paranagua, mieścinie lichej, niewielkiej, czwartorzędnym porcie. Miasto to ma jednak pewne znaczenie historyczne dla dziejów kolonizacji polskiej w stanie Parana. Tu wylądował w roku 1867 statek żaglowy „Emma”, wioząc na swym pokładzie Edmunda Zaporskiego, który po tułaczce przez Argentynę i Brazylię pierwszy ocenił ważność Parany dla polskiej emigracji.

Paranagua wyglądała za czasów Zaporskiego niemal tak samo, jak dziś. Nie było wprawdzie wówczas pięknego budynku gimnazjum i tych kilkunastu samochodów, które od czasu do czasu przebiegają mieścinę, ale była ta sama cisza. Jest to bodajże najsenniejszy port Atlantyku.

Polacy wlekli za sobą długi czas złe słowa, które Klonowicz zrymował:

Może nie wiedzieć Polak, co to morze, Gdy pilnie orze.

Pokutowało to u nas dziesiątki lat. Udaremniało światłym mężom budowanie floty polskiej, a i dziś pokutuje jeszcze w niektórych głowach, które morze utożsamiają z chorobą morską, i nie mają nic z cudownego ducha odkrywczości, nic z umiłowania żywiołu, który wzbogacił Anglików i Holendrów, który i dla nas mógłby być czymś wielkim, podczas gdy dziś jest prawie niczym.

My, którzy rokrocznie wysyłałiśmy tysiące emigrantów, my którzy jeszcze w roku 1929 wysyłałiśmy ich już nawet do Francji, gdybyśmy byli naprawdę poznali morze, gdybyśmy mieli w swoim czasie więcej Krzysztofów Arciszewskich, więcej w dziewiętnastym wieku Rogozińskich, mielibyśmy dziś takie stosunki, że polski handel morski żywiłby nas.

Chociażby tu w Brazylii:

Znów chłop orze, ale kupiec nie osiedlił się w Paranagua. Obce przychodzą do portu statki i obce przywożą towary.

Otóż niestety! znów niestety, Polacy nie osiedlili się lat temu osiemdziesiąt w Paranagua, nie zajęli się handlem i nie

102

103

żyli z morza. Poszli pod Kurytybę uprawiać rolę, wykarmili własną pracą i potem, i rąbaniem dżungli, i trudem, i znojem nieopisanym Kurytybę, w której nie osiedlili się polscy kupcy.

Miasto wzniesione na barach polskiego pioniera jak w większości swej niepolskie.

Jerzy i Andrzej chodzili po porcie; mieli jeszcze godzinę czasu do odejścia pociągu, który miał ich zawieźć do Kurytyby.

— Wszystko poszło jak z płatka i oto jesteśmy w Brazylii — mówił Jerzy.

— Tak. Ale wiesz, co mi przychodzi na myśl? Zostałem bosmanem przez maszt, na który nie chciał wejść Garów. Jak myśmy zmaleli. Dziś na parowcach wejście na maszt zalicza się do sztuki, a na żaglowcach robi się to w czasie burzy. Doprawdy, marynarze schodzą do roli konduktorów na pływających pudłach. Musimy wracać na żaglowcu. Trzeba nam zakosztować prawdziwie marynarskiego życia.

— Dobrze, dobrze, ale przecież jeszcześmy nie dojechali do miejsca przeznaczenia, a ty już mówisz o powrocie. Trzeba trochę pomieszkać na stałym lądzie. Ale, Andrzeju... miałem tyle wrażeń, że zapomniałem zapytać ciebie, dlaczego nie zwiedziliśmy plantacji kawy, skoro byliśmy w Santos.

Andrzej roześmiał się.

— Ależ człowieku, w okolicach Santos rosną banany. Kawę plantują aż za Sao Paulo, koło Campinas. Santos jest jedynie portem, z którego wywożą kawę, tak samo zresztą jak z Rio de Janeiro, Pernambuco, a nawet Paranagua.

— Patrz, jakie piękne ananasy! — zawołał Jerzy.

— Ananasów mu się zachciewa, patrzcie go... milioner. Szli przez wąskie uliczki. Błądząc trochę zaszli na dworzec, wzięli rzeczy z przechowalni i zajęli miejsca w wagonie.

Pociąg ruszył.

Zrazu szedł po równinie, niebawem jednak wpadł z góry Serra do Mar i zaczął się przeciskać koło stoków, czołgać po mostach nad przepaściami, biec w zawody ze strumieniami, które perląc się szumiały w dole.

Dzikie góry i trasa kolejowa rzucona przez nie malowniczą wstęgą zostawiły w umysłach młodych podróżników niezatarte wspomnienia.

104

W Kurytybie stanęli w polskim hoteliku; obiecali sobie nazajutrz odwiedzić polski konsulat. Na razie wyszli, by obejrzeć miasto. Już zaraz na wstępie, gdy wychodzili z peronu, przywitał ich przed dworcem pomnik „Polskiego Siewcy”. W centrum miasta obejrzeli kilka pięknych budynków.

—• Czy możesz sobie to uzmysłwić, Jurku, że pięćdziesiąt lat temu przed masową kolonizacją polską nie było tu niczego?

— Jak to? Miasta nie było?

— Była licha miejscina. Tak, mój drogi. Licha miejscina, coś pomiędzy wsią a osadą, i ten symboliczny siewca polski, który stoi przed dworcem, dźwignął, a raczej zbudował to miasto. Zaczęli rozmawiać o przeszłości Kurytyby. Wstąpili do kościoła św. Stanisława parafii polskiej przy ulicy Aquidabam, potem wrócili do hotelu, by odpocząć przed jutrzejszym dniem, dniem szukania pracy.

Obudziwszy się dość wcześnie, ubrali się i poszli na ulicę 13-Maja, przy której mieści się polski konsulat. Przyjął ich młody urzędnik, który po wysłuchaniu projektów uśmiechnął się i powiedział:

— Szkoda, że panowie mając pracę w Nowym Jorku nie zatrzymali się tam i nie napisali do nas. Tutaj pracy dla inteligentów, zwłaszcza dla władających słabo językiem portugalskim, nie ma. Niestety, młodzież przyjeżdża tu bardzo lekkomyślnie, licząc na traf, na „jakoś to będzie”, i nic nie znajduje. O pracę nie tak tu łatwo.

— My też nie myślimy o pracy przy biurku.

— O pracę fizyczną też trudno. Mamy pod dostatkiem silnych Murzynów, którzy lepiej dźwigają ciężary niż panowie by to uczynić mogli. Poza tym pracodawca zawsze woli mieć ludzi, którzy znają język i z którymi może się dogadać.

— A wieś polska?

— Cóż tam panowie możecie robić? Nie tylko w Brazylii, ale na całym świecie wieś wysyła nadmiar swej ludności do miast. Wieśniak wysyła swego syna w głąb kraju, aby wycinał

105

puszcze i trzebił dżunglę pod nowe gospodarstwo dla siebie. Proszę, niech panowie przyjdą jutro, porozmawiam z panem konsulem i zastanowimy się, jak panom przyjść z pomocą. Na ulicy Jerzy mruknął:

— Nie bardzo nam się udaje.

— A w Nowym Jorku było „bardzo”? Trzeba odczekać, rozejrzeć się.

— No... oczywiście.

Po skromnym obiedzie Jerzy położył się. Głowa bolała go nieznośnie, wieczorem dostał gorączki, był cały rozpalony, tak że zaniepokojony Andrzej chciał wezwać lekarza.

— Daj spokój, do jutra przejdzie.

Ale jutro przyniosło jeszcze większą gorączkę. Lekarz skonstatował silny bronchit i zalecił pozostać w łóżku.

Andrzej pocieszał przyjaciela, ale po paru dniach, obliczywszy kasę, postanowił na razie sam, za wszelką cenę znaleźć jakąś robotę, obawiał się bowiem, że zabraknie wkrótce pieniędzy na hotel i lekarstwa.

Jerzy nie miał apetytu. Lekarz zalecił owoce, wobec czego Andrzej przechodząc koło owocarni zaszedł do sklepu. Przypomniawszy sobie, jak Jerzy zachwycał się w Paranagua ananasami.

— Kupię mu ananasa, niech biedak ma — pomyślał, ale zaraz potem zastanowił się, że mając mało pieniędzy lepiej będzie kupić jabłek.

— Taki sam pożytek, a taniej — rozumował. Po wyjściu ze sklepu stwierdził:

— Tyle tu owoców, a takie drogie.

Zdziwił się, gdy nazajutrz lekarz odezwał się do niego:

— Po cóż to takie zbytki w waszych warunkach materialnych? Nie mógł pan kupić bananów albo ananasów?

Dopiero wtedy Andrzej zorientował się, że ananasy i banany rosną w Brazylii wszędzie prawie i są tanie, jabłka zaś sprowadza się z Kalifornii, ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, wskutek czego są ogromnie drogie.

— Masz tu dwa ananasy! — powiedział wchodząc do Jerzego.

— Po co robisz takie zbytki?

. — Ja? — udał zdziwienie Andrzej. — A cóż to takiego nadzwyczajnego owoce?

106

— Owoce i owoce... wystarczyłoby zupełnie, gdybyś kupił parę jabłek. I tak staję się ciężarem dla ciebie.

— Jerzy, nie wstyd ci w ten sposób odzywać się do przyjaciela? A gdybym ja był chory, czy też stałbym się ciężarem dla ciebie? A co do owoców, zdajesz się nie wiedzieć, mój drogi, że...

Tu opowiedział historię z jabłkami i ananasami, dodając, że ananasy kosztują zaledwie dziesiątą część jabłek.

Któregoś dnia Andrzej wyszedł rano i wrócił dopiero późnym wieczorem.

— Gdzie byłeś? — indagował go Jerzy.

— Znalazłem „posadę”.

— Jaką?

— Noszę cegły przy budowie.

— A ja leżę. Ty nosisz cegły na to, żebym ja mógł leżeć, jak udzielny książę. Nie masz szczęścia do towarzysza podróży.

— Znowu zaczynasz?

Dla obu przyjaciół nastąpiły dni ciężkie i przykre. Po tygodniu Jerzy wstał. Przeprowadzili się do małego pokoiku na przedmieściu. Zapłacili za pokój, ale po przeliczeniu pieniędzy okazało się, że jest ich tak mało, iż muszą zacząć oszczędzać na jedzeniu.

Tego dnia przerwano robotę na budowie i Andrzej stracił zajęcie.

— Gdybyśmy nawet chcieli zaokrętować się, trzeba by wrócić do Santos lub w ostateczności do Paranagua, a na to nie mamy pieniędzy — przedkładał Jerzy — wobec tego nie ma innej rady, należy wytrwać.

— Namówiłem cię do tej jazdy, nakłoniłem do jechania do Brazylii, moja wina, Jurku, a teraz choć głową tłucz o mur, nic nie poradzimy.

— Nie zawracaj głowy, jeżeli z pierwszego niepowodzenia zaczniesz robić tragedię, toś nie wart zaszczytnego miana włóczykija. Chodźmy jutro do konsulatu. Może tam coś wymyślili dla nas. -.

Tym razem przyjął ich sam konsul. Głową kręcił, morały prawił, wreszcie zaprosił ich do siebie, do swego prywatnego mieszkania, mieszczącego się nad biurami konsulatu, gdzie ugościł ich i powiedział:

107

— Lekkomysłnością nie do darowania są te wasze przyjazdy na chybił trafił. Wśród kolonii polskich potrzeba inteligencji, jest tu właśnie dla inteligencji dużo do zdziałania dla dobra wychodźstwa, dla prywatnego dobra jednostek i wreszcie dla samej Polski. Ale nie można przecież przyjeżdżać bez jakichś takich funduszków. Bo w takim razie nie tylko nic nie pomożecie, ale sami staniecie się ciężarem. Nie jesteście w stanie zrobić nic dobrego ani dla

siebie, ani dla kolonii. No... ale skoroście przyjechali, żyć musicie. Mam stosunki z towarzystwem, które wymierza tereny dla przyszłej kolonizacji. Macie pojęcie o miernictwie? — Trochę mam — odpowiedział Jerzy.

— Zresztą nauczycie się, tu każdy obcy inteligent przechodzi przez miernictwo. Wobec tego do jutra.

I dzięki życzliwej interwencji konsula otrzymali posady. Źle płatne wprawdzie, trudne, ale żyć było można.

Poznali swego szefa, pana Roemera, Szweda dość oschłego, z którym mieli za dwa dni wyruszać w góry Serra do Mar, w celu przeprowadzenia w dżungli pomiarów.

— Doskonale się składa, Jurku, będziemy w pochodzie mierniczym przejeżdżali przez polskie wsie, poznamy naszych pionierów i na własnej skórze poczujemy smak dżungli.

Byli jak najlepszej myśli.

Andrzej poszedł do biur towarzystwa, Jerzy zaś został w domu i właśnie kończył przygotowywać posiłek, gdy wpadł zaaferowany Andrzej.

— Co ci się stało? ,

— Nie chcą nas.

— Dlaczego?

— Mówią, że popełniliśmy jakieś nadużycia na statku.

— Skąd... co?

— Bierz nasze książki marynarskie i chodź.

Kłusem pobiegli do konsulatu i przedstawili sprawę. Konsul wydelegował jednego z urzędników i we trzech zgłosili się w towarzystwie.

— W imieniu pana konsula polskiego ręczymy za tych dwóch panów, a oto ich dokumenty marynarskie.

— Cóż u licha?... mruknął referent.

108

Mówił coś przez telefon po portugalsku, czego ani Andrzej ani Jerzy nie rozumieli. W pewnej chwili uderzył obu jeden wyraz: Garów. \ Incydent został wyjaśniony.

— Kucharz uprzedzał mnie, że ten Garów będzie się mścił — odezwał się w drodze do domu Jerzy. — Ale powiedz, skąd on się tu wziął i w jaki sposób może tak wpływać na decyzje towarzystwa?

— Nie rozumiem. Chciałbym go teraz spotkać, popamiętałby mnie, łotr.

Gdy wrócili do domu, gospodarz wręczył im list adresowany do Andrzeja.

Jeszcze między nami rachunki nie wyrównane Panie bosmanie z nieprawdziwego zdarzenia. Tym razem udało się wam, bo się zawsze umiecie schronić pod czyjeś skrzydełka. Ale poczekajcie, ja swego nie daruję, przewrotne żółtodzioby.

List był podpisany literą G.

— I cóż ty na to? — zapytał Jerzy.

— Ano, zobaczymy. Chwała Bogu, że ten Szwed, szef naszej drużyny pomiarowej mówi po francusku i angielsku, dogadamy się z nim, o resztę nie dbam, a co do Garowa... chciałbym go spotkać.

— Ale skąd on się tu wziął?

— Ze świadectwem, jakie ma wypisane w książeczce, zaokrętować się niełatwo. A tu przyjechał zapewne poszukując pracy; dzięki jakiemuś przypadkowi posłyszał nasze nazwiska w towarzystwie i dowiedział się o nas. Ostatecznie nic w tym nadzwyczajnego nie ma.

— Właściwie tak.

Poza tym drobnym wypadkiem nic już nie zakłóciło spokoju i obaj przyjaciele wyjechali z Kury ty by.

Drużyna miernicza miała do dyspozycji dwa stare „Fordy”. Na jednym przewożono instrumenty, na drugim jechało sześciu mierników.

Samochody miały ich dowieźć do punktu, skąd dalszą drogę mieli odbywać konno lub pieszo.

109

XXVIII

Pierwszy tydzień pracy minął na nauce. Brnęli coraz dalej w puszcę i głuszę. Wśród cichego poszumu starych, prastarych drzew snuło się kilku ludzi wymierzając porośłą chwastem oplataną lianami gęstwinię. W ciemni lasu odzywały się niekiedy głosy zwierząt, skrzeczały papugi lub naśladowały ludzkie głosy małpki, poza tym cisza, cisza przerywana tylko jednostajnym szemraniem listowia drzew.

Jerzy i Andrzej patrzyli na te cuda przyrody onieśmieleni, zachwyceni. Z początku mówili do siebie przytłumionymi głosami, jak gdyby nie chcieli mącić harmonii ciszy.

— Uważaj... — Andrzej wskazał pod stopy Jerzego, zaraz pierwszego ranka po przybyciu do puszczy.

Jerzy cofnął się odruchowo.

Parę kroków przed nim czołgał się sycząc jakiś wąż.

Dla ochrony przed gadami, których bez liku było w puszczy, mieli na nogach wysokie obuwie z twardej skóry. Nie na wiele się to jednak zda w dziewiczym lesie Ameryki Południowej, gdyż duża ilość węży nie tylko pełza po ziemi, ale wisi również na konarach drzew i czasami trudno je dojrzeć.

Z początku mimo woli bali się. Lękali się kwiatów i drzew trujących, lękali się chytryści gadów i płazów; z czasem jednak spoufalili się z niebezpieczeństwem i nauczyli się je omijać. Któregoś dnia zawołał ich szef, pokazał plany i powiedział:

— Oto okręg A IV. Udacie się tam we dwóch i sporządzicie dokładne pomiary. Zajmie wam to około miesiąca czasu. Ja będę tu — wskazał miejsce na mapie • — gdy skończę robotę, wyślę do was gońca i zjedziemy się w umówionym punkcie. Oto pieniądze. Do noszenia narzędzi najmijcie Murzynów: dwóch dostaniecie ode mnie, o resztę musicie się sami postarać. Gospodarujcie oszczędnie. Konserw odpowiednią ilość dostaniecie z naszego magazynu. Z „cabocłami” nie zadzierajcie. W języku portugalskim robicie zadziwiające postępy, mam nadzieję, że jakoś wam pójdzie.

Rozstali się. ,

I gdy pierwszego dnia sami szli na czele paru Murzynów, Jerzy zabił pierwszego węża.

Gad leżał na ziemi i sycząc zwracał swą paszczę ku zbliżającym się.

Jerzy uderzył go w grzbiet lekko, aby nie przeciąć gada, a potem mocno w głowę.

— Skądżeś ty wiedział, jak należy zabijać węża? — zapytał Andrzej.

— Słyszałem rozmowę Murzynów. Gdybym za mocno uderzył i przeciął gada, ten rzuciłby się na mnie z całą pewnością. Chodzi o to, aby mu poprzecinać kręgi, wtedy wąż mając sparaliżowaną część ciała, którą musi wlec za sobą, nie może wykonać skoku i jest nieszkodliwy.

— Zgrabnieś to zrobił.

— Mój Andrzeju, tylko patrzeć, a będę się mógł zaangażować do rzeźni węży, tylko że takiej nie ma.

110

111

— Ale za to w Manaos¹⁾ jest rzeźnia żółwi, podobno wcale nieźle prosperująca.

— Tam chyba nie dojedziemy. Stan Amazonas to kawałek I drogi do Parany. /

— A tak. /

— Ale wiesz co?

— Czekam, co mi obwieścisz.

— Nic nadzwyczajnego. Tyle ci jednak powiem, że mam to przekonanie, że sobie wszędzie damy radę. I gdyby nasza włóczęga nie dała nam innych rezultatów, jak tę bezwzględną pewność siebie, to i tak wiele.

XXIX

Andrzej i Jerzy doskonale wywiązali się z nałożonego na nich zadania. Dwa miesiące w puszczy zahartowały ich jeszcze bardziej; opalili się, rozrośli w barach. A życie ich wśród dzikiej przyrody, w towarzystwie kilku Murzynów i rzadko spotykanych na pół dzikich pastuchów nie było łatwe. Czasami ogarniała ich bolesna nostalgia za krajem, za cywilizacją, zwalczali ją jednak pracując ciężko fizycznie. Kiedy wieczorem zasiadali przed namiotem paląc fajki, patrzyli w zadumie na niebo i gwiazdy.

— Gwiazd, które są na niebie polskim, nie widać tutaj.

— A tak — mówił smutno Jerzy. — Ani gwiazdy polarnej, ani wielkiej niedźwiedzicy nie widać. Zamiast nich krzyż południa i Orion. U nas teraz zima... Wiesz, Andrzej, czasami chwyta mię taka straszna, paląca tęsknota za śniegiem, za jego iskrzącą białością, za czystym, mroźnym powietrzem, które tak przyjemnie szczypie w policzki, że z prawdziwie bluźnierczą złością patrzę na to słońce i te palmy, które są może ładniejsze, ale o ileż bardziej obce od naszych drogich świerków, sosen, jodeł...

Termin spotkania ze Szwedem przedłużał się.

Gdy w oznaczonym czasie zeszli się z panem Roemerem, szef pochwalił ich pracę i w parę tygodni później znów wysłał na samodzielne pomiary. Tym razem nie ustanawiano terminu powrotu.

Jechali konno wśród dziczy, za przewodnikiem, na swe nowe osiedle. Uprzednio wysłany Murzyn, który obecnie wskazywał drogę, zapewnił im wygodne mieszkanie u bogatego Josoe i pomoc jego „cabocli”.1)

Po trzech dniach drogi dotarli wreszcie zmęczeni i znużeni do sadyby Josoe.

Była to dość przewiewna chałupa, przy której stała oddzielnie kuchnia i to było wszystko.

Josoe, czarny jak węgiel Murzyn był najbogatszym „fazen-derem” w okolicy, lecz mieszkał jak wszyscy inni. Tylko w Sao Paulo plantatorzy kawy mają jakie takie, niekiedy nawet piękne domy. Fazendy hodowlane to zwykle bardzo prymitywne chaty.

Od nędznych sadyb odbijają domostwa wsi polskich, solidnie, ładnie zbudowane.

W okolicy była właśnie wieś polska i Andrzej z Jerzym cieszyli się już z góry na miłe sąsiedztwo.

Josoe przyjął ich gościnnie. Gospodarstwem domowym zajmowała się jego córka, Marietta, która dbała w miarę możliwości o wygodę przybyłych. Marietta była Mulatką; jej zmarła matka była rasy białej.

Już po paru dniach zauważył Andrzej, że córka Josoe jest nie tylko ładną, ale również bardzo inteligentną dziewczyną. Rozmawiał z nią dużo, a tematów do rozmów dostarczały książki, które Marietta od czasu do czasu otrzymywała z polskich bibliotek wiejskich. Dzięki temu władała polskim językiem, a w ogóle młodzi przyjaciele bardzo byli zdziwieni słysząc, jak Murzyni z okolic sąsiadujących z wsiami polskimi mówią dość poprawnie po polsku, i że wielu z nich posyła swe dzieci na naukę do polskich zakonnic.

Po dwóch tygodniach nawiązała Marietta z Andrzejem serdeczną przyjaźń.

1) Miasto handlowe i portowe nad rzeką Rio Negro, stolica stanu Amazonas w Brazylii.

112

*) Najemni robotnicy na fazendzie, tj. gospodarstwie rolnym. 8 Przez morza i dżungle 113
xxx

Jerzy poszedł do lasu. Andrzej siedział na zwałonym pniu przed chatą i strugał kawałek drzewa. Był niespokojny o przyjaciela. Jerzy od jakiegoś czasu często odbywał samotne wycieczki, był jakby zgaszony; widoczne było, że jakaś tęsknota dokucza mu coraz bardziej. Myśli o przyjacielu nie przeszkadzały jednak Andrzejowi raz po raz zerkać w okno chaty, jakby w nadziei zobaczenia tam kogoś, wreszcie nabrał w płuca powietrza i zaczął śpiewać: Uciekła mi przepióreczka w proso, A ja za nią, nieboraczek, boso, Trzeba mi się pa...

— Proszę nie robić hałasu — przerwał mu ktoś z nagłą. Andrzej udał, że nie orientuje się, kto doń mówi. Zaczął się

rozglądać na wszystkie strony i dopiero jakby po chwili zauważył Mariettę. Wstał i uklonił się z galanterią.

— Przede wszystkim śpiewam, a nie krzyczę. Poza tym chcę ci przypomnieć, że u was, w Brazylii, jest przyjęte, aby młody i przystojny człowiek, jakim niewątpliwie jestem, wyciągał trele pod oknem pięknej seniority przy akompaniamencie violi. Wprawdzie nie grywam jeszcze na violi, ale za to ty bezsprzecznie piękną jesteś senioritą. A ja violę kupię. Słowo daję, że kupię.

Marietta zaczerwieniła się.

— Jak pan długo umie mówić i wszystko ma sens — powiedziała to z całym przekonaniem. Marietta wykazywała zainteresowania bardzo wszechstronne jak na warunki, w których się wychowywała, lecz jako dziewczyna prosta, obcująca niemal tylko z przyrodą, mało znała się na żartach. Nigdy nie mogła się zorientować, kiedy Andrzej z niej żartuje, a kiedy mówi poważnie.

— A jakże u was odbywają się zaloty? — zapytał Andrzej — Przecież tak mi mówiła twoja szanowna ciotka. Młody człowiek powinien dwa tygodnie stać pod oknem i wzdychać w nabożnym milczeniu. Po tym terminie przystoi mu już śpiewać, a po jakimś

114

czasie dopiero wolno mu odezwać się do wybranej. Tego wymaga dobry ton. Dopiero po załatwieniu takich formalności wolno się rodzicom solennie oświadczyć.

— Takie obyczaje panują w miastach, ale u nas, w dżungli, jest całkowita swoboda. Każdy mówi to, co chce, i żyje tak, jak chce.

— Dopóki go „capangowie” x) nie zamordują.

— Kobiety bandyta nie zabije, a mężczyzna zabić się nie da. Mężczyzna umie się bronić i dlatego u nas jest sprawiedliwie i dobrze. Niech pan sam powie czego nam brak?

— W każdym razie świeżego powietrza nam nie brak. Tego mamy do syta.

Dziewczynie nie w smak poszła odpowiedź, na którą nie umiała znaleźć argumentu. Chciała zmienić temat rozmowy.

— Co pan dziś robił?

— O Julio w oknie, twój Romeo... Wyskoczyła przez parapet, zwinna jak kotka.

— Nie jestem żadna Julia i wcale nie oczekuję w oknie na kawalera — złościła się. — Pan sam widział, że niedawno zastrzeliłam jaguara. Ja się niczego nie boję i kawalera do niczego nie potrzebuję. Niech przyjdzie, to i tak przegonię...

Andrzej patrzył na nią z zachwytem i powiedział głosem bardzo poważnym:

— Widziałem, że strzeliłaś. Jaguar zaś, według wszelkiego prawdopodobieństwa, skończył po tym strzale na anawryzm serca.

Marietta zastanowiła się chwilę, przybrała zafrasowaną minę i nagle parsknęła śmiechem.

— Nie trafiłam wcale w serce, lecz w oko. To było cudne... mój pierwszy jaguar... Pamięta pan? Pędziliśmy co tchu w koniach. Psy przed nami, przed psami on... drapieżnik...

Zapaliła się, oczy jej błyszczały.

— Oj, pędziliśmy. Sześć bitych godzin. A upał był... Marietta jakby nie zwróciła uwagi na to, co mówił.

— Pędząc wiedziałam, że to on, ten wstrętny potwór, który porwał mi Zizi, moją ulubioną kózkę.

Bandyci grasujący w puszczy brazylijskiej.

115

W głosie jej przebijał smutek.

— Na pewno on? A może jaki jego kuzyn? — przekomarzał się Andrzej.

Marietta zdawała się nie słyszeć jego żartów. Oczy zapłonęły jej znowu.

— I kiedy dobiegłam, kiedy on skoczył już na drzewo i prężył się do skoku na mnie, tak pewnie władałam bronią, jak nigdy przedtem. Strzeliłam...

— Zwierz padł, a ja przeraziłem się nie na żarty.

— Dlaczego? — zdziwiła się.
— Bałem się o ciebie. Marietto, bardzo się bałem. Była zdumiona.
— Naprawdę?
— Miałem porządnego stracha, wierzaj mi.
Marietta spojrzała badawczo na Andrzeja. Usiadła obok niego na pniu i odezwała się:
— Ja chciałam pana o coś zapytać...
Widać pytanie nie należało do łatwych, bo głowiła się i wreszcie zamilkła.
— Pytaj, Marietto.
— Czy w pana kraju są... czarni dżentelmeni? — wyrecytowała jednym tchem.
— W Polsce? Zdaje mi się jest paru muzykantów i wędrownych tancerzy.
— A czy wolno im się żenić z białymi kobietami? — zapytała go bardzo prędko i cicho.
— Dlaczego o to pytasz?
— Ciotka mówiła mi, że w Północnej Ameryce nie lubią czarnych. Tak bym chciała zobaczyć kiedyś inny świat. Ale nie wiem, bo ja przecież...
— Przecież ty jesteś biała? Marietta uśmiechnęła się smutno.
— No... prawie biała — dodał Andrzej — bo przecież twoja matka...
— Tak. Ale ojciec.
— Ile ty masz lat, Marietto?
— Niedługo skończę szesnaście.
— Skąd ci takie myśli do główki przychodzą?

116

— Pan mi dał kilka książek do czytania i w jednej z nich... Nie... to przecież niemożliwe, żeby mego ojca nie wpuszczono do restauracji, jak tego biednego Jima z tej powieści. To było w Nowym Jorku i Jim tak płakał...
Andrzej nie wiedział, jak pocieszyć dziewczynę.
— Jeżeli kiedy przyjedziesz do Polski, to zobaczysz, że i twego ojca i ciebie wpuszczą wszędzie, wszędzie.
— Oj... to ja chcę jechać do Polski. Rozpromieniła się. Smutek uleciał.
— Marietto, chcesz jechać? Dlaczego? Po co?
— Ja wiem, że to się nigdy nie stanie — mówiła wolno — wiem, to tylko takie sobie, ot marzenie. Ale chciałabym, chciałabym poznać daleki świat, wielki świat.
Nadszedł Jerzy z Josoem.

— Ho... ho... — wołał Josoe — ja złapałem pańskiego przyjaciela, jak on siedział skulony pod drzewem — śmiał się dobrodusznie Josoe. — On jest chyba zakochany.
Jerzy wszedł szybko do chaty; Andrzej poszedł za nim. Marietta popatrzyła uważnie na ojca.
XXXI

W dżungli świta. W chaotycznym stłoczeniu gąszczu rysują się już wyraźnie piony prostych bambusów stojących w żołnierskim szyku i postawie, jakby na straży wielkiej armii potężnych, grubopiennych drzew.

Dżungla szmerze — żyje — gra swoją piękną, odwieczną symfonię.

Liście wiatrem ze snu obudzone uderzają o siebie szemrliwie, zwiastują zbliżanie się dnia. Do wtóru odezwały się trelami ptaki. Rozkołysane gałęzie drzew przygłuszyły suchym trzaskiem szum liści, głos ptactwa zamarł na chwilę. Allegro i andante dżungli.

A potem kojącą, pieściwą melodią menueta listowie zaszu-

117

//

V*

miało od nowa. Ptaki, raz odważniej, to znów pianissimo, ciągną swą pieśń — hymn wyznania i pochwały życia.

Krzewy szepcząc schylają się we wdzięcznych lansadach w takt muzyki dźwięczącej w wodach strumieni.

Dźwięki słabe dotąd i jeszcze nieśmiałe brzmiały coraz wyraźniej i pewniej. Zewsząd, jakby rozbudzone echem, odzywały się wielogłose; coś zakwiliło i ryk się ozwał przytłumiony, coś zachichotało, a potem łkanie rozerwało przetwór i nagle dzungla, jakby zaczerpnąwszy w płuca powietrza, zabrzmiała tysiącem

tonów zlanych z sobą w jeden olbrzymi, potężny, grzmiący akord.

Raptem wszystko ucichło.

Jakby odrętwienie padło na świat, taka zaległa martwota.

Ale symfonia dzungli finałem się nie kończy; nie ma kresu — jest wieczna.

Powoli odzywiają na nowo dźwięki przy akompaniamencie poszumu listowia w przeczystym brzmieniu scherza dzungli.

Świt przeszedł w dzień.

Słońce zatopiło wierzchołki drzew w ławie światła, złote promienie zaczęły się wsysać w gęstwinę, przenikać zwarte listowie, i rozświetliły wąską ścieżynę wijącą się wśród labiryntu odwiecznych drzew.

W ciasnym korytarzu leśnej picady Andrzej jadący w głąb lasu spotkał dwóch konnych. Gdy już się mieli zrównać z sobą, jeden z nich zawołał:

— Si senhor.

— Senhor si — odpowiedział Andrzej. Krótka ta wymiana zdań znaczy dosłownie:

— Tak panie.

— Panie, tak.

To zwykle pozdrowienie nieznanym w dzungli. Spotkani przypadkiem, choć się nigdy przedtem z sobą nie widzieli, choć nie zamienili jeszcze ani jednego słowa, zgadzają się z sobą od razu. Kurtuazja dla wszelkiej pewności jak również bezpieczeństwa.

Forma takiego przywitania byłaby niezrozumiała, gdyby nie okoliczność, że krew w żyłach gra i pieni się w gorącym klimacie inaczej niż pod ołowianym niebem północy.

Grzeczność jest tam już nie tylko zwyczajem umilającym życie, ale często zabezpieczeniem, a nawet zagwarantowaniem życia.

— Tak panie, zgadzam się z twoim zdaniem, nie chcę cię obrazić, ale nie pozwolę też obrazić siebie — wszystko to wyraża owo oryginalne pozdrowienie w dzungli, gdzie czasem nie słowo, ale nawet groźniejsze spojrzenie wystarcza, aby napotkany człowiek chwycił nóż lub pistolet i zabił, nie dla chęci mordy, ale dla uprzedzenia grożącego mu niebezpieczeństwa.

118

119

XXXII

Jeźdźcy przejechali przyglądając się sobie badawczo. W tej chwili wierzchowiec Andrzeja spłoszył się i jął niespokojnie uskakiwać w bok.

— Stój — uspokajał go Andrzej.

— Pan Polak? — padło raptem pytanie z tamtej strony.

— Nazywam się Kempijski, a to mój szwagier, Wojciech Garała.

— Ja zaś nazywam się Andrzej Dhil. — Co pan tu robi?

— Razem z moim przyjacielem, Jerzym Lubrańskim, wymierzamy tereny pod przyszłą kolonizację.

— A ja przyjechałem tu ze szwagrem po zbiór „herby”.¹⁾

— Rośnie tego dosyć dookoła.

— Tak. Tylko trudno przetransportować delikatne listki i gałązki do młynów, gdzie robią z tego herbatę parańską.

Andrzej roześmiał się.

Przyznam się, że trudno mi rozsmakować się w tym przysmaku, gorzkie to...

— Ale sił dodaje i orzeźwia.

— Z tego, że pan jeszcze nie rozsmakował się w „herba matę” — odezwał się Garała — widać, że pan starokrajański. Niedawno w Brazylii, prawda?

— Tak, zaledwie rok.

— Z Polski?

— Tak.

Kempiński i Garała zeskoczyli z koni.

— A złaźże człowieka ze szkapiny i opowiadaj nam o Polsce. Co tam? Jak ludzie żyją? Jak tam jest?

Usiedli uwiązawszy konie do pni drzew i Andrzej zaczął opowiadać. Kempieński pytał. Garała tylko oczy wytrzeszczał, czasem łzę otarł i wreszcie krzyknął:

*) Herbata z wysuszonych liści południowoamerykańskiego drzewa „Ilex”.

— Boże kochany, toż dziadek mój jeszcze opowiadał mi o Polsce, bo ani ojciec ani ja nigdy jej na oczy nie widzieliśmy. Tu urodziliśmy się. Mój szwagier, Kempieński, sam jako młody chłopak z Polski wyjechał, to ją tam jeszcze pamięta, ale pan przyjeżdża z Polski. I takiego spotkaliśmy w dżungli. I z takim witaliśmy się tym pogańskim „si senhor”, zamiast słowem bożym. A bodaj mnie za to Pan Bóg nie pokarał, ale już miałem palec na cynglu, bo pan z taką groźną miną na nas najeżdżał.

Potęźnie siąknął pan Garała i z hałasem nos utarł, jako że z natury serce miał miękkie, i zwrócił się do Kempieńskiego:

— A nie masz tam szwagrze jakiej kropelki, aby do pana Dhila przepić?

— Nie mam, ale widzi pan, tam, ten ot zakręt picady?

— Widzę.

— Tam stoi szałas.

— To panów szałas?

— Ludzki. Licho go wie, kto go postawił. Ale teraz my tam mieszkamy, bo do wsi co wieczór jeździć za daleko. Otóż jeśli łaska, niech pan wróci po swego przyjaciela — niedaleko przecież stąd stoicie? — i wieczorem przyjeżdżajcie do nas na kolację.

— Z całego serca dziękuję. Przyjedziemy z pewnością.

Wieczorem tego dnia siedziało przy mdłym ognisku czterech ludzi.

Andrzej i Jerzy musieli bez końca opowiadać o Polsce. Polacy brazylijscy pytali o najdrobniejsze szczegóły.

— A jakie mundury mają żołnierze? — dopytywał się Garała.

— A to już w całym kraju, wszędzie są tylko polskie szkoły? — indagował Kempieński.

— Widzi pan — mówił Garała — my to wszystko już dawno, już od dziesięciu lat wiemy, ale tak miło usłyszeć wprost od ludzi, którzy niedawno przyjechali.

Wreszcie zabrał głos Kempieński i ją opowiadać o Polakach w Brazylii:

120

121

— Niełatwo nam żyć tutaj. Walczymy z przyrodą i walczymy z ludźmi. W dżungli brazylijskiej mieszka kto chce. Nie mamy tu ani policjanta, ani biur meldunkowych, ani sądu. Jest tylko twarde życie wśród przyrody, groźnej, nielitościwej, pełnej niebezpieczeństwa i zasadzek.

— Człowiek tu człowiekowi równy — dodał Garała — czasem przyjazny i uczynny, a czasem wróg, przed którym nie obroni ani prawo, ani porządek cywilizowanego społeczeństwa, chroniący wolność, mienie i życie człowieka.

— A czy rząd brazylijski nie stara się temu przeciwdziałać? — zapytał Jerzy.

— Warunki naturalne nie pozwalają Brazylii na ucywilizowanie całego państwa. Jakże żądać wzorowego porządku, ładu czy praw w stanach, gdzie nie podobna przejść przez las dziewiczy. Awanturnicy osiedlają się, gdzie chcą. Nie pytają, czyja jest ziemia, którą obrali za swoje mieszkanie. Gdy towarzystwo kolonizacyjne zakupi tereny pod kolonizację, musi rozpocząć pracę od wykurzenia wędrownych „cabocli”. Najmuje w tym celu własne oddziały „capangów” i na rozległych przestrzeniach toczą się formalne bitwy. Niejeden trup pada w ofierze na bezdrożach — dodał Garała.

— Policji jest na potrzeby kraju zbyt mało, problem bezpieczeństwa w połaciach odległych, niedostępnych i niezamieszkałych jest bardzo trudny. A przy tym wszystkim procedura karna w Brazylii nie jest przystosowana do potrzeb i warunków kraju. Policja ma na przykład prawo aresztować mordercę tylko w przeciągu dwudziestu czterech godzin od chwili popełnienia zbrodni. Po upływie doby złoczyńca odpowiada z wolnej stopy, czyli mówiąc realnie, nie odpowiada wcale, bo czmycha w las i powiększa kadry awanturników bez domu, o zapomnianym nazwisku, mieniącym się „Rudym Juanem” albo „Kulawym Fernando” — ciągnął dalej Kempiański.

Zapanowała cisza. Kempiański zamyślił się, puścił kłęb dymu z fajki i podjął rozmowę:

— Czasem wykolejeńcy zbierają się i napadają bandą na spokojne wsie i osiedla. Żyją i umierają zapomniani, czasem zostawiają po sobie długo przechodzącą z pokolenia na pokolenie legendę.

122

A potem dodał:

— Kto nie słyszał w Brazylii o pułkowniku Fabricio, który drwił z sądów i nakazów prawa, a kiedyś na czele swych najemnych „capangów”-bandytów, rekrutujących się przeważnie z Paragwaju, wpadł do miasta, plik wyroków na siebie wrzucił przez okno do sali sądowej, wychłostał naczelnika policji i odjechał bezkarnie. Podobnych Fabriciemu są w głębi kraju setki. Każdy „fazender” właściciel obszarów ziemi, jest na swoim terenie jakby udziałowym księciem, którego prawo obchodzi akurat tyle, co pusta butelka.

— Dziwny to kraj — odezwał się Jerzy.

— A tak, moi panowie. — Kempiański zaczął czyścić fajkę. — Kto zna jedynie wykwintne Rio de Janeiro czy bogate Santos, nie uwierzy w to, co się dzieje w głębi Brazylii.

— Nie zawsze łatwo tu żyć — powiedział Garała.

— My przyzwyczailiśmy się — powiedział trochę sentencjonalnie Kempiański.

Zapanowało milczenie.

Bór przeogromny stał cichy, niemy, jakby zamarło w nim życie, i tylko miarowy trzask płonącego ogniska, wznieconego dla ochrony przed moskitami, przerywał ciszę.

— Przyjedźcie panowie do nas, do wsi. Żona moja rada wam będzie i zobaczycie, że nasz chłop radzi sobie doskonale na obczyźnie — zapraszał Kempiański.

— Mój szwagier jest u nas nauczycielem — dodał Garała. — Ja zaś pełnię służbę zakrystiana, to niby jesteśmy takimi duchownymi przywódcami. Mamy we wsi i kółko rolnicze przy parafii, i szkołę polską. Domy we wsi podobne do domów mieszkalnych, i nie takie jak te rudery brazylijskie. Przy domkach gospodarstwa ogrodzone.

— Ach te ogrodzenia — roześmiał się Jerzy — słyszeliśmy o nich od „cabocli”. Bardzo na nie urągają. Mówią że Polacy świat sobie zasłaniają i odgradzają się od swobody.

— A tak. „Caboclo” lubi wolność, brud i niechlujstwo. Mieszka w takich szałasach, jak ten, w którym się w tej chwili znajdujemy, żyje byle jak i systematyczna, pilna praca naszych pionierów wcale mu nie przypada do gustu.

Rozmawiali do północy.

* 123

— Trudno będzie panom po ciemku wracać. Zanocujcie tu z nami, a jutro rano rozejdziemy się. My do wsi, a wy do siebie. Tylko nie zapomnijcie, że przyrzekliście nas odwiedzić.

— Nie zapomnimy z całą pewnością. Pokładli się i zasnęli twardym snem.

XXXIII

Minęło pół roku. Andrzej i Jerzy w niczym nie przypominali już owych dwóch młodych ludzi, którzy swego czasu błakali się po porcie w Gdyni szukając okrętu do Brazylii.

Przeobrazili się w biegłych mierników, spoufalili się z dżunglą na tyle, że nie straszne im już były jadowite gady i gruby zwierz.

W swej włóczędce po sertongach Parany zawadzili o niejedną polską wieś, gdzie byli zawsze gościnnie podejmowani przez ro-daków-kolonistów. Na miejscu przekonali się, jak wielkie

trudności ma do pokonania i przewyciężenia nowy osadnik, przed którym piętrzy się odwieczny bór. Osadnik przychodzi z siekierą i zwała drzewa; gdy w ten sposób oczyści kawał ziemi, podpala całe to rumowisko drzew i krzewów, przygotowuje sobie w ten sposób plac, który z kolei trzeba wykarczować z korzeni, następnie stawia dom i mówi:

— Tu będę mieszkał.

Ale niełatwe to zadanie, pracą własnych rąk stworzyć z dziczy dom i gospodarstwo.

Jerzy i Andrzej posunęli się w pracach mierniczych pod fa-zendę kawową Juana Hospitio da Carenda, człowieka arcyga-datliwego, nieokrzeseanego i gwałtownego, acz poczciwego serca. Fazenda kawowa, a była to pierwsza, jaką widzieli, nasunęła im dużo refleksji.

— Szkoda Jurku, że Polacy nie zajęli się kawą. Z tych wsi, które oglądaliśmy, wyniosłem wrażenie, że polski chłop poza zbożem i kartoflami nierad się czym innym zajmuje, a herva jest jedynym ustępstwem od tej zasady.

124

— Bo też nikt nie pouczył naszego chłopą, że kawa opłaca się bardziej.

— Wiesz, o czym marzę? Chciałbym, abyśmy mogli zorganizować wymianę. ' — Jak to rozumiesz?

— Po prostu chodzi o to, aby polski chłop w Paranie kupował od polskiego kupca polskie narzędzia rolnicze, polskie sukno wyrabiane w Łodzi czy Bielsku lub Białymstoku, Polska zaś aby piła kawę plantowaną przez polskich chłopów w Paranie, kawę dostarczaną do Polski na własnych statkach, za pośrednictwem polskich kupców.

— O tak... To byłaby ciekawa i warta zachodu praca, warto by jej trochę myśli i trudu poświęcić.

— Trzeba o tym mówić na prawo i lewo. Wiesz, jestem pewny, że tę prostą prawdę najłatwiej zrozumie to pokolenie, które teraz dorasta. Starsze pokolenie żyło ideałami niepodległości, my musimy stworzyć sobie nowe ideały nie kończące się ani w Tatrach, ani nad brzegami Bałtyku.

— Gdyby można było stworzyć w Kurytybie bank, który by przyjmował oszczędności kolonistów i połączył się z jednym z banków polskich w Warszawie, reszta poszłaby już łatwo.

— To prawda, jest jeszcze jednak pewna trudność.

— Jaka?

— Ludzie. Widzisz, trzeba to niestety wyznać, że my bardzo mało znamy się na eksporcie, po prostu boimy się go. Śmiejemy się z Francuzów, że nie znają geografii, a spytaj no kogo w Polsce czy Paranagua leży w Brazylii, czy w Argentynie.

— Prawda. Pamiętam, że ktoś opowiadał mi, iż w Brazylii mówią po hiszpańsku.

— Ano widzisz, u nas Angola tańczy walca z Angorą, a o takich miastach, jak Lima w Peru czy Pernambuco w Brazylii, mało kto wie.

— Tym bardziej potrzebni są pionierzy, którzy dokładnie znają rynek i warunki brazylijskie, by pokierować całą akcją.

— Rzecz oczywista, trzeba by tu jednak przywieźć paru ekonomistów i towaroznawców, aby sami zbadali możliwości, bo dotychczas u nas wszyscy boją się dalekich rynków.

125

— Jak myślisz, czy udałoby się stworzyć taki bank dla ułatwienia handlu wymiennego?

— Powinno się udać i musi do tego dojść wcześniej czy później. Ostatecznie trudno, by nasz osadnik ciągle orał ziemię dla obcej potęgi. Trzeba coś zrobić dla samych siebie.

•—• Powinniśmy do tego dążyć.

Tak rozprawiając dojechali do „fazendy”, w której mieli przenocować. Ponieważ nie zastali właściciela, wyszli naprzeciw niego. Spotkali go niedaleko, między drzewkami kawowymi.

— Pan ma wysofiie drzewka — powiedział Andrzej po powitaniu.

„Fazender”, który przez krótki czas znajomości polubił obu mierników i był zainteresowany w pomiarach sąsiednich połaci kraju, uśmiechnął się mile ujęty oceną swego dobytku.

— No, bez komplementów — bronił się — drzewko kawy może dojść nawet do ośmiu metrów wysokości, a moje liczą przeciętnie cztery do pięciu metrów.

Pogładził ręką najbliższe stojące drzewo.

Był właśnie okres owocowania kawy. Spod jajowatych liści wyglądały owoce kształtu śliwki, wewnątrz której znajdują się pestki, znane w handlu pod nazwą kawy.

— Kapryśne to drzewo — mówił „fazender” — bardzo kapryśne. Życie jego trwa do pięćdziesięciu lat, jeżeli, oczywiście, ma należyłą opiekę, ale zbiory zaczynać można dopiero wtedy, gdy drzewo ma cztery, a nawet pięć lat. Normalnie już po dwudziestu latach drzewko obumiera, czyli owocuje zaledwie piętnaście lat.

— A w jakim wieku jest największa wydajność?

— W ósmym roku. Otóż, moi panowie, praca wygląda następująco: z nasienia należy wyhodować sadzonkę, po dwóch latach przesadza się małe drzewko ze szkółki do gruntu, przy czym należy uważać, aby zachować odpowiednią gęstość sadzenia. Następnie należy ścinać gałązki rosnące nisko przy ziemi, bo one nie owocują, należy więc oszczędzać drzewku nieproduktywnego wysiłku.

— A czy drzewo kawowe choruje? — „zapytał Andrzej.

— Niestety, tak. Najniebezpieczniejsza jest rdza, która na Ceylonie na przykład zniszczyła całe plantacje. Trzeba stosować

126

wiele profilaktycznych zabiegów, aby ustrzec kawę przed tą chorobą.

— A jak odbywają się zbiory?

— Po zebraniu owoców suszy się je tak długo, dopóki łupina nie odpadnie, po czym dosusza się jeszcze ziarno w specjalnych maszynach; następnie łuszczy się ziarno i znów trzeba je suszyć. Można też oddzielić łuskę od ziarna za pomocą moczenia. Gatunki selekcjonuje się według wielkości ziarenek w bębnach obrotowych o małych otworkach, pakuje ziarna w worki odstawia do portu.

— A jaka jest różnica pomiędzy kawą z Sao Paulo a parańską?

— Właściwie różnic nie ma. Gatunki parańskie są bardzo smaczne i słodkie. Zresztą przekonacie się panowie, bo czas nam już wracać do domu na wieczerzę. Przekonacie się, jak smakuje moja kawa.

Gdy po kolacji Andrzej i Jerzy zostali sami, długo rozmawiali o konieczności spopularyzowania wśród pionierów polskich idei „polskiej kawy”. Jerzy chciał o tym mówić z kolonistami, Andrzej był jednak odmiennego zdania:

— Mój Jurku, to na nic. Cóż z tego, że będziemy jeździli od wsi do wsi i opowiadali o konieczności przeniesienia się w te strony, gdzie kawa udaje się znakomicie. Nie można zaczynać od końca. Trzeba najpierw stworzyć syndykat wymienny polsko--parański i zorganizować akcję planowo. Innymi słowy, to robota, którą trzeba rozpocząć w Polsce. Sądzę, że niedługo już wrócimy do kraju, a będąc dostatecznie zorientowani czego nam potrzeba, będziemy mówili przede wszystkim z odpowiednimi ludźmi o zrealizowaniu naszych projektów.

XXXIV

Życie Jerzego i Andrzeja upływało na ustawicznych podróżach. Przerzucano ich bez przerwy z miejsca na miejsce. Mniej więcej po roku od chwili opuszczenia „fazendy” hodowlanej Josego, u którego mieszkali, pan Roemer zawiadzał ich do Kurytyby.

12”?

Jakże imponujące wydało im się to niewielkie miasto po roku spędzonym wśród puszczy. Odwiedzili konsula, który ich serdecznie przyjął u siebie i wypytywał z zainteresowaniem o szczegóły ich życia. Z radością przeczytali liczne listy z kraju, które teraz dopiero otrzymali za pośrednictwem konsulatu, doprowadzili do jakiegoś ładku i porządku swoją odzież, przekonali się, że na rachunku w banku francusko-włoskim mają wcale pokaźny kapitałik wystarczający nawet na luksusową podróż do kraju i zaczęli się zastanawiać, czyby już nie

wracać. O tym, aby wracać jako pasażerowie na statku, nie było, oczywiście, mowy. Chcieli się znów zaciągnąć jako marynarze, lecz po naradzie postanowili jeszcze czas jakiś pozostać w Brazylii.

— Jeszcze niewiele wiemy; trzeba to życie poznać do gruntu, zanim wrócimy do kraju, bo wtedy tylko będziemy mogli nasze wiadomości zużytkować naprawdę ku pożytkowi Polski i dla naszej pracy.

Pan Roemer przedstawił ich naczelnemu dyrektorowi i powiedział parę miłych słów pod adresem obu miłych ludzi, dyrektor zaś pochwalił ich pracę i udzielił im dziesięciodniowego urlopu.

— Jak spędzimy nasze wakacje? — zapytał Jerzy, gdy tylko opuścili gabinet szefa.

— Sądzę, że na świeże powietrze nie mamy po co wyjeżdżać, przez ubiegły rok nałykaliśmy się ozonu do syta.

— Jestem wyjątkowo tego samego co i ty zdania. Ale słuchaj. Do Rio de Janeiro jechać nie możemy, bo na to mamy za mało czasu.

— Słuszna uwaga.

— W Santos byliśmy...

— No i będziemy tam jeszcze, gdyż tylko z tego portu będzie nam najwygodniej szukać okazji do Europy.

— Prawda...

— Słowem, najlepiej zostanmy w Kurytybie, bo nic innego nie wymyślimy. *"

I tak się też stało. Dziesięciodniowy pobyt w Kurytybie upłynął im na rozmowach z Polakami. Byli codziennymi gośćmi

138

w Domu Polskim, gdzie odbywały się próby przedstawienia amatorskiego „Zemsty” Fredry. Ciekawe, że grali w niej wyłącznie świetnie mówiący po polsku Murzyni. Przedstawienie to reżyserował młody autor z Krakowa, Sobieniowski, brat znanego w Polsce tłumacza dzieł Shawa.

Sobieniowskiemu tak zaimponowała polszczyzna Murzynów, że postanowił wystawić „Zemstę” w obsadzie wyłącznie murzyńskiej. W kolonii polskiej zdania na ten temat były podzielone.

Jerzy i Andrzej nie interesowali się w tym okresie teatrem, szukali raczej ludzi, którzy by zrozumieli ich plany.

Z rozmów z Polakami coraz jaśniej widzieli, że plany ich, aby z czasem stworzyć instytucję eksportowo-importową, są słuszne i celowe. Zwierzyli się ze swoich myśli konsulowi, który przyklasnął ich projektom.

Przedostatniego dnia urlopu konsul zaproponował im wycieczkę samochodem do Antoniny, drugiego portu Parany. Konsul miał do załatwienia w Antoninie parę spraw służbowych; przez ten czas Andrzej i Jerzy spacerowali po porcie i nieco łakomym wzrokiem patrzyli na odchodzące okręty.

— A nie zapomniałeś sterować? — zapytał Andrzej.

— Ee, chyba nie.

Wtem rozległ się przeraźliwy okrzyk — hallo! — i przed nimi stanął ich dawny kucharz okrętowy z „Chicago”.

— A wy co tu robicie? — ryknął ocierając spoconą twarz jakąś, zdaje się, ścierką kuchenną.

— My? Kupiliśmy statki, o ten, ten i tamten — wskazał Jerzy — i patrzymy, czy nie można by jeszcze jakiegoś porządnego pudła kupić.

Kucharz roześmiał się na całe gardło.

— Chcecie się zaokrętować? Ja jestem teraz szefem kuchni na statku „Vasco Da Gama” i pływam z Lizbony do Rio de Janeiro, Santos, Paranagua, Buenos Aires i z powrotem.

—| A co robisz w Antoninie?

— Mam tu przyjaciół, a że statek stoi dłużej w Paranagua, wziąłem urlop i przyjechałem na jeden dzień, i co za przypadek, spotykam was, a przed paroma godzinami widziałem jeszcze kogoś z „Chicago”.

9 Przez morza i dżungle

129

— Kogo?

— Garowa.

— A on co tu robi?

— Mówił mi, że mu się nieźle powodzi, podobno czymś tam handluje w Kurytybie. Był tu za interesami i mówił mi, że jesteście w Paranie.

— Skąd wiedział?

— Nie wiem.

— Jakże nas wspomina?

— No, nie zanadto mile. Powiedział, że się z wami policzy jeszcze. A kiedy wracacie znów na morze?

— Już niedługo.

— U nas są wolne miejsca, jeżeli chcecie, powiem kapitanowi? — kucharz przybrał ton nieco protekcyjny.

— Dziękujemy unizenie — zawołał wesoło Andrzej — na razie nie potrzebujemy, ale na przyszłość polecamy się łaskawym względom.

Kucharz poczuł się dotknięty, po chwili jednak udobruchał się i jeszcze jakiś czas rozmawiali. Po powrocie do Kurytyby, wieczorem, odezwał się pierwszy Jerzy:

— 'A jednak tęskno mi za morzem.

— Mnie też, mój stary.

Nazajutrz przywitał ich w swym biurze pan Roemer:

— Tak się złożyło, że wracamy znów na stare śmiecie, panowie ulokują się koło wsi Santa Teresa, najlepiej chyba u Josoe, bo go już znacie, i tam będziecie prowadzić prace miernicze, ale bardziej na zachód. Zresztą dziś po południu dam panom dokładne instrukcje. Ja będę u panów na inspekcji za parę tygodni, a może nawet wcześniej.

Ostatni swój wieczór w mieście spędzili Andrzej i Jerzy w Domu Polskim. Następnego zaś ranka wyjechali z Kurytyby.

Gdy dotarli do „fazendy” Josoe, starego Murzyna nie było w domu. Przyjęła ich Marietta, która z niekłamana radością powitała starych znajomych; wieczorem wrócił Josoe, a po godzinie Jerzemu i Andrzejowi wydawało się, że wcale nie wyjeżdżali z fazendy. A przecież prawie rok minął, rok włóczęgi i ciężkiej pracy od chwili, gdy żegnali Josoe i jego córkę. Życie potoczyło się zwykłym trybem, dzień upływał na pracy, czasem przez dłuższy okres bawili poza „fazendą” a gdy wracali, Josoe i jego córka witali ich zawsze tak, jak się wita dobrych, starych znajomych, a wieczory schodziły im na długich, przyjaznych gawędach. Josoe po dawnemu trochę kaleczył język polski, Marietta zaimponowała naszym przyjaciołom. Podczas ich nieobecności przeczytała całą biblioteczkę z parafii Santa Teresa i rozmowa z nią była naprawdę przyjemnością i rozrywką dla Jerzego i Andrzeja, którzy przez ubiegły rok niewiele mieli okazji do mówienia o literaturze i sztuce.

XXXV

— Bardzo się o pana... o panów — poprawiła się Marietta — niepokoiłam. Wyjechaliście wczoraj po południu i dopiero dziś wieczorem wracacie. A przecież nie mówiliście, że nie wrócicie na noc.

— Byliśmy na skraju lasu, aby przywitać naszych rodaków — odparł Andrzej.

Zeskoczyli z koni, zdjęli im lejce i wprowadzili do szopy. Strzelby i noże do przecinania gałęzi w puszczy postawili pod ścianą, zdjęli ostrogi i powiesili je na gwoździach wbitych w deski szałas. Marietta wyniosła dzban wody i miskę, po czym weszła do domu.

— Jakiś nieswój jesteś Jerzy? — odezwał się Andrzej oblewając sobie twarz wodą.

— Nie... znużony jestem.

Andrzej przyjrzał się bacznie przyjacielowi.

— Zmizerniałeś, żebyś się nie rozchorował...

— E, nie. Pójdę spać. Dobranoc!

— Tak wcześnie?

— Jestem trochę zmęczony. Jerzy odszedł.

Andrzej zamyślił się. Próbował już rozmaitych środków, aby

130

131

wyrwać przyjaciela z apatii, w jaką się z dnia na dzień bardziej pogrążał, lecz wszystko bezskutecznie. Czynił sobie gorzkie wyrzuty, że Jerzy nie ma dostatecznych sił zarówno psychicznych jak i fizycznych na tego rodzaju życie i pracę i trapiły go wyrzuty sumienia, że to z jego winy i namowy towarzysza cierpi. Bezradnie borykał się z własnymi myślami nie mogąc znaleźć rady.

— Pana przyjaciel jest smutny — odezwała się Marietta, wychodząc przed dom.

Usiadła na spiłowanym pieńku, postawiła przed sobą koszyk i zaczęła łuskać fasolę.

— Niestety, zupełnie nie mogę zrozumieć, co się z nim dzieje.

— Pewnie tęskni za swoim krajem, albo za swoim domem. |— Być może.

— Już niedługo odjedzie pan znów od nas — odezwała się Marietta po chwili.

132

— Chciałabyś, żebym został?

— Tak. Z panem się bardzo miło gawędszi. Zna pan tyle świata. Tak lubię słuchać, jak pan opowiada o śniegu; to musi być cudowne, jak z nieba lecą takie białe płatki...

— A w mojej ojczyźnie mówią: to musi być cudowne — palmy i słońce...

Ostatnie promienie słońca schowały się za czuby drzew. Zapadał zmierzch. Z dala słychać było dźwięki harmonijki. Dźwięki jak gdyby zbliżały się.

•— Kto to gra? — zapytał Andrzej.

|—| Sylvio, nasz służący, gra starą murzyńską piosenkę.

— Co to za piosenka? Murzyńskie pieśni są naprawdę ładne...

— Czy tak? — Marietta była zadowolona. — Sylvio — zawołała — zagraj od początku.

Sylvio wyszedł z lasu, usiadł nie opodal nich i zaczął grać. Marietta zrazu nucąc cicho, zaśpiewała wdzięcznym głosem:

Był srogi biały pan Był biedny czarny Jim, Był straszny groźny pies — Daleko stąd.

Jim kawy zbierał plony,

Pan fajką palił,

Jim tęsknił do swej żony,

Sprzedanej w obce strony.

I szczekał pies

Daleko stąd.

O Jimie, biedny Jimie, | ' |

Twą żoną bije obcy pan, Na ciebie szczeka groźny pies, A pan twój fajką pali, A pan twój śmieje się, A echo z dali, z dali Niesie skargę żony twej.

I srogi biały pan

Gniewa się, że czarny Jim,

Wolno zbiera kawy plon,

I szczeka srogi pies,

133

Pies kły zatopił w Jima,

Jim z bólu siły nie ma

I pada czarny Jim. O Jimie, biedny Jimie, Twą żonę bije obcy pan, A ciebie pogryzł groźny pies, | A pan twój fajką pali, A pan twój śmieje się, A echo z dali, z dali Niesie skargę żony twej.

— Nigdy nie śpiewałaś tej piosenki o starym Jimie.

— To bardzo stara piosenka z czasów niewolnictwa. Andrzej umilkł. Siedzieli chwilę razem, po czym Marietta

skończywszy swą robotę zabrała koszyk i weszła do domu.

Tymczasem Jerzy leżał w ubraniu na pryczy zastępującej w chacie łożka.

Był zmęczony. Bezmyślnie wodził wzrokiem po suficie, za krążącymi bez ustanku muszkami. Zmęczenie fizyczne potęgował jeszcze zły stan psychiczny; najchętniej zerwałby się z tego hamaka i pognął przez dżunglę do pierwszego lepszego portu.

Wracać... Być znów w Polsce, widzieć swoich. Zaczął w pamięci przywoływać obrazy kraju. Wygląd ulic, poszczególnych domów, zaczął oglądać w myśli warszawskie mieszkanie, swój pokój i krzątającą się ciotkę staruszkę.

Zerwał się i wyszedł przed chatę.

— Co ci, Jurku? — zapytał Andrzej.

— Właściwie nic mi nie jest. Za krajem trochę tęsknię.

— Ja też. Chwilami przychodzi taka tęsknota, że choć zwariować...

Usiedli obok siebie na ławce.

— Chcesz wracać?

— Nie. Jeszcze czas. Za mało umiemy. Niedawno stosunkowo wyjechaliśmy z Polski.

— Tak. Trzeba wytrwać.

Siedzieli chwilę milcząc, a potem zaczęli mówić do siebie o swych tęsknotach, pragnieniach i nadziejach. Jakby się jakaś tama zerwała, tyle mieli sobie do powiedzenia.

XXXVI

Nazajutrz Jerzy wstał bardzo wcześnie i pojechał do Kempieńskiego.

— Potrzeba mi trochę tej czysto polskiej atmosfery, która jest u państwa Kempieńskich — tłumaczył się Andrzejowi, który mimo niedzieli nie wychodził z izby, chciał bowiem ukończyć obliczenia pomiarowe i odesłać je szefowi.

Pracował całe przedpołudnie.

Dopiero po obiedzie usiadł na chwilę przed domem, by wraz z Josoem wypalić fajkę.

Nagle usłyszeli głosy. Marietta wybiegła przed chatę.

— Goście jadą — zawołała i znikła w drzwiach.

Josoe wyszedł na spotkanie i wrócił prowadząc z sobą patriarchę okolicy, Antonia Farreirę, bogatego handlarza skór —• Chińczyka Tse Li, młodego Velho Suezę i dwóch jeszcze mężczyzn, których Andrzej przedtem nigdy nie widywał. Farreirę, Chińczyka i Velho Suezę spotykał już uprzednio nieraz.

Przybyli usiedli, Josoe wyniósł dzban kawy i filiżanki. Zdawał się nie być wcale zdziwiony nieobecnością Marietty.

Goście powiedzieli sobie parę słów o nowinkach w okolicy, pogwarzyli o tym i owym, wreszcie Velho Suezę widząc, że Andrzej struga sobie laskę z drzewa, odezwał się:

— Laska kupiona w mieście jest dużo lepsza i zręczniejsza od takiej wystruganej.

— Ale ta jest milsza — odparł Andrzej — bo zrobiona własnymi rękoma. Poza tym do miasta daleko, a lepiej mieć w lesie jakiś patyk, zawsze można nim dać wężowi po łbie.

Velho Suezę wydał pogardliwie wargi.

— Istotnie i taka laska dobra, szczególnie gdy się nie ma pieniędzy na kupno lepszej.

— Do mnie pan pije, panie Velho Suezę? — zapytał dość głośno Andrzej.

— Nie. Ale gdybym chciał panu przymówić, nie nastraszyłbym się z pewnością pana podniesionego głosu.

— To by się jeszcze pokazało — roześmiał się Andrzej.

— Siedzimy u jednego gospodarza, nic więc panu nie mogę

134

135

odpowiedzieć. Ale myślę, że i na to przyjdzie jeszcze stosowna chwila.

— Zdaje mi się, że nie uchybiam przykazaniom gościnności, ale zresztą — dajmy spokój.

— Tak będzie najlepiej — dorzucił Farreiro.

Z dala doleciał ich śpiew. To Marietta idąc w lesie śpiewała piosenkę o biednym Jimie.

— To twoja córka śpiewa, Josoe? — zapytał Velho Sueza. —• Tak. Ona ma bardzo piękny głos.

— Teraz u ciebie musi być wesoło? Córka śpiewa, gości masz.

— U naszego Josoe jest zawsze wesoło. Gdy się ma w domu taką córkę...

A potem Velho Sueza zwrócił się do Andrzeja.

— Długo będziecie jeszcze mierzyli dżunglę w tych okolicach?

— Parę tygodni — odpowiedział zagadnięty.

— To długo.

— Przeszkadzamy tu komu?

— Jak pan może przypuszczać? — zgorszył się uprzejmie Farreiro.

— Po co wy właściwie wymierzacie te tereny? — zapytał jeden z przybyłych, którego Andrzej nie znał.

— Nauka miernictwa stoi teraz wysoko — powiedział cicho Tse Li.

Velho Sueza zaperzył się:

— Wymierzą, a potem, przyjdą nowi osadnicy, którym rząd wydzieli te wymierzone działki. Tylko przysięgam... jeżeli mi ktoś będzie chciał ogradzać mój dobytek, płoty stawiać, swobodę moją ograniczać, swobodę przenoszenia się z miejsca na miejsce, siania i orania tam, gdzie mi się podoba, z moim nożem będzie miał sprawę. Dość już w okolicy Polaków, którzy domy pobudowali i płoty.

—|—| Niedobra to sprawa, nóż — powiedział sentencjonalnie Tse Li.

— Co pan, Tse Li, może o tym wiedzieć? — odburknął Velho Sueza. — Jesteś kupcem, skóry kupujesz i odjeżdżasz w świat. Ale my, my co tu siedzimy, którym nikt nigdy nie mierzył ziemi,

136

tak jak nie wymierzał powietrza. My mamy tu do gadania. Zawsze to mówiłem, najgorsze to te przybłędy.

— Velho Sueza, proszę liczyć się ze słowami, bo... — zawołał Andrzej.

— Bo co?

— Uspokójcie się, panowie. Ni miejsce ni czas tu na awantury — powiedział poważnie Farreiro i widocznie chcąc przerwać niemiłą dyskusję zwrócił się do Josoe.

— Pora nam podziękować ci, Josoe, za kawę. Panie Tse Li, trzeba już jechać. A za parę dni, w gospodzie u Fabricia zakończenie handlu. Spotkamy się. Będziesz, Josoe?

— Ja przyjadę.

Velho Sueza skorzystał z chwili, gdy wszyscy powstali i udali się do swych koni, aby podejść do Josoe.

— I córka twoja będzie? — zapytał.

— Tak.

— To dobrze. Wiesz przecież, że pod twoim domem nieraz stałem i gdy Marietta wyglądała przez okno, patrzyłem na nią. Wiesz, Josoe, co chcę przez to powiedzieć? —| mówił Velho Sueza, a nie doczekawszy się odpowiedzi tak dalej ciągnął. — Dlaczego nic mi nie odpowiadasz? Gdy te włóczęgi, co nam las chcą ukraść, odjadą, chcę z tobą o weselu pomówić. Znasz mnie, Josoe, nie od dziś.

— Tak, ja ciebie dobrze znam.

— No to daj jakąś odpowiedź — zniecierpliwiał się młody Mulat.

— Mamy czas.

Farreiro zaczął się niecierpliwić.

— Hola, Velho Sueza, czekamy! Pożegnali się i wskoczyli na konie.

— Dziękujemy za poczęstunek i gościnę, a w końcu tygodnia u Fabricia — zawołał jeszcze Farreiro.

Odjechali.

Josoe patrzył za nimi, potem nabił fajkę i zapalił.

Andrzej był zły na siebie, że zbyt lekką dał odprawę Velho Suezie. Zrozumiał, że ten zawadiaka myślał o Marietcie i myśl ta dziwną mu robiła przykrość. Aby zacząć rozmowę, odezwał się:

137

— Bardzo' miły jest ten stary Farreiro, ale o Velho Suezie powiem ci bez ogródek...

— Po co mówić, ja i tak wiem, co ty o nim myślisz.

— Czego on od ciebie chciał?

— On chce Mariettę brać za żonę.

Andrzej spodziewał się tej odpowiedzi, ale wiadomość ta, powiedziana jasno i dobitnie, zbiła go z tropu. Już chciał coś na to odpowiedzieć, gdy wbiegła Marietta.

— Przyjaciel pana wraca — zawołała.

Po chwili nadszedł Jerzy. Zsiadł z konia i przywiązał go do palika.

•— Co tobie? — zawołał przerażony Andrzej.

Jerzy wyglądał niesamowicie. Prawy rękaw koszuli miał podarty. Na twarzy widać było jakieś silne wzburzenie.

— Strzelano do mnie.

— A ty?...

— I ja strzeliłem, ale uszedł.

— Któż to mógł być?

138

— Poznałem go, mimo szerokiego ronda kapelusza.

— Mówię więc, kto to był?

— To był Garów, drogi Andrzeju.

— Upiłeś się?

— Nie. Jestem trzeźwy i powtarzam ci raz jeszcze: człowiekiem, który do mnie strzelał, był nasz eks-bosman z „Chicago” — Garów.

XXXVII

W godzinę potem Josoe, Jerzy oraz Andrzej siedząc obok siebie pili kawę.

Marietta była zajęta jakimiś czynnościami gospodarskimi.

— Ważne byłoby ustalić, czy to istotnie Garów do ciebie strzelał.

— Nie podlegam halucynacjom, Andrzeju.

— Garów... — powiedział w zamyśleniu Josoe i pokiwał głową.

— Znasz to nazwisko, Josoe? — zapytał Andrzej.

— Ja znałem jednego, co tak się nazywał. Ale to było dawno, bardzo dawno. Moja córka wtedy była małą dziewczynką, a on ją chrzczył, bo to był starowina ksiądz. Dobry ksiądz, ale on umrzeć dwanaście lat temu.

Poprawił się:

— On umarł...

— Ten Garów, o którym my mówimy, żyje, niestety, i starowiną nie jest, a księdzem prawdopodobnie nigdy w życiu nie będzie — odpowiedział Andrzej.

— Sądzę, że nic już nie uradzimy. Skoro ten bosman już tu jest, może nam posłać kulę zza byle jakiego drzewa — mówił Jerzy — zwłaszcza, że on wie, gdzie nas szukać, a my nie wiemy.

— Dobrze by było pogadać z Kempieńskim, to stary praktyk, a nasz Josoe jakoś nic doradzić nie umie.

— Co ja mam mówić? Żli ludzie są na całym świecie. I ja się z nimi spotkałem. Moja córka była wtedy jeszcze mała

139

i miała jeszcze matkę. Moja żona była biała, taka biała, jak wy. My mieliśmy domek niedaleko stąd, a ja byłem wtedy myśliwym. Tutaj chodził taki kupiec, nazywał się Carly. Carly był zły człowiek i był pijak. On miał dużo, dużo bogactwa, a Josoe tylko chałupę i on oszukał mnie przy kupnie skór, i ja mu to powiedziałem, i z tego była wtedy wielka kłótnia, i on zrobił potem napad, chatę spalił, żonę moją zabił i ja zostałem sam. Dawno to było, ale jeszcze wspomnienia bardzo mnie boją.

Zamilkł stary Josoe, zaczął nabijać wolno fajkę, zapalił ją i raz jeszcze szeptem powtórzył:

— Bardzo boją.

Andrzejowi przyszło na myśl, że Josoe zbyt wiele wycierpiał, na zbyt wiele był w życiu narażony, aby mógł się przejąć tym, że jakiś człowiek usiłował napaść na Jerzego.

Prawdopodobnie myślał o tym jako o przypadku i wcale nie przywiązywał specjalnego znaczenia.

— Słuchaj, Jurku, musimy jutro odwiedzić koniecznie Kem-pińskiego.

— O wilku mowa, a wilk... — zagrział z tyłu donośny głos. Obejrżeli się. Za nimi stał Kempiniński i Garała.

Po serdecznym powitaniu Garała odezwał się pierwszy.

— Nie wybieraliśmy się co prawda do panów, ale zaszły pewne okoliczności, które zmusiły nas do wyjazdu w ślad za panem Lubrańskim.

— Czekajcie, panie szwagrze, ja to opowiem — przerwał Kempiniński. — Otóż gdy pan — tu zwrócił się do Jerzego — opuścił mój dom, przez wieś przejechał jakiś jeździec i bardzo o pana dopytywał. Potem pojechał za panem, a za jakiś czas wrócił, zatrzymał się u szwagra...

— I prosił o bandażę — przerwał Garała. — Miał lekko osmalony bok. Więc ja opatrzyłem go po chrześcijańsku i idę do szwagra Kempinińskiego.

— Jakże to, przecie spotkaliśmy się na ulicy...

— Ale bo właśnie szedłem do was.

— Zaczęliśmy rozmyślać — przerwał znów Kempiniński —

I jakoś wydało nam się to podejrzane; nic, tylko — mówię — była jakaś bijatyka z panem Lubrańskim.

— Ja to powiedziałem, szwagrze — zapewnił Garała i mówił

140

dalej — tedy uradziliśmy wyruszyć w drogę, bo gdyby, co nie daj Boże, coś się stało, chcieliśmy pana — tu zwrócił się do Andrzeja — uwiadomić.

— Przede wszystkim serdecznie panom dziękuję za życzliwość...

— Przecie pan jest naszym rodakiem, chyba nie ma za co dziękować.

— Istotnie, strzelano do mnie. Jak wyglądał ten jegomość, o którym panowie mówicie?

Garała opisał Garowa tak szczegółowo, że nie mogło być wątpliwości.

— To jednak on — zawołał Andrzej i zaczął przybyłych wtajemniczać w całą awanturę z Garowem.

— Panowie — odezwał się Kempiniński — czy to możliwe, aby ten człowiek dla zaspokojenia chęci zemsty tłukł się taki szmat drogi, narażał na koszty i szukał was w dżungli?...

Zastanówcie się, bo wedle mego rozumu, to jakoś się to kupy nie trzyma.

— I ja tak myślę. Skąd marynarz tu? Skąd zna las i drogę? Josoe machnął ręką.

— Rzeczywiście — dorzucił Garała — to nie do pojęcia. Ten Garów, jak go nazywacie, robił na mnie wrażenie człowieka, który całą okolicę zna na wylot.

— Może już tu kiedyś był? — dorzucił Jerzy. — Zresztą to, czy był kiedy w tych okolicach, czy nie, nie posuwa nas ani o krok. Faktem niezbitym jest, że Garów się tu znajduje i że ma wobec nas nieprzyjazne zamiary, to nie ulega wątpliwości — Jerzy powiedział to mocno i zdecydowanie.

— Teraz na jakiś czas jest unieszkodliwiony — zauważył Garała — dopóki jest ranny...

— Czy po opatrunku odjechał? — przerwał mu Jerzy.

— Tak.

— W jakim kierunku?

— Tego, niestety, nie wiem — przyznał się zawstydzony zakrystian.

Siedzieli jakiś czas w zamyśleniu, wreszcie odezwał się Kempiański:

— Sytuacja jest taka, że w każdym razie należy zachować ostrożność. Najlepiej by było, gdybyście panowie zechcieli przy-

III

jechać do nas, do wsi, gdzie w razie czego są ręce do obrony. Na tym odludziu...

— Josoe ma swoich dobrych „cabocli” — odezwał się trochę urażony ojciec Marietty.

— Mamy tu pracę, drogi panie — odparł Jerzy — i trudno nam uciekać do wsi przed zemstą głupiego marynarza.

— Ten głupi marynarz, jak go pan nazwał, może sobie zwerbować tylu „capangów”, ilu tylko sam zechce. A wtedy w tej głuszy leśnej nie obronicie się.

— I to prawda... nie możemy narażać Josoe — potwierdził Andrzej — ani jego córki, wobec tego przeprowadzimy się do jakiegoś szałas.

— To bardzo głupia myśl — zirytował się Murzyn. — Jak zostać w lesie, to zostać w moim domu.

Nagle zerwali się i chwycili za broń. Ktoś nadjeżdżał cwałem ze strony wsi.

— Si senhor — rozległo się i w chwilę potem Wojtek Pyr znalazł się wśród obecnych.

Zadyszany, spocony podawał jakiś przedmiot zawinięty w chusteczkę.

— Po odjeździe pana nauczyciela i pana zakrystiana przybiegł do wsi jakiś wyrostek murzyński i oddał mi to. Pomyślałem...

Garała wziął paczkę, rozwinął ją i na ziemię wypadła deseczka z przywiązany kawałkiem papieru. Na deseczce było napisane: Dhil — Lubrański.

— Co to? — zdziwił się Jerzy. Andrzej rozwinął kartkę. Kempiański nachylił się wraz z Garałą.

— Po jakimu to pisane?

— Po angielsku — odpowiedział Andrzej i zaczął głośno czytać:

na wszelki wypadek, może list dojdzie do waszych rąk. Jesteśmy z ojcem w niebezpieczeństwie. Parę razy w drodze obilo mi się o uszy nazwisko Fabricia i polskiej wsi Santa Teresa. Piszę do polskiej wsi. Jesteśmy nad jeziorem. Ratunku! Mary Davis.

Jerzy zerwał się i zaraz potem usiadł spokojnie. 142

Andrzej przetłumaczył list.

— Kto to jest ta Mary? — zapytał Garała.

— Znamy ją z Nowego Jorku. Jej ojciec jest właścicielem okrętu „Chicago”.

— To coś podejrzanego. Skądżeby się oni tutaj w dzungli wzięli? — zawołał Kempiański. — Czy poznajecie przynajmniej jej pismo?

— Nigdy nie widziałem jej pisma. A ty, Jurku?

— Ja też nie. Ale patrz, na chusteczce jest jej monogram.

— To niczego nie dowodzi. A Garów wie, że ją znamy.

— Jestem tego samego zdania, co pan Kempiański. To musi być zasadzka. Chce, byśmy szukali po lesie.

— A jeżeli?... — Jerzy nie dokończył, gdyż głos zabrał Kempiański.

— Karczmę Fabricia znam. Ten Fabricio to podobno jakiś daleki krewny tego sławnego bandyty i awanturnika grasującego w „sertongach”) Parany. Otóż, powtarzam, karczmę znam i znam jej właściciela, o tym, żeby on więził kogoś, nawet pomyśleć trudno.

— Fabricio porządny człowiek — odezwał się milczący dotąd Josoe.

— Otóż, ponieważ panowie obawiali się, czy ten obcy nie strzelał do pana Lubrańskiego — powiedział Wojtek — a ja, choć pisma wyrozumieć nie mogłem, wyczytałem nazwiska

panów Dhila i Lubrańskiego, więc zawiązałem paczuszkę jak była i na wszelki wypadek uwiązałem Murzynka, żeby nie uciekł, i tu przyjechałem.

— Doskonale zrobiłeś — ucieszył się Kempiański — to nam znakomicie ułatwi trafienie po nitce do kłębka.

— To i nie ma na co czekać, jedźmy do wsi — zawołał Jerzy.

— Noc zapada — powiedział Josoe — lepiej przespać i rano ruszyć. Rano ja wezmę moich „cabocli” i pojedziemy razem.

— To rozsądna rada — zgodził się Kempiański.

Ale Jerzemu trudno było usiedzieć w miejscu. Wszyscy kategorycznie zabronili mu jechać, wtedy zgodził się poczekać do rana.

Puszcze Parany.

143

Josoe przywołał Mariettę, zjedzono w milczeniu kolację i udano się na spoczynek.

Była już noc, gdy Andrzej upewniwszy się, że Jerzy śpi, wyszedł przed dom. Postanowił czuwać, lękał się bowiem, by Jerzy ze zbytku zapału i niepewności o los Mary nie popełnił jakiej nadorzecznosci i na własną rękę nie zaczął szukać dziewczyny.

Usiadł na swoim ulubionym miejscu, na zwalonym pniu przed chatą, gdy wtem zamigotało coś w drzwiach domostwa.

— Kto tam? — zawołał.

— To ja.

Poznał głos Marietty.

— Nie mogę spać — mówiła — chciałam zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

— Ja także usnąć nie mogłem.

— Więc jutro wyjeżdżacie panowie? — Niebawem wrócimy.

— Chciałabym pojechać z wami, ale wiem, że ojciec nie pozwoli.

— I będzie miał słusznosc.

— Szkoda.

Andrzej namyślał się chwilę, potem podszedł do Marietty i zapytał:

— Marietto, ja nie pytam ciebie tylko przez ciekawosc... Powiedz mi prosto i uczciwie, co myślisz o Velho Suezie?

— Proszę o nim nie mówić — zachnęła się dziewczyna.

— A jednak dla twego dobra muszę mówić. Słuchaj, Marietto, Velho Sueza prosił dziś twego ojca, byś została jego żoną.

— A cóż mój ojciec?

— Ma mu dać odpowiedź. Ale muszę ci powiedzieć, że patrzy na niego przychylnie, dziś rano mówił mi o tym.

— Więc ja panu odpowiem jednym słowem: nigdy. Pan wie, jak ja kocham mego ojca, jak bardzo go kocham, ale raczej ucieknę stąd, raczej nie wiem co zrobię, tylko jedno wiem, żoną Velho Suezy nie zostanę nigdy, bo nie mogę. Bo nie tylko, że go nienawidzę... ale... ale...

— No co? powiedz.

— Ja... ja... jestem...

144

— Co jesteś?

— Jestem zakochana.

— Powiedzże w kim.

— Nie. Ja tego nie powiem. Za żadne skarby nie powiem, bo... bo...

— Dzieciaku, no powiedz...

— Po co mam mówić? Chyba pan nie jest niewidomy? Mnie się zdaje, że cały świat już wie. Że wszyscy to widzą, że pan chyba powinien wiedzieć o tym pierwszy, bo to przecież...

— Już wiem, Marietto. I powiem ci, że ja... Marietto, ja będę prosił ojca o twoją rękę. Kocham cię i będę kochał z całego serca.

XXXVIII

Trudno opisać niepokój Andrzeja, gdy nazajutrz rano zobaczył puste łóżko Jerzego. Do poduszki przypięta była kartka:

Drogi Andrzeju, głos przecucia mówi mi, że Mary jest naprawdę w niebezpieczeństwie. Nie mam prawa was wszystkich narażać. Wyjechałem sam.

Jerzy

Gdy reszta dowiedziała się o ucieczce Jerzego zapanowało przygnębienie.

— Wariat — sformułował krótko Kempinski — gotów wszystko popsuć.

— Tu nie ma co deliberować i krytykować, wszyscy na koń, może go dogonimy. Nie mógł nigdzie pojechać, tylko do wsi, aby od złapanego Murzyna dowiedzieć się szczegółów.

Rada Andrzeja została przyjęta i natychmiast wykonana. Ruszono galopem. Andrzej zdążył tylko nieznacznie ścisnąć rączkę Marietty.

Gnali, co koń wyskoczy.

10 Przez morza i dżungle

145

We wsi dowiedzieli się, że Jerzy był przed kilkoma kwadransami, uwolnił więzionego przez Wojtka Murzyna i wraz z nim bardzo szybko odjechał.

— I co teraz? — zapytał nauczyciel.

— Teraz chodźmy do księdza proboszcza dać na mszę żałobną — krzyknął ze złością Garała

— a to lekkomyślny chłopak, bigosu nawarzył i tyle!

Andrzej trząsał się jak w febrze.

— Jak wyglądał ten mały Murzynek? — zapytał Josoe. Wojtek zaczął go szczegółowo opisywać, a wraz z nim dawali

objaśnienia zebrani wokół mieszkańcy całej wsi. Wszyscy naradzali się nad położeniem.

— Tyle przykrości narobić ludziom — wyrzekł Kempinski.

— Trzeba go ratować! — zawołał bliski rozpaczy Andrzej — już dłużej tu nie ustoję!

— Ale jak? Dokąd pojedziemy? Wiatru w polu będziemy szukać? — ofuknął Andrzeja Kempinski.

Baby wiejskie zaczęły radzić i lamentować, niektóre brzeżkiem fartucha łzę z oka wycierały, aż Garała, doświadczony w trudnych sytuacjach, zbiegowisko rozpedził i poprowadził zainteresowanych na probostwo.

Ksiądz Kwiatkowski, gdy się dowiedział o co chodzi, głową pokręcił:

— Innej rady nie widzę, tylko trzeba wam udać się w okolicę karczmy Fabricia, tam podzielić się na małe oddziały i przeszukać okolicę.

— Tak, to jedyna rada — przyznał Kempinski. — Proponuję, żebyśmy się od razu rozdzielili.

Pan Dhil, ja i paru chłopców z Wojtkiem Pyrą pojedziemy zaraz brzegiem rzeki, a szwagier Garała, pan Josoe i jego, „cabocle” niech wyjadą za godzinę zwykłą drogą. Spotkamy się niby przypadkowo w gospodzie, a po drodze trzeba się wypytywać. Ponieważ droga wypada niedaleko od sadyby Josoe, pchnijcie tam jednego „cabocla” może Marietta ma jakie nowiny.

— Tak będzie dobrze. A ja wezmę Mariettę do gospody. Żona Fabricia jest naszą krewną. Za bardzo niebezpiecznie być dziewczynie w lesie samej.

Jak postanowiono, tak i zrobiono. Na próżno zatrzymywał

146

ksiądz Kwiatkowski na herbatkę. Dhil pił, aby jak najprędzej wyruszyć. Toteż pierwsza partia wyjechała, skoro tylko zwerbowani przez Wojtka parobcy osiodłali konie.

Andrzeja drażniła powolna jazda, ale nie można było posuwać się szybciej, gdyż droga wśród lasu, zarośnięta i wąska, nie pozwalała na to. Poza tym Kempinski słusznie zaznaczył, że

konie są i tak zmęczone, a nie wiadomo co je jeszcze czeka. Były to małe brazylijskie koniki, bardzo rączne i wytrzymałe, ale mimo to przezorność trzeba było zachować.

Gdy się ściemniło, Kempiański kazał rozłożyć obóz, ale ogni palić zabronił. Andrzej, choć dobrze rozumiał, że dalsza jazda jest niemożliwa ze względu na drogę i ciemności i ze względu na konie, niecierpliwił się bardzo. Całą noc prawie przeleżał bezsennie, bał się o Jerzego, wreszcie skoro tylko świt przezwyciężył noc, zbudziwszy towarzyszy wyruszył w dalszą drogę.

Kilkakrotnie mijali samotne szałas, do których podchodzili ostrożnie oglądając je bacznie i starannie. Wojtek jechał przodem i pilnie wypatrywał, czy nie dojrzy jakich śladów, ale wokół była tylko pustka i martwota.

Koło południa | dojechali znów do jakiegoś szałas. Wojtek zeskoczył z wierzchowca i coś na ziemi wypatrywał.

— Byli tu — odezwał się wreszcie.

— Skąd wiesz? — zapytał Kempiański.

— Ano, ognisko jeszcze niezupełnie wygasło, ot, tu pod popiołem jeszcze się tli.

— To pozwala się tylko domyślać, że ktoś tu był, ale kto? — rzucił jeden z parobczaków.

— Ano, na to już trudno odpowiedzieć.

Wojtek chodził wokoło i w dalszym ciągu szukał pilnie śladów, nagle schylił się szybko i podniósł jakiś przedmiot.

— Ot, co zostawili.

Podał Kempiańskiemu ołówek z notesu. Andrzej obejrzał ołówek.

— To chyba własność Jurka. Ołówek jest polskiej firmy Ma-jewskiego.

— To niczego nie dowodzi, ta firma sprzedaje bardzo dużo ołówek do Brazylii — zauważył Kempiański.

— Istotnie, ale na tym ołówku wyryto literę „L”.

147

— Przyjmijmy więc, że tu nocował pański przyjaciel — Kempiański zamyślił się — tak... ano, w takim razie zdaje się nie ulegać wątpliwości, że zdąża on w kierunku karczmy Fabricia. Z tego znów wniosek, że murzyński chłopak prowadzi go zgodnie z treścią listu pisanego w języku angielskim, co znów naprowadza mnie na myśl, że owa panna istotnie sama ten list napisała.

— Tego znów ja nie rozumiem — odezwał się Andrzej — to może być przecież, tak jak już przypuszczaliśmy, zasadzka i podstęp ze strony Garowa.

— Nie sądzę jednak. Primo, po zastanowieniu nie bardzo w to wierzę, aby ten wasz Garów był w tych stronach, a po wtóre, gdyby on istotnie maczał palce w tej sprawie, to sprzątnąłby naszego rodaka wcześniej. Skoro aż tu dojechali bez przeszkód, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Garów nic nie wie o naszej wyprawie ani o tym tajemniczym liście.

— Rozumowanie jest logiczne.

— Musimy więc jechać dalej za śladami, o ile w ogóle takie się jeszcze pokażą. Ważne dla nas byłoby stwierdzenie, czy kryjówka, w której znajduje się ta panna z ojcem, znajduje się na naszej drodze; przed czy za karczmą Fabricia.

— Tak. Ale tego się nie dowiemy.

— Jakby tam nie było — wtrącił Wojtek — trzeba posuwać się bardzo ostrożnie.

Ustalili taki porządek pochodu, że mniej więcej o dwieście metrów w przodzie jechał Wojtek, za nim dwóch parobczaków ze wsi, a w tyle Kempiański, Dhil i reszta chłopaków.

Minęły dwie godziny.

Jechali w piekielnym wprost skwarze nie natrafiając na żadne ludzkie ślady.

Nagle Wojtek wstrzymał konia i gestami zaczął dawać znaki towarzyszom, aby się zbliżyli, nakazując zachowanie ciszy. Gdy podjechali bliżej, wskazał na polance szałas, przed którym tliło się ognisko. Wybrano dwóch ludzi i posłano ich przodem; reszta zarepetowała sztucery i stanęła w pogotowiu za ochroną z drzew.

Wywiadowcy ostrożnie dojechali do szałas. Widać było, jak zeskoczyli z koni. Naprzeciwko nich wyszedł jakiś starszy

148

mężczyzna. Ukryci towarzysze widzieli, jak nieznajomy wyniósł naczynie do picia „herba matę” i częstował gości.

Po kilkunastu minutach wysłannicy wsiedli na koń i odjechali. Zakołowali i po pół godzinie znaleźli się wśród swoich.

— Powiadał, że jego szałas minął jakiś biały i wyrostek murzyński. Jechali szybko i nie zatrzymali się u niego.

— Jesteśmy więc na dobrym śladzie.

Objechali kołem szałas i po godzinie zbliżali się już do karczmy Fabricia.

Uwiązali konie u palików przy studni i weszli do wnętrza.

Kazali sobie podać coś do picia i tu cierpliwość Andrzeja była narażona na duże próby.

Kempiński prowadził z całą dyplomacją rozmowę z Fabriciem, o nic się specjalnie nie wypytywał, okazał duże zainteresowanie tym, że w tych dniach będzie w gospodzie kupiec Tse Li, który skupuje skóry, że kupiec opuszcza okolicę, i że z tego powodu odbędzie się u Fabricia zabawa. Mówiono o tysiącu błahych rzeczy, tak że Andrzej wił się po prostu z niecierpliwości.

— Poczekamy tu u ciebie Fabricio na jednego amigo. Wybrał się na polowanie z wyrostkiem murzyńskim i jakoś go nie widać — powiedział jakby od niechcenia Kempijski.

Fabricio nie zainteresował się tym tematem.

— To pewno nadejdzie, jeszcze go nie było.

Pogadali jeszcze o paru obojętnych sprawach i gospodarz wyszedł z izby.

— I co teraz? — zapytał Andrzej.

— Schronisko tej panny musieliśmy minąć, musi się ono mieścić przed karczmą i tam pewnie Murzyn zaprowadził pana Jerzego. Trzeba będzie poczekać na Garałę i Josoego i z nimi rozpocząć przeszukiwanie okolicy.

— Ano, innej rady nie ma — potwierdził Wojtek Pyr.

Po paru godzinach nadjechali Garała i Josoe. Andrzej ucieszył się, gdyż Marietta była z nimi.

Josoe oddał córkę pod opiekę żony Fabricia, potem zaś rozdzielono się na trzy partie pod wodzą Kempieskiego, Josoego oraz Garały i ruszono na dalsze poszukiwania.

Andrzej pojechał tym razem z Josoem.

149

XXXIX

Gdy po dwóch dniach zjechało się znowu w gospodzie, sprawa nie posunęła się ani o jeden krok naprzód. Obejrzano bardzo dokładnie wszystkie polskie osiedla, przejechano wszcz i wzdłuż całą okolicę — a wszystko bezskutecznie.

— Bardzo zła sprawa — mówił Josoe.

— Już tam mniejsza o nasz czas — dodawał Wojtek — jakoś w domu krewni nas zastąpią, ale co dalej robić?

Andrzej nie brał udziału w naradzie. Siedział strapiony i przygnębiony do ostatnich granic.

Do niepokoju o życie Jerzego przyłączyło się jeszcze fizyczne zmęczenie. Od zarania do nocy siedziano w siodle, mało i byle czym się pożywiając, gnano galopa lub przedzierano się przez dzikie zarośla. „Cabocle” Josoego oraz polscy pionierzy umieli jeździć po lesie. Andrzej podarł na sobie odzież, rozkrwawił w paru miejscach twarz o gałęzie drzew, był zbiedzony, znużony do ostateczności.

Marietta mieszkała u swej ciotki, nie widywała nikogo, nawet Andrzeja, którego myśl pracowała jedynie w kierunku ratowania przyjaciela.

Po nowej naradzie postanowiono nazajutrz rozpocząć od początku poszukiwania, z tym że Wojtek pojedzie do wsi, zawiezie wiadomości rodzinom tych, którzy brali udział w

poszukiwaniach i jednocześnie dowie się, czy przypadkiem nie zajeżdżał znów do wsi ów jegomość, o którym przypuszczano, że jest Ga-rowem.

Całodzienne, nużące poszukiwania następnego dnia znów nie dały rezultatów. Ten i ów z parobczaków zaczął przebąkiwać, że w domu robota czeka, że to próżny trud szukać zaginionego w dżungli.

Andrzej wpadł w rozpacz.

Podczas bezsennych nocy potworne widziadła majaczyły mu przed oczyma. Raz po raz widział, jak to on młodszego od siebie Jerzego namawia na wyjazd z kraju, i w wyobraźni widział Jerzego na marach, to znów zdawało mu się, że słyszy wycie szakali, które rozdzierają ciało przyjaciela. Rankiem wstawał z hamaka jeszcze bardziej znużony, niż się kładł z wieczora.

150

Przyszło mu na myśl, że właściwie dalsze wykorzystywanie czasu, uprzejmości i dobrej woli rodaków oraz Josoe i jego „cabocli” jest bezcelowe. Postanowił sam szukać do końca, a nie narażać oddanych towarzyszy na trudy i statę czasu.

Gdy swój punkt widzenia wyłożył Kempieńskiemu, nauczyciel zaperzył się:

— Mało panu jeszcze, że jego przyjaciel zrobił głupstwo, chce pan nam w ten sposób oszczędzić trudu i czasu, a potem będziemy szukać i jego i pana.

Ujęci delikatnością Andrzeja parobcy ani słyszeć nie chcieli o tym, by mieli zaniechać poszukiwań. Jeden z nich odezwał się:

— Tu w Brazylii czas nie taki drogi, jakoś tam jeszcze razem. poszukamy i da Bóg znajdziemy tego pana.

— Samemu po lesie chodzić i samemu szukać to znaczy być bez rozumu — zakończył dyskusję Josoe.

Sprawa zdawała się być wyczerpana, ale jeszcze wystąpił Garała i mówił na ten temat pół godziny. W wywodzie swym cytował różne maksymy wielu znanych autorów, coś niecoś pożyczyl z kazań księdza Kwiatkowskiego, mówił z łezką w oku o miłości bliźniego i wreszcie tak zakończył:

— I jeszcze panu powiem, że pan nie do dzikusów tu przyjechał. Nie mamy tu wprawdzie policji, ale właśnie dlatego sami musimy radzić i wzajem się wspierać, i dlatego naszym pierwszym obowiązkiem jest nie opuszczać w potrzebie rodaka. Cóż to pan myśli, że my jesteśmy ludzie bez serca, samego pana zostawimy? Nie chcę pana — broń Boże — obrażać, ale przecie wszystkich rozumów pan jeszcze nie zjadł, a w Południowej Ameryce jest pan za krótko na to, aby ją znać. Tak, drogi panie, będziemy szukali tak długo, aż znajdziemy pana Lubrańskiego, umarłego czy żywego, to jest chciałem powiedzieć tak długo, aż go znajdziemy, albo dojdziemy do przekonania, że dalsze poszukiwania są już bezcelowe. Ja osobiście już się urządziłem, bo kazałem przez Wojtka prosić księdza dobrodzieja o urlop, pana Kempieńskiego zastąpi w nauczaniu ksiądz wikary i będziemy szukali.

Andrzej był rozrzewniony.

Nazajutrz rano miano siadać na konie, gdy zjawił się Wojtek.

151

— Mam dobrą nowinę.

— Co się stało? — zawołali prawie wszyscy chórem. Wojtek wniósł do izby spory wór, w którym coś gwałtownie się szamotoło. Gdy rozwiązał sznurek, ukazała się jakaś czarna głowa i pełne przerażenia oczy.

— Oto Murzyniątko, które mi oddało przesyłkę, a później prowadziło pana Lubrańskiego. Rzucono się na wyrostka, który był tak przerażony, że słowa wymówić nie mógł.

— A dajcież wy mu spokój — wdał się Josoe — niech odpocznie, ja go potem sam zapytam. Zabrał chłopaka, nakarmił go, a tymczasem Wojtek opowiadał:

— We wsi spokój, wszystko załatwiłem coście mi mówili i wracam. Przenocowałem w tym szałasie koło strumienia i rano, gdy ruszałem w drogę, patrzę, a tu ktoś idzie drożyną pieszo. Myślę sobie, ki diabeł, piechotę w puszczy, podjeżdżam, patrzę, mój Murzynek, a on w nogi. Ja z konia w ten mig zeskoczyłem i za nim. Może bym go nawet nie dogonił, bo biegł jak szalony, ale się o jakieś pocziwe liany zaplątał, więc go od razu tymi lianami związałem jak mogłem, i własnym pasem też, a że worek miałem do siodła przytroczony, boć zawsze się na co przydać może, więc do worka hultaja i gotowe.

— Wszelako dobrze, że się nie udusił — powiedział Kem-piński.

Ogólna uwaga zwróciła się na Josoego, który siedział przy wyrostku. Obstąpiono kołem stół.

— On nazywa się Fernando i mieszka daleko. On po polsku nie mówi, bo w jego wsi nie było polskiego księdza ani polskiej szkoły. Z nim trzeba mówić po portugalsku.

— Przywieźliśmy cię tu — zaczął tedy Wojtek po portugalsku...

Chłopak odpowiedział rezolutnie.

:— Ja jestem z tego zadowolony. Ja dostałem smacznie jeść.

— Tędy cię wiedli — mruknął Kempniński. — Dajcie mu trochę słodyczy — dodał głośno.

Chłopak, gdy przed nim postawiono smakołyki, aż w dłonie klasnął.

153

— Po co mnie było łąpać jak dzikusa i ścisnąć rzemieniem, i do worka pakować. Fernando trzeba było zaprosić na dobre jedzenie, to bym sam przyszedł — ostatnie słowa powiedział bardzo niewyraźnie, bo miał pełne usta ryżu ze słodkim syropem.

— Słuchaj no — pytał go Kempniński — kiedy byłeś w naszej wsi?

— Gdzie?

— W Santa Teresa?

— Aaa.

— Przyjechał biały pan i pojechaliście razem...

— Zaraz, zaraz szwagrze — przerwał Garała — trzeba od początku. — Ale że pocziwy Garała mówił po portugalsku bardzo słabo, choć się w Brazylii urodził, więc w dalszym ciągu śledztwo prowadził Kempniński, który będąc nauczycielem uczył także dzieci po portugalsku i język ten znał bardzo dobrze.

— Przyjechałeś do Santa Teresa z małą paczką, pamiętasz?

— Tak.

— Kto ci dał tę paczkę?

— Stary Garvey.

— A kto to jest?

— On jest przyjacielem mojego ojca.

— No i co on ci kazał zrobić?

— On mówił tak „Fernando odda to panu Polakowi we wsi Santa Teresa” i ja to oddałem.

— A kto oddał paczkę Garveyowi?

— Tego nie wiem.

— A wiesz, gdzie mieszka stary Garvey?

— Naturalnie, że wiem.

— A gdzie zaprowadziłeś tego białego pana, który po ciebie przyjechał do Santa Teresa?

— Ja zaprowadziłem go do starego Garveya.

— A co robiłeś w lesie?

— Ja w waszej wsi zgubiłem małą fajeczkę i chciałem ją znaleźć.

— Kupię ci nową, ładną fajeczkę, ot taką — wskazał na fajki leżące na ladzie — ale teraz musisz nas zaraz zaprowadzić do Garveya.

153

— To bardzo daleko.

— Pojedziesz konno.

— Dobrze. Tylko ja bym jeszcze chciał zjeść jeden talerz tego dobrego ryżu z syropem.

Dostał talerz ryżu, a Garała mruknął:

— Ten żarłok nie zaprowadzi nas do tego Garveya, bo nim dojedziemy, to pęknie z obżarstwa.

W kwadrans potem wsiedli na koń i pojechali. Fabricio od kilku dni wtajemniczony w sprawę zaginięcia Jerzego żegnał ich dobrymi życzeniami.

Jechali drogą na „fazendę” Josoego, w której zatrzymali się na posiłek. Jakież było zdziwienie Josoego, gdy otworzywszy drzwi zastał wszystkie sprzęty poprzewracane i straszliwy nieład.

— Dobrą myśl miałem, że zabrałem stąd dziewczynę, bo to nie był złodziej, nic nie zginęło

— były pierwsze słowa ojca Marietty.

Andrzej zwrócił się do Kempiańskiego:

— To musi być sprawka Garowa. Szukał mnie widocznie. Nie mam, niestety, prawie nadziei, żeby Jurek żył.

Po zabezpieczeniu domu i pozostawieniu w pobliżu paru „ca-bocli”, którzy mieli mieć baczenie na wszystko co się dzieje, ruszono dalej.

Droga była trudna, bo mało uczęszczana, zarośnięta lianami, gubiąca własny ślad. Przodem jechał jeden z „cabocli” i ciął przejścia. Posuwano się powoli, tak że dopiero nad wieczorem dojechano do jakiegoś nędznego szałas.

— To tu — powiedział Fernando. Ostrożnie zeszli z koni i obeszlili dom dookoła.

Josoe zapukał. Po chwili zaczął walić w szybę, a gdy nikt nie odpowiadał, pchnął drzwi i wszedł do środka. Zanim pozostali zdążyli wejść, Josoe wybiegł. Na twarzy jego malowało się straszliwe przerażenie.

— Straszne — wybełkotał.

Wtargnęli do chaty i zobaczyli Murzyna zawieszonoego u pułapu za nogi. Kempiański przeciął sznur i zajął się cuceniem nieszczęśliwego.

— Żyje? — zapytał Dhill.

154

— Nie wiem — padła odpowiedź.

Dhill i Kempiański zastosowali sztuczne oddychanie. Przez godzinę jednak nieszczęśliwy nie dawał znaku życia.

Andrzej podsunął lusterko pod jego usta. Zapocilo się.

— Jednak żyje.

Cucili go jeszcze z pół godziny. Wreszcie stary Murzyn otworzył powieki i bardzo słabym głosem powiedział:

— Pić.

XL

Stary Garvey zapadł w odrętwienie. Mowy nie było o tym, aby wydobyć z niego jakiegokolwiek zeznanie.

— Kto go tak po łotrowsku skatował? — pytał parokrotnie Dhill.

Nikt nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Fernando był przerażony i prosił, by pozwolono mu już odejść. Dostał pod dostatkiem jedzenia, zaprowadził ich, jak sobie tego życzyli, do Garveya, czegóż chcą od niego więcej? Pozwolono mu odejść, posłano jednak za nim „cabocla” z „fa-zendy” Josoego, któremu polecono śledzić z ukrycia młodego Murzyna.

„Caboclo” wrócił po paru godzinach i oznajmił, że Fernando doszedł do szałas, w którym mieszkał z ojcem. Nic tam nie było takiego, co by mogło nastęrczać jakiegokolwiek podejrzenia.

Zapadła noc, a Garvey nie odzyskał przytomności. Koło północy zaczął bredzić, parę razy powiedział:

— Nie tędy.

Dziwne było to, że wyrazy te wypowiadał w języku angielskim.

Dhill przetłumaczył znaczenie słów i pochylił się nad chorym.

— Patrzcie — powiedział — jego piersi są wytatuowane. To są znamiona marynarza. Patrzcie, tu jest smok, o tu, widzicie? Ten człowiek musiał w swoim życiu pływać po chińskich wodach.

155

— Za dużo zagadek jest dla mnie w tym wszystkim — mruknął Garała.

Joseo kiwał głową w milczeniu i nie odzywał się wcale.

Tej nocy nikt prawie nie spał.

Przy pierwszym brzasku dnia zerwał się nagle Garvey i siadł na łóżku. Wywarło to niesamowite wrażenie na niewyspanych i zmęczonych towarzyszach poszukiwań.

Garvey wodził wzrokiem długo po zebranych, jakby starając się sobie coś ważnego przypomnieć. Nikt nie zabierał pierwszy głosu. Wszyscy w napięciu przyglądali się staremu Murzynowi.

— Wyratowaliście mnie? — zapytał wreszcie Murzyn po por-tugalsku.

— Tak — odpowiedział Kempiański — szukamy naszego przyjaciela, który przybył do tych okolic z Fernandem.

— I nie jesteście wrogami tego Polaka?

— Jesteśmy jego przyjaciółmi.

— W takim razie powiedzcie mi, jak się nazywa jego przyjaciel, który razem z nim przyjechał do Brazylii?

— To ja jestem — Andrzej podszedł do łóżka — nazywam się Dhill.

— Na jakim statku przybyliście — zapytał Garvey po angielsku.

Dhill widząc, że Garvey zamierza przeprowadzić śledztwo, opowiedział mu również po angielsku parę szczegółów, które przekonały Murzyna, że przybyli są istotnie przyjaciółmi Jerzego.

— W porządku — odezwał się Garvey znów po portugalsku, a zaraz potem westchnął i poprosił o wodę.

Odпочzął chwilę, dźwignął się na łóżku i odezwał się:

— Słuchajcie, niewiele mi już zostało sił, a muszę opowiedzieć o paru rzeczach. Byłem w Nowym Jorku woźnym w biurze pana Davisa...

— Ojca panny Mary? — przerwał Dhill.

— Tak. Ale nie przerywajcie mi. Tam poznałem niejakiego Garowa. Starał się on wtedy o pracę. Zaprzyjaźniłem się z nim i sam nie wiem, kiedy pożyczyłem mu trzysta dolarów. Potem wyrobiłem mu miejsce na statku. Pływał przez rok, ale pieniędzy mi nie oddawał. Prosiłem go kilkakrotnie listownie o zwrot,

156

niestety bezskutecznie. Wtedy pokazałem kwit w biurze, zaczęli mu więc strącać jego dług z pensji, a mnie należność oddawać.

— Ale co to ma wspólnego?... — przerwał znowu Andrzej.

— Niech pan mu nie przeszkadza — powiedział Kempiański.

— Od tego czasu — ciągnął Garvey — Garów mnie znienawidził. A gdy przyjechał do Nowego Jorku, nazwał mnie czarną małpą i złodziejem. Wtedy właśnie żeniłem się. A on, wiem to z pewnością, podjudził na mnie tłum, bo moja żona choć była Mulatką, miała prawie białą skórę, a wy wiecie, że Amerykanie na Północy nie darują Murzynowi, choćby ten odważył się tylko iść przez ulicę z białą kobietą. Zbito mnie publicznie i wtedy postanowiliśmy z żoną wyjechać. Niestety, żona moja umarła w krótki czas po ślubie, zaciągnąłem się więc na okręt i sam przyjechałem w te strony, gdzie już rok przedtem wyemigrował mój przyjaciel a ojciec Fernanda, i skąd pisał mi, że mu się dobrze powodzi. Znów zażądał wody i odпочzął chwilę.

— I potem — mówił dalej — straciłem z oczu Garowa. Mówiono mi tylko, że on bywał w tych stronach, a nawet kupiec skór, Tse Li, gdy zobaczył u mnie jego fotografię pochodzącą z tych czasów, gdy byliśmy w przyjaźni i sfotografowaliśmy się razem, mówił mi, że go zna,

ale wymienił jakieś inne nazwisko, którego nie zapamiętałem. Myślałem wtedy, że myli się złudzony jakimś podobieństwem.

— Skąd wziął się list od panny Mary? — przerwał zniecierpliwiony Andrzej.

— Zaraz powiem; niedaleko stąd jest „venta”,¹⁾ której właścicielem jest Włoch nazwiskiem. Parella. Bywam tam po tytoń oraz inne rzeczy, których potrzebuję. Otóż jednego dnia, kiedy znalazłem się sam w izbie sklepowej, wyszła do mnie żona Pa-rella, dobra kobiecina, zawsze zahukana przez niegodziwca męża, położyła palec na ustach i powiada:

„Znasz wieś Santa Teresa?” Gdy potwierdziłem, ona szepce cicho:

„Oddaj to we wsi księdzu albo komukolwiek i ani słowa mojemu mężowi.”

*) Karczma, dom zajezdny, tu sklep.

157

Andrzej poruszył się niespokojnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale Kempieński położył mu rękę na ramieniu i dał znak, by milczał.

— Wiedziałem — ciągnął dalej Garvey — że w Santa Teresa mieszkają Polacy, których znałem w Nowym Jorku i lubiłem. Pracowało ich kilku w biurach pana Davisa i nigdy nie okazywali mi, jako Murzynowi, pogardy, a że i żona tego Parella budziła we mnie litość, więc obiecałem jej, że paczkę oddam. Wtedy wszedł Parella. Skrzyczał kobietę, że wychodzi do sklepu zamiast pilnować kuchni, ja zaś kupiłem tytoń i odjechałem. Że jednak jestem za stary, abym sam taki kawał drogi jechał, zleciłem załatwienie tej sprawy Femando, który ją załatwił. A teraz...

— Teraz, co z moim przyjacielem? — zapytał Andrzej.

— Chwilkę odpocznę.

Garvey osunął się na łóżku i długą chwilę leżał bez ruchu. Andrzej zaczął nerwowo chodzić po izbie; nawet spokojny i cierpliwy Josoe powiedział po polsku:

— On opowiada od początku świata. On się tak zmęczył, że nie może teraz skończyć.

— Gdy przyjechał pański przyjaciel — mówił słabym głosem Garvey — i pokazał mi list, gdy zrozumiałem, że wchodzi tu w grę Garów i jakieś niewytłumaczone porwanie miss Mary Davis, w oczach mi pociemniało. Pojechaliśmy we dwóch do „venty”, ale zastaliśmy tam parę osób o tak strasznych twarzach, że od' razu zrozumieliśmy, iż we dwóch nic nie wskóramy, więc wróciliśmy i pański przyjaciel miał zaraz udać się do pana Josoe, żeby uzyskać pomoc, otoczyć „ventę” i po dobremu czy złemu wydobyć z tego Parella zeznania. Właśnie jedliśmy obiad, a trzeba panom wiedzieć, że moi „cabocle” pognali bydło do miasta i że byliśmy sami; więc właśnie jedliśmy, żeby się posilić przed długą podróżą, gdy wtem w drzwiach ukazał się Garów, Parella i paru „capangów”. Rzucili się na pańskiego przyjaciela, związali go i zabrali z sobą, mnie zaś powiesili za nogi. Jak długo wisiałem, nie wiem, sądzę, że niedługo, bobym umarł. Oto wszystko, co wiem w tej sprawie.

— Na koń! — krzyknął Andrzej.

— O la Boga, człowieku, nie mogłeś nam wcześniej powie-

158

dzieć, żeby co tchu pędzić do sklepu Parella? — zawołał do Garveya Garała.

Garvey uśmiechnął się.

— Stary Garvey nie taki głupi. Żadną siłą bym was nie powstrzymał, gdybym od razu wskazał miejsce. Co z tego, że napadniecie na dom, z którego Parella ucieknie, gdy was zobaczy. Trzeba napaść nocą.

— Ja sądzę — powiedział Kempieński — że panu Lubrań-skiemu nic nie grozi. Po prostu dlatego go porwano, aby przekonać pana Davisa, że pomoc znikąd nie przyjdzie i podnieść stawkę wykupu. W której stronie jest „venta” Parella? — zwrócił się do Garveya.

Nie było odpowiedzi.

Podbiegli do łóżka. Garvey oddychał ciężko i opadał z sił.

Andrzej załamał ręce.

Zapanowało przykre milczenie.

Wtedy zabrał głos Josoe:

— My przy Garvey'u zostawimy jednego człowieka, bo Gar-vey jest bardzo chory. My pojedziemy do Fernanda, drogę zna ten co szedł za nim. A Fernando zna drogę do „venty” i on nas zaprowadzi.

— Doskonała rada, lepszej nikt nie da! — zawołał Garała. Nikt nie miał ochoty zostać przy umierającym Murzynie.

Wszyscy chcieli wziąć udział w wyprawie. Wreszcie trzeba było losować między „cabocłami”. Wylosowany pozostał, reszta pojechała cwałem do chaty ojca Fernanda. Niemal kosztowało ich trudu i perswazji, niemal Josoe musiał wysilać swą elokwencję, by nakłonić chłopaka do towarzyszenia im w drodze, wreszcie, już nocą, ruszono.

Droga była niedaleka. Gdy księżyc oświetlił dużą polanę z rzadka porośłą pinhorami,¹⁾ zamajaczyły przed nimi kontury „venty”.

— Stać! — zakomenderował Kempieński. Stanęli.

— Ja dalej nie jadę — oświadczył Fernando.

Drzewo rozłożyste jak palma, ale iglaste jak sosna.

159

— To wracaj na zbity łeb — mruknął Wojtek. — Teraz już sami trafimy.

— A jeść nie dostanę? I mam wracać sam po nocy? — zapytał Fernando.

W sprawę wmieszał się Josoe i coś tam pertraktował z wyrostkiem.

— A teraz — powiedział Kempieński zwracając się do Andrzeja — niech pan, jako polski oficer, obejmuje komendę. Pierwszy raz zdarza mi się brać udział w bitwie pod dowództwem polskiego oficera.

Tu poczciwy wiejski nauczyciel zasalutował i, może się tak tylko zdawało Andrzejowi, może to księżyc łudził wzrok, ale coś jakby łyzy błysnęły w oczach Kempieńskiego.

Parobcy wyprostowali się na koniach i stali cicho, w rażącym przeciwieństwie do szeptających „cabocli”.

Andrzej ogarnął wzrokiem polanę i zakomenderował:

— Josoe i „cabocle” objadą dom z lewej, pan Kempieński i część chłopców z prawej, ja, pan Garała, Wojtek i jeszcze dwóch pojedziemy wprost na „ventę”. Gdy okrążymy dom, pilnować okien. Do środka skoczę ja i ci, którzy będą przy mnie. Proszę pamiętać, aby przy każdym oknie stało po dwóch ludzi i pod żadnym pozorem nie opuszczało swych stanowisk.

Josoe przetłumaczył instrukcje po portugalsku swym „caboc-lom” i ruszył pierwszy. Po nim odjechał oddział Kempieńskiego, a po dobrej chwili zaczął podjeżdżać pod dom Andrzej, aby dać czas tamtym na wykonanie okrążenia. Dotarli pod sklep.

Andrzej objechał dom i z przyjemnością zauważył, że jego rozkazy zostały ściśle wykonane. Postawił strażę przy koniach, aby je mieć pod ręką.

— Słuchaj, Wojtku! — powiedział — weźmiesz trzech ludzi i ruszycie do stajni. Gdy my wskoczmy do „venty”, w łeb tego, kto tutejszych koni pilnuje, i związać go.

Wojtek podciągnął spodnie i ruszył na czele małego oddziału.

Andrzej odczekał chwilę, doszedł do drzwi i ruszył klamką. Drzwi były zamknięte. Zawahał się, ale Garała machnął ręką, i tak podparł drzwi, że po chwili padły z hukiem na ziemię; wtargnęli do środka. Ogarnęła ich ciemność. Rozbiegli się po całym domu. Dotychczasową ciszę zamąciły krzyki i strzały.

160

Andrzej wpadł do jakiegoś pomieszczenia, gdzie paru mężczyzn zbudzonych hałasem zerwało się z mat i hamaków. Dwa oddziały starły się, ale zaspani „capangowie” nie mogli się długo bronić, zwłaszcza że z niektórych opadały spodnie. Po krótkiej chwili związano ich, gdy z drugiej części domu rozległy się nowe salwy. Andrzej zwrócił się w tamtą stronę i zobaczył kłębowisko walczących. W tej samej chwili doszedł od strony stajni krzyk Wojtka:

— Jest nas tu za mało! Pomocy!

11 Przez morza i dżungle

Kil

— Garała, do stajni! — zawołał Andrzej.

Garała ze swym oddziałem wy dostał się na zewnątrz i popędził do stajen, gdzie bitwa dla dzielnego Wojtka mogła się była lada chwila źle skończyć. W stajni bowiem spało kilkunastu ludzi, którzy zbudzili się i już przyparli do drzwi słaby oddziałek Wojtka Pyra.

Tymczasem w domu zapanował sędny dzień.

Wskutek ciemności obrona i atak miały utrudnione zadanie. W pewnym momencie Kempijski złapał kogoś za głowę i dopiero po chwili zorientował się, że wodzą się za łby z Josoe. Andrzej zwołał swoich ludzi, a przynajmniej tę część, która go usłyszała, i rzuciwszy się na walczących kazał każdego schwytanego wiązać, aby już nie mógł dalej brać udziału w bitwie. Wyglądało to w ten sposób, że wyrzucano delikwenta przez okno, gdzie dwóch „cabocli” wiązanie pojęło w sposób swoisty, gdyż każdego wyrzucanego walili pięścią w głowę, tak że tracił przytomność. W końcu uporano się z nieprzyjacielem; Andrzej pchnął ostatnie drzwi i stanął w oświetlonej izbie oko w oko z Garowem, który strzelił.

Kula świsnęła Andrzejowi koło ucha.

Rzucili się na siebie.

W tej chwili, jak spod ziemi wyrosło paru mężczyzn; Kempijski uporawszy się z „capangami” wpadł do pokoju. Bijatyka stała się ogólna. Opór napadniętych mała z minuty na minutę. W niedługi czas potem walka została skończona.

Garała dopadł do wtulonej w kącie kobiety.

— Pani jest żoną Parella? — pytał łamaną portugalszczyzną. Skinęła głową.

— Gdzie więzieni? — krzyknął Andrzej. Wskazała na podłogę.

Do izby wpadł zadyszany Wojtek:

— W stajni gotowe, ale jeden wypadł z domu, wskoczył na naszego konia i uciekł.

— Łap! — krzyknął Andrzej. Rozejrzał się, wśród powiązanych nie było Garowa.

— Niepodobieństwo, w nocy nikt go nie złapie — odezwał się Kempijski.

Andrzej schwycił sznurek przymocowany do ruchomej deski

162

w podłodze i szarpnął. Zamajaczyła czeluść wilgotnej piwnicy. Garała zaświecił i oczom zwycięzców ukazali się związani i ułożeni obok siebie — Jerzy Lubrański, pan Davis i jego córka.

XLI

Świt przechodził już w dzień, gdy pionierzy z Santa Teresa i „cabocle” Josoe pili kawę w obejściu „venty”, spoglądając na powiązanych „capangów”. W domu zasiadł sztab powiększony

0 wy ratowanych z opresji.

Żona właściciela sklepu ukryła się w dalszych pokojach i popłakiwała, gdyż mąż jej w walce nocnej stracił życie. Był to człowiek do gruntu zły, lecz maltretowana Włoszka musiała się doń przywiązać, gdyż teraz wpadła jakby w stan odrętwienia

1 nie chciała z nikim rozmawiać.

Andrzej, Josoe, Kempijski, Garała wraz z Wojtkiem zasiedli do stołu z Jerzym, panną Mary i jej ojcem i słuchali opowiadania młodej Amerykanki, które na przemian to Jerzy, to Andrzej, tłumaczyli zebranym.

— Gdy tatuś postanowił udać się do Santos, chciałam mu towarzyszyć. Tatuś zgodził się. Po załatwieniu interesów pojechaliliśmy do Kurytyby, gdzie tatuś miał zakontraktować parańską kawę. W tym to mieście uparłam się zobaczyć „interior”. Zresztą i tatuś miał ochotę odpocząć nieco i zrobić małą wycieczkę. Wtedy to na ulicy, wychodząc z hotelu spotkaliśmy Garowa, który podszedł do nas i powiedział, że rzucił służbę na okręcie „Chicago” i zajmuje się obecnie handlem. Tatuś zapytał go, czy zna „interior” Parany; odpowiedział, że tak, wobec czego tatuś polecił mu zorganizować wyprawę w dżunglę. Mieliśmy trochę polować, bo tatuś ogromnie to lubi. Zapytałam, czy nie wie czego przypadkiem o panach Lubrańskim i Dhilu, a

Garów powiedział nam, że panowie ci znajdują się koło wsi polskiej Santa Teresa. Ponieważ było nam ostatecznie wszystko jedno, w którą stronę jechać, a spodziewaliśmy się, że panowie dadzą nam w puszczy gościnę u siebie, kazaliśmy

103

Garowowi kierować się do Santa Teresa, on zaś zgodził się na to z widocznym zadowoleniem i już nazajutrz najął ludzi i kupił konie; chcieliśmy bowiem jechać konno.

— Powiedz, że to ty chciałaś jechać konno — wtrącił pan Davis.

— Ale tatuś się na to zgodził. Wyjechaliśmy i wszystko było w porządku. Nasza eskorta składająca się z sześciu ludzi, uzbrojonych, znających dobrze teren dawała gwarancję, że bez przykrych przygód dostaniemy się do celu naszej podróży. Garów był nieoceniony, służył nam nie tylko za przewodnika, ale i za tłumacza, poza tym żelazną ręką trzymał w karchach naszą małą

armię, dbał o to, abyśmy mieli świeże zapasy żywności, a troskliwość swoją posunął tak daleko, że gdy się okazało iż kucharz niesmacznie gotuje, sam przyrządził nam posiłki.

— Podczas drogi układaliśmy z nim plany naszej dalszej wyprawy. Postanowiliśmy dojechać do Santa Teresa, stamtąd poszukać panów i razem przez czas jakiś polować na grubego zwierza w puszczy — dorzucił pan Davis.

— Tak więc wszystko było w porządku aż do chwili, gdy dojechaliśmy do tego domu. Tu w nocy skrzypiała nas nagle nasza własna eskorta pod rozkazami Garowa i wrzucono nas do lochu. Postawiono nam bardzo ciężkie warunki; mianowicie ojciec mój miał podpisać czek na pięćdziesiąt tysięcy dolarów i mieliśmy być więzieni do chwili, aż zbrodniarze zrealizują czek. Ojciec czeku nie podpisał, wychodziliśmy bowiem oboje z założenia, że nie wolno okupywać się zbrodniarzom, a poza tym, biorąc rzecz praktycznie, nie mieliśmy żadnej gwarancji, że oszuści po otrzymaniu pieniędzy nie będą nas dalej więzić i żądać coraz to nowych wykupów. Zostawiono nas w spokoju, dając czas do namysłu. Przychodziła do nas ta biedna Włoszka, która przynosiła nam pożywienie. Wydała mi się biedną, uczciwą kobietą, a że znam parę słów po włosku, zdołałam ją ubłagać, by mi pozwoliła napisać do panów. Ale nie mogłam się dopytać ani o nazwę miejscowości, ani o nazwisko właścicieli sklepu, by móc panom dać jakieś bliższe wskazówki co do miejsca naszego więzienia. Jedyne obijało mi się b uszy nazwisko jakiejś gospody Fabrieia, gdzie mieliśmy się zatrzymać na następny nocleg i pamiętam, że dojeżdżając tu, już pod wieczór, mijaliśmy

164

jakieś niewielkie jezioro. Jakim sposobem moje wołanie o pomoc doszło do Santa Teresa i panów, jakim cudem panowie nas odnaleźli, musicie nam to sami opowiedzieć, bo nawet domyślić się nie mogę. Wiem tylko, że wczoraj wrzucono do lochu pana Lubrańskiego, który mając zakneblowane usta nie mógł nam udzielić żadnych informacji. Nie potrzebuję chyba mówić, jak z jednej strony ucieszyłam się ujrzawszy pana Lubrańskiego, ale równocześnie jak straszne wrażenie zrobiło na mnie jego uwięzienie, tak bestialskie i nieludzkie.

Przypuszczałam od razu, że chciał nam przyjść z pomocą i tak ciężko odpokutował za swoją chwalebłą odwagę i śmiałość.

— Słusznie mi się to należało; zostałem schwytyany i uwięziony, ponieważ postąpiłem nieroztropnie, a tym samym mogłem narazić państwa na większe przykrości, gdyż Garów wskazując na mnie powiedział, że państwo znikąd już teraz nie mogą spodziewać się pomocy, gdyż jak się wyraził, „ten drugi polski przybłęda został zabity”.

— I dziś rano — dorzucił pan Davis, który mało mówił nie chcąc Mary odbierać przyjemności opowiadania o ich przygodach, byłbym już niezawodnie zapłacił okup, rozumowałem bowiem, że skoro pan Lubrański został schwytyany, a pan Dhil zabity, trudno nam się spodziewać skądkolwiek pomocy. Byłbym uległ, gdyby nadejście panów tak zasadniczo nie zmieniło sytuacji.

— Niech pan — tu Kempieński zwrócił się do Dhila — przetłumaczy państwu, że Garów uszedł; sądzę, że naszym obowiązkiem jest ująć tego łotra i oddać w ręce sprawiedliwości.

Gdy Andrzej przetłumaczył, pan Davis zapalił papierosa i głaszcząc córkę po głowie odezwał się:

— Sądzę, że Mary ma już dosyć awanturniczych przygód. Chciałbym ją więc zostawić pod jakąś pewną opieką i razem z panami zapolować na tego ptaszka. Zbrodnie nie mogą uchodzić bezkarnie.

Kiedy Josoe dowiedział się o decyzji pana Davisa, zaproponował, aby panna Mary przez cały czas pościgu za złoczyncą zamieszkała razem z Mariettą pod opieką żony Fabricia. Pan Davis zgodził się na tę propozycję i dwaj ojcowie, biały i czarny, z jednakową troskliwością naradzali się, czy schronienie u Fa-

163

brica daje rękojmię bezpieczeństwa dla ich córek. Kto by na nich patrzył, nie przypuściłby, że to Amerykanin z Północy rozmawia z Murzynem, siedzi z nim przy jednym stole, zasięga jego doświadczonej rady.

Panu Davisowi paradoksalność sytuacji nasunęła myśl, że Murzyni brazylijscy stoją daleko wyżej od Murzynów ze Stanów Zjednoczonych. Jakoś to sobie przecież wytłumaczyć musiał...

Nie wiadomo było, co zrobić ze schwytanymi jeńcami. Wojtek zaproponował, aby „psiawiarów” powiesić, ale pan Kem-piński nie pozwolił propozycji tej nawet przetłumaczyć na język angielski i poddał myśl, aby więźniów pod eskortą paru „ca-bocli” odesłać do pierwszego posterunku policyjnego, odległego o kilkadziesiąt kilometrów. W pół godziny później oddział złożony z „capangów” i konwojujących wyruszył, a Mary poszła do samotnie siedzącej Włoszki i zapewniła ją, że może liczyć na materialną pomoc jej ojca, który pokryje straty i szkody wynikłe wskutek bitwy.

Wreszcie ruszono w stronę gospody Fabricia.

Jerzy trzymał się przez cały czas blisko Mary i opowiedział jej, jakim sposobem dostali się w okolicę Santa Teresa. Widać było, że unika rozmowy sam na sam z Andrzejem, ten jednak nie dał za wygraną i gdy Jerzy opowiedział o ich losach panie Davis, wstrzymał nieco konia towarzysza i odezwał się:

— Właściwie, Jurku, powinienem ci nawymyślać co się zowie, bo przeżyłem przez ciebie parę przykrych dni. Zawsze łatwiej coś wskórać razem z przyjaciółmi niż samemu, czego, jak sądzę, na własnej skórze doświadczyłeś. Ale jestem tak szczęśliwy, że cię znów widzę obok siebie, że nie jestem w stanie nagadać ci przykrych rzeczy, na które sobie rzetelnie zasłużyłeś. Naraziłeś nie tylko siebie, ale i państwa Davis, bo gdyby nie przypadek, moglibyśmy was w ogóle nie znaleźć, a nie wiem, co by wtedy było.

— Słuchaj, Andrzej, zdaje mi się, że nasze rachunki są wyrównane, bo gdy się dowiedziałem, że ciebie zabito, wyobraź sobie, jak się czułem. Ale teraz, mówiąc poważnie, muszę ci przyznać, że palnąłem głupstwo. Straszne głupstwo. I gdy potem u Garveya napadnięto na mnie... Ale prawda, ty o niczym nie wiesz.

166

— Wiem. Garvey jest już wolny i on to wskazał nam drogę do waszego ukrycia.

— Chwała Bogu, że ten poczciwy Murzyn żyje.

— Jest ciężko chory, przynajmniej był, w chwili gdyśmy wyjeżdżali.

Zrównali się z resztą towarzystwa. Mary podjechała bliżej i uśmiechnęła się.

— O, ja wiedziałam, że panowie nas wyratują.

— Wyratował nas Andrzej i reszta — powiedział Jerzy. — Ja, niestety, opóźniłem tylko ratunek.

— Każdy z nas zrobił tylko to, co mu nakazywał obowiązek.

Pan Davis poprosił Andrzeja, aby jeszcze raz dokładnie opowiedział im, jak było na „Chicago” z Garowem, jakim sposobem kartka Mary doszła ich rąk i jak ich właściwie uratowali.

Andrzej opowiedział o wszystkim dokładnie, ojciec Mary patrzył na nich przez chwilę, a potem rzekł:

— Gdybym miał synów, chciałbym, żeby byli podobni do was.

Mary poczerwieniała, a Jerzy patrząc na nią zmieszał się. Andrzej tylko uśmiechnął się i podziękował panu Davisowi za tak dobre o nich mniemanie.

Jechali dość wolno, wreszcie stanęli przed chatą Garveya, gdzie postanowiono wypocząć, by nazajutrz udać się do karczmy Fabricia.

Trudno opisać radość starego Murzyna na widok przybywających. Garvey czuł się znacznie lepiej i wstał już z posłania. Josoe musiał parokrotnie opowiadać mu o całej wyprawie, potem zaś z miną tajemniczą podszedł do Garały i klepiąc go po ramieniu szepnął:

— Ja tak sobie myślę, że ta panna i pan Lubrański to jest bardzo ładna para. Ja wiedziałem, że on nie jest głupi i że to nie głowa tylko serce kazało mu iść samemu bez nas szukać panny. Serce robi czasem głupstwa, dużo głupstw, ale jak serca nie ma, to na świecie jest źle, bardzo, bardzo źle.

Garała zgodził się na wywód Josoeego i tak ugwarzali, aż zabrnęli w filozoficzną dysputę na temat serca i mózgu. Pod koniec obaj nie wiedzieli, o co im właściwie chodzi.

Gdy Garvey dowiedział się od Kempnińskiego, że Garów wy-

niósł z bójki całą głowę, zaniepokoił się nie na żarty i postanowił nazajutrz udać się do Fabricia.

— Drugi raz wisieć za nogi nie mam ochoty — powiedział do pana Davisa. A Garów to diabeł, on mi nie daruje. Dopóki on jest na wolności, nie mam tu co robić.

Josoe ofiarował Garveyowi gościnę u siebie, a potem zwrócił się po polsku do Andrzeja:

— Mnie się zdaje, że pan zostanie teraz u mnie sam. Bo pana przyjaciela to chyba pojedzie z tą śliczną panną. On na nią patrzy, a ona na niego, a jej ojciec nic tylko się uśmiecha.

Andrzej pomyślał, że Josoe ma rację, ale nie orientuje się, że ambitny Jerzy nie poślubiłby bogatej jedynaczki. Nagle ogarnęła go tęsknota za Mariettą, że zapomniał o sprawach przyjaciela, odciągnął na bok Josoeego i wręcz powiedział:

— Słuchaj Josoe, ja się chcę ożenić z Mariettą.

Stary Murzyn spojrzał bacznie na Andrzeja, milczał przez chwilę, a potem pokręcił głową:

— To jest trudna sprawa. Ja bardzo kocham Mariettę, a ciebie mało znam. Ja zostanę, sam, a wtedy mnie zabije Velho Sueza. Bo on kocha Mariettę. A ty jesteś młody i zakochany, a jak się zestarzejesz, to ty będziesz przeklinał, że masz czarnego teścia.

Usiedli pod drzewem i Andrzej przemawiał coraz mocniejszymi argumentami, lecz Josoe jakoś nie był czuły na objawy jego krasomówstwa, bo kiwał się coraz mocniej, aż wreszcie zasnął.

Andrzej musiał przyznać, że w tych warunkach dalsze przekonywanie jest bezcelowe i postanowił sobie nazajutrz wspólnie z Mariettą przypuścić szturm do serca starego Josoe. Niejednokrotnie myślał o swoich uczuciach do Marietty. Nigdy nie byłby przypuścił, żeby człowiek należący do rasy białej mógł zakochać się w Mulatce, ale że tą Mulatką była właśnie Marietta i że Andrzej był zakochany, więc wszystkie rozumowania, wszystkie zastrzeżenia, jakie sam przed sobą wysuwał, nie zdały się na nic. Wiedział, że kocha, że jest .kochany, toteż fakt, że Mariettą była Mulatką, był nieistotny; widział w niej przede wszystkim takiego samego jak on człowieka, człowieka, który był mu nade wszystko drogi.

168

XLII

Mimo zupełnie zdecydowanego uprzedzenia, jakie ma każda mieszkanka Nowego Jorku do ludzi kolorowych i do mieszańców, Mary bardzo prędko zaprzyjaźniła się z Mariettą. Panna Davis zorientowała się w stosunkowo niedługim czasie, jakie uczucia żywi Mariettą do Andrzeja i to zbliżyło ją do córki dżungli, sama bowiem coraz wyraźniej zdawała sobie sprawę, że Jerzy nie jest jej obojętny.

Nazajutrz wieczorem po przybyciu do gospody Fabricia miał się odbyć targ na skóry i pożegnanie bogatego kupca, Chińczyka Tse Li. Mężczyźni po owej zabawie mieli rozpocząć poszukiwania za Garowem, nie było bowiem siły, która by zmusiła „cabocłów” do wyruszenia w drogę przed balem.

W wielkiej izbie przybranej zielenią nie było jeszcze nikogo, gdy Mary i Mariettą weszły z Garveyem, który służył im za tłumacza.

— Ładnie u was wyglądają zabawy, żywego ducha nie ma —• zaśmiała się Mary.

— Pani się myli, zebranie jest liczne — odpowiedziała Mariettą i otworzyła drzwi do drugiego pokoju, gdzie stłoczeni stali mężczyźni sprzedający skóry Tse Li.

— Tam ojciec sprzedaje i mojego jaguara, sam skórę wyprawiał — powiedziała z dumą Mariettą.

— Dlaczego pani go sama nie sprzedaje?

— To rzecz mężczyzn.

— Nam więc wypada czekać.

— W Brazylii kobieta musi nauczyć się czekać.

— U nas w Stanach jest inaczej.

Dziewczęta rozmawiały tak żywo, że Garvey, który musiał każde słowo tłumaczyć, zasapał się i prosił, aby zwolniły nieco tempo rozmowy, co je pobudziło do wesołego wybuchu śmiechu.

Wszedł Jerzy.

Mariettą niebawem wyszła, by pomóc żonie Fabricia przy gospodarstwie. W tej samej prawie chwili drzwi od przyległej izby otworzyły się z hukiem i weszli Tse Li, Farreiro, Velho Sueza, Andrzej Dhil, Kempiański, Josoe, Garała, Wojtek i inni

161)

„fazenderzy” i „cabocle”, za nimi zaś pan Davis, który zwrócił się do córki:

— Tu ludzie zdają się nie wiedzieć o tym, co znaczy „czas to pieniądz” i dlatego handel ich jest bardzo zabawny.

— Dlaczego zabawny, tatusiu?

— Bo zużyli na sprzedaż kilkudziesięciu skórek tyle czasu, ile zużywa giełda na Wall Street na przeprowadzenie milionowych transakcji.

Za bufetem stanął Fabricio, a stary Farreiro huknął na całą salę:

— Hej, Fabricio, możemy się napić, futerka sprzedane, a jutro zaczyna się pędzenie bydła do miasta. Długa to droga i chcę dziś pożegnać moich „cabocli”, którzy udadzą się w drogę.

— Dziękujemy — odparli chórem „cabocle” Farreiry, dla których nazajutrz miały się zacząć długie dni wędrówki w głuszy leśnej, podczas pędzenia stad bydła do Kurytyby.

— Warto się napić, bo i my jutro idziemy na wielkie polowanie! — zawołał Josoe.

Słowa portugalskie mieszały się z polskimi, od czasu do czasu można było wyłowić i dźwięki angielskie, gdy Jerzy tłumaczył panu Davisowi i jego córce, o czym mówiono.

Velho Sueza podszedł do Josoe:

— Gdzie Marietta? — zapytał i nie czekając na odpowiedź zaklął, a potem zawołał — tego miernika Dhila też nie ma. Będzie dziś bal, on popamięta.

Josoe wzruszył ramionami.

— Oczy ci z wielkiej złości uciekają do tyłu głowy. Dhil siedzi koło drzwi i pije spokojnie.

— Oby już od nas odeszły te przybłądy — zawołał porywczo Velho Sueza.

— Oni pojedą tak, jak przyjechali — zbagatelizował Josoe.

— Albo się inaczej stanie — mruknął przez zaciśnięte zęby młody Mulat.

— Tylko nie rób głupstw, oni są moimi gośćmi.

— A ja ci jestem obcy? — zapytał z wymówką Velho Sueza. Do rozmawiających zbliżył się Farreiro.

— Niezły był targ.

170

Josoe skinął głową, a-Velho Sueza zirytował się, tupnął nogą i krzyknął:

— Ale mnie ten przeklęty Chińczyk oszukał. Za takie skóry dać parę milów.

— Dlaczego się zgodziłeś sprzedać? — zapytał Farreiro.

— Ja z nim jeszcze pogadam — pogroził. Farreiro roześmiał się dobrodusznie.

— Ej, ty, ty. Wszystkich ludzi wyprawilibyś na tamten świat. Ale z tym Chińczykiem, radzę ci, nie zadzieraj. Nie bardzo to bezpieczna zabawa.

Velho Sueza zagwizdał.

— Tu las, ja tu pan. Rewolwer nie po to noszę u pasa, żeby mi ciążył i w tańcu zawadzał. Ale co jest? Jest bal czy nie ma balu, na co my właściwie czekamy? *

Niewiasty siedzące wszystkie razem przy jednym stole uśmiechnęły się.

— Fabricio, gdzie jest muzyka? — krzyknął Farreiro.

— Trochę się spili, mój syn trzeźwi ich pod studnią.

— Tak? No, to ja mu pomogę — zawołał Velho Sueza i wybiegł roztrącając obecnych.

— Co się stało? — zapytała Mary.

— Nic szczególnego. Muzykanci upili się i ten dżentelmen pobiegł ich trzeźwić — objaśniał Andrzej.

— Czy w Brazylii wszyscy dżentelmeni tak wyglądają? ~ zapytała Mary.

— Jeśli mieszkają w lesie... tak. Pan Davis spojrzał na córkę.

— Razi cię to, że nie tańczą we frakach?

— Ależ nie, to daleko ciekawsze, zresztą wyobrazasz sobie, tatusiu, jakby oni wyglądali we frakach?,

Ojciec Mary uśmiechnął się:

— No i powiedz Mary, czy my nie weselej spędzamy wakacje niż nasi znajomi, którzy się w tej chwili nudzą na Florydzie albo w Europie, na Riwierze?

— No pewnie, tatusiu, żadna z moich przyjaciółek nie była więziona i żadnej tak pięknie nie uratowano. Ale jak myślisz tatusiu, czy który z tych dżentelmenów poprosi mię do tańca?

Pan Davis spojrzał pytająco na Andrzeja.

171

— No... mysiej że jak cię który poprosi, to powinnaś jednak zatańczyć.

Tymczasem Josoe nachylił się do ucha Farreiry:

— Z tego Velho Suezy jest wściekły wariat.

Jakby na potwierdzenie słów Josoeego zza okien rozległy się nawoływania Velho Suezy, później gruchnęły dwa strzały, a zaraz potem grajkowie, niosąc swoje instrumenty, wpadli w popłochu do izby. za nimi zaś Velho Sueza, który ryczał:

— A co? Nie mówiłem, że od razu wytrzeźwieją? Jak komu koło ucha strzelić, to zaraz wytrzeźwieje.

Wojciech Pyr, który dobrze znał Mulata, zwrócił się do niego:

— Dobrze, że wiem o tym sposobie, jak tylko się upijesz, to go na tobie v/fpróbują.

Dowcip ten został powitany huraganem śmiechu, a jeden z „eabocli” Josoeego, którego nazywano Kulawym Carneiro, zawołał na całe gardło:

— Oj, często trzeba będzie Velho Suezie koło ucha strzelać!

— No, chciałbym tego widzieć, co by się ośmielił mnie zaczepić — warknął Velho Sueza.

— Takiś zadzierzysty? — zapytał Wojtek i podciągnął spodnie.

Velho Sueza nie zmieszał się.

— Chcesz się przekonać?

W sprawę wmieszał się Farreiro.

— A może tak dość tych sprzeczek, co chłopcy? No, muzy-kanty, grać!

Młodzież syPn<?ła się do stołu dziewcząt.

Zaczęto tańczyć.

Pan Davis ulokował się przy bufecie z córką, Andrzejem i Jerzym. Do nich przyłączył się Kempiański. Mary była zachwycona.

— Ależ to cudowne! — wołała.

Kempiański podkręcił do góry wąsa i uklonił się Amerykance.

Panna Mary uśmiechnęła się do niego wdzięcznie i zaczęli tańczyć: ona drobniutko, on posuwicie* ona w takt granego tanga, on przytupywał jak w oberku.

Pan Davis zwrócił się do Andrzeja:

172

— Naprawdę, bardzo zabawne. I jakże panowie się czują w tym otoczeniu?

— Go on mówi? — zapytał Farreiro, który do nich podszedł.

— Mówi, że zabawa jest bardzo interesująca — tłumaczył Andrzej.

Muzyka skończyła grać i Mary z Kempiańskim wróciła do towarzystwa.

Jeden z obecnych zawołał:

— Fabricio umie urządzać zabawy. Co Tse Li przywiezie nam pieniędzy za skóry, to tegoż wieczora pięknie przepijemy u Fabricia. On wie, kiedy urządzać bale.

Fabricio zgorszył się. Jerzy objaśnił pana Davisa, o co rzecz idzie, a wówczas Amerykanin za pośrednictwem Jerzego oświadczył Fabriciowi, że cokolwiek dzisiaj będzie wypite i zjedzone, idzie na jego rachunek. Gdy karczmarz powtórzył o tym zebranym, zrobił się taki gwałt, że w ciągu pięciu minut słowa do siebie nie można było przemówić.

Weszła żona Fabricia niosąc zakąski. Za nią szła Marietta.

— Niech żyje Marietta, a kto powie, że jest od niej piękniejsza dziewczyna, to kula w łeb — krzyknął velho Sueza i wyjął rewolwer, który jednak szybko i sprawnie schwycił gospodarz, po czym wrócił za bufet.

— Oddam ci go po zabawie, zanadto jesteś zapalczywy. Velho Sueza zaperzył się.

— Co to ma być? Co to znaczy? Farreiro zabrał głos:

— Wszyscy oddamy naszą broń Fabriciowi. Nie dlatego, żebyśmy się wzajemnie posądzali, ale dla pewności, aby broń w tańcu sama przypadkiem nie wystrzeliła.

Mężczyźni zaczęli podchodzić do bufetu i składać swoje rewolwery.

Fabricio był jednak praktyk nie lada, więc powiedział:

— To i o noże poproszę.

Pan Davis, dusząc się ze śmiechu, oddał swój kieszonkowy browning i mały scyzoryk do ucinania cygar, czym wywołał długo nie milknący śmiech. Farreiro zwrócił się do Velho Suezy:

— Sądzę, że teraz jesteś zadowolony?

— W porządku — odparł młody zawadiaka.

173

Muzyka znów zaczęła grać. /

— Zatańcz pani? — Jerzy skłonił się przed Mary. Skinęła główką. Zaczęli tańczyć.

Przed Mariettą stanął Andrzej.

— Zatańczysz Marietto?

W tej chwili podbiegł do nich Velho Sueza. Uderzył dłonią w płytę bufetu, aż wywrócił parę szklanek i huknął na cały głos:

— Za pozwoleniem pana, panie miernik.

Wszyscy przestali tańczyć. Jerzy i Mary stanęli za Andrzejem.

— Nie widzi pan, Velho Sueza, że jestem z damą? — zapytał spokojnie Andrzej.

Velho Sueza skłonił się Marietcie.

— Która ze mną ten taniec odtańczy.

— Czy aby na pewno? — zapytał rozdrażniony Andrzej.

— To jest publiczna zabawa i każdy ma prawo tańczyć, z kim chce — zawołał Jerzy.

— Przede wszystkim, czego ty się wróblu wtrącasz w nie swoje sprawy, twój kolega niańki potrzebuje, co? — zawołał Velho Sueza.

Jerzy odprowadził Mary do pana Davisa. Potem podszedł blisko do Velho Suezy:

— Przede wszystkim nie „ty”, zrozumiano?

Garvey stanął koło wystraszonej Mary i jej ojca i tłumaczył każde słowo.

— Ja ci pokażę! — wrzasnął Velho Sueza.

— Tatusiu, on jeszcze zabije pana Jerzego — Mary bała się coraz bardziej.

— O ile pan Jerzy da się zabić — odpowiedział spokojnie pan Davis i zapalił z flegmą cygaro. — Ja się o niego nie lękam.

Jerzy podszedł jeszcze bliżej do Mulata i zapytał:

— Co mi pokażesz?

Velho Sueza rzucił się na Jerzego, lecz ten wykręcił mu ręce i trzymał go w żelaznym uścisku jak w kleszczach. Pan Davis, który wstał przed chwilą, znowu usiadł spokojnie na swoim miejscu.

— Rękę mi złamiesz — syknął Mulat.

174

— Muzyka grać! Tańcz Andrzej, a ja tego zucha potrzymam — krzyknął Jerzy.

— Ależ panowie, bądźcie rozważni — wdał się w sprawę Farreiro.

Josoe podszedł do Marietty.

— Mariettą dziś nie tańczy ani z Velho Suezą, ani z panem Dhilem. Z nikim.

— Puść mnie! — ryknął Velho Sueza.

175

— Na przyszłość licz się ze słowami — rzekł Je/zy puszczać rękę Velho Suezy, który mruknął.

— Policzymy się w stosowniejszej porze.

— Oj, mocnyś ty i chybki do bójki, ale w gębie — odezwał się Wojtek.

Zebrani odpowiedzieli na to gromkim śmiechem. Velho Sueza podszedł do bufetu. — Pić!

Fabricio odpowiedział spokojnie:

— Poczekaj amigo, ochłoniesz, to się napijesz. A teraz odpocznij trochę. — Po czym, zwracając się do sali:

— Słuchajcie, co było, to było, a teraz będziemy się bawić dalej. Trzeba należycie uczcić dzisiejsze okazje. Dla moich gości otwieram własną beczkę wina, którą dostałem z Kurytyby. Tym winem ja częstuję. Czyja wola, proszę za mną, na podwórze.

Podniósł się gwar, wszyscy zaczęli pchać się do wyjścia.

XLIII

Zabawa trwała już parę godzin i Mary czuła się nieco zmęczona. Nie było jednak mowy nawet o spaniu, bo krzyki rozlegały się po całym domu. Panna Davis usiadła w towarzystwie ojca i Jerzego na pniu koło studni, patrzyli w gęsto usiane gwiazdami niebo i rozmawiali.

W pustej izbie Andrzej siedząc naprzeciwko Marietty omawiał z nią, jakby trafić do serca Josoe, gdy nagle drzwi otworzyły się a w nich ukazał się w zakurzonych butach naczelnik ich ekspedycji mierniczej, Roemer.

Andrzej opowiedział swemu szefowi o wypadkach dni minionych, które opóźniły wykonanie robót, a gdy padło nazwisko pana Davisa, Roemer zawołał uradowany:

— Trzeba panu wiedzieć, że pan Davis jest w przyjaznych stosunkach z moim bratem, który mieszka w Nowym Jorku. Poza tym ma on wpływy w radzie naszego towarzystwa, bo zakupił spory portfel akcji. Doskonale się składa, żeście panowie właśnie jemu przyszli z pomocą. Gdy Andrzej zaczął mówić o dokonanych przez siebie pracach mierniczych, Roemer odparł:

176

— Jutro, jutro, drogi kolego. Jechałem cały dzień i kawał nocy i jestem porządnie zmęczony. Ostatnie słowa uwieźły mu w krtani. Chwycił Mariettę za rękę i pociągnął do siebie.

— Co panu? — zapytał zdziwiony Andrzej.

— Dziecko. — szepnął Roemer. — Skąd ty masz ten mcda-lionik?

— Noszę go od dawna.

— Pokaż mi, pokaż... Marietta podała mu naszyjnik.

— Jeżeli tam jest portret i inicjał M.R. — to mówiąc Roemer otworzył medalion.

— Patrz — zwrócił się do Andrzeja.

We wnętrzu medalionu była fotografia jasnej, kobiecej główki oraz inicjał M.R. Roemer usiadł ciężko na ławie.

— Zawołaj, dziecko, twego opiekuna.

— Poproszę ojca — odparła Marietta trochę zdziwiona i wyszła.

— Czy pan przypuszcza, że?

— Zaraz panu wszystko wytłumaczę.

— Czy Marietta?...

— W tej chwili — Roemer potarł ręką czoło. — Jakieś czternaście lat temu bawiłem w tej okolicy u mojego przyjaciela, nazwiskiem Ricandet. Któregoś ranka żona jego dała mi pod opiekę ich dwuletnią córeczkę, sama zaś z mężem wyjechała do Kurytyby, gdzie mieli załatwić jakieś rodzinne sprawy spadkowe i zabawić tam parę dni. Na tydzień przed tym ojciec małej założył jej na szyjkę medalionik, który przysłała babka z Francji. Byłem wówczas u moich przyjaciół, gdyż był to dzień, w którym mała kończyła dwa latka, a ja byłem jej chrzestnym ojcem.

— I ten medalionik nosi Marietta?

— Ten sam.

— Ale jakim sposobem?

— Tego nie wiem. Ale niech pan posłucha. Gdy państwo Ricandet wyjechali, w nocy napadł na ich „fazendę” jakiś łotr na czele zgrai „capangów”. W bitwie zostałem ciężko ranny, a gdy przyszedłem do przytomności, leżałem skrępowany po-

12 Przez morza i dżungle

177

wrozami, obok dopalał się dom. Nikogo nie było w pobliżu. Parę godzin mocowałem się ze sznurami, krew mi uchodziła z ran. Zacząłem szukać dziecka. Nie było go nigdzie. Całą noc rozrzucąłem zgliszczą, a rano powlokłem się do najbliższego sąsiada, który zorganizował pościg i dał znać rodzicom. Mnie zaczęła trawić wskutek zakażenia ran silna gorączka i gdy po paru miesiącach przyszedłem do zdrowia, państwo Ricandet zaniechali już bezowocnych poszukiwań. Sprzedali resztę swego dobytku i wrócili do Francji. Ponieważ zwęglonych zwłok dziecka nie odnaleziono w popiele, poprzysiągłem sobie dopóty nie wracać do Europy, dopóki nie trafię na jakiś ślad. Złoczyńców nie wytropiono, ja zaś zaciągnąłem się do służby mierniczej, abym mógł przejść w tych okolicach każdą piędź ziemi.

— Więc zdaje się być pewne, że Marietta jest właśnie...

— Czyż można wiedzieć? — przerwał Andrzejowi Roemer — medalionik mogli złoczyńcy sprzedać albo mógł go ktoś znaleźć...

Wszedł Josoe;

Andrzej zerwał się z ławki i podszedł do niego.

— Josoe, wiem że jesteś porządnym człowiekiem. Powiedz więc prawdę. Tu chodzi o szczęście i spokój człowieka. Pan Roemer opowiadał mi, że czternaście lat temu wykradziono dziewczynkę, która miała na sobie medalionik. Naszyjnik ten nosi Marietta. Skąd ona go ma? Josoe zdawał się przez chwilę nie rozumieć, o co chodzi. Usiadł na ławie i tępo patrzył przed siebie.

— Mów Josoe.

— Ja już wam opowiadać... opowiedziałem — poprawił się Josoe — że Carlly napadł na mój dom. Wtedy moja biała żona straciła życie. Nie mówiłem wam, że on zabił i moje własne dziecko, ale tak było. Szedłem za tym łotr... za tym łotrem i zza drzew zobaczyłem, jak on napada na dom pana Ricandet. On był z Francji, a żonę miał z Martyniki. Ona była z tych bardzo ciemnych Mulatek. Może dlatego oni tu mieszkali. Ja jedno wiem, że ta matka nie

żyje, ja myślałem wtedy, że nikt nie żyje, a w domu było płaczące małe dziecko. To jest właśnie Marietta.

— Marietta! — zawołał Andrzej.

178

— Która'całe życie myślała, że ma czarnego ojca, a miała czarną matkę — powiedziała dziewczyna. Josoe uśmiechnął się.

XLIV

W godzinę potem Marietta siedziała pomiędzy Josoem i Roemerem, a za nią stał Andrzej i szeptał jej coś do ucha.

Josoe uśmiechnął się blado, wreszcie powiedział:

— Dobrze się stało, jak się stało. Ja już jestem za bardzo stary, a Marietta duża. Mariette ciągle kochają różni chłopcy, a ja nie wiem komu dziewczynę oddać za żonę. Teraz nie moja już głowa.

Jerzy musiał wszystko szczegółowo wyjaśnić Mary, pan Da-vis kiwał poważnie głową.

— Teraz, gdy przyjaciel pana będzie miał żonę — powiedziała Mary — trudno będzie już panom prowadzić dalej życie koczownicze.

— Daj mu Boże szczęście, bo wart tego, a ja...

— Cóż pan?

Jerzy machnął ręką. Westchnął.

Mary też westchnęła, a pan Davis patrząc spod oka uśmiechnął się do siebie.

Izba zaczęła się powoli wypełniać. Tańczono. Roemer rozmawiał z panem Davisem.

Naradzali się nad sposobem powiadomienia pana Ricandet o odnalezieniu córki. Obawiali się, że telegram mógłby sprawić zbyt wstrząsające wrażenie, postanowili więc, że Roemer pojedzie z Marietta do Francji i przygotowuje ojca na radosną niespodziankę.

Wtem rozległy się strzały, drzwi szeroko się rozwarły i stanął w nich jakiś człowiek z rewolwerem w ręku.

— Ręce do góry! — krzyknął.

Za nim stało kilkunastu „capangów” mierzących do wnętrza izby z rewolwerów i fuzji.

179

Broń zebranych była złożona i zamknięta u Fabricia. Położenie nie było łatwe.

— Myśleliście, że ze mną tak łatwo — szydził przybyły. — Chcieliście mnie szukać, otóż jestem. Sam przychodzę. Służę. Kto ma do mnie interes?

Josoe krzyknął: v

— To on, łotr, Carlly.

— Garów! — krzyknął Garvey.

— Garów i Carlly w jednej osobie, do usług. Ale teraz milczeć. Będziecie wychodzić pojedynczo, a my będziemy was wiązać. Potem pogadamy. Jazda!

Josoe rzucił się na Garowa z zaciśniętymi pięściami. Tamten strzelił, lecz w tej chwili Andrzej zasłonił starego Murzyna. Kula przeszła mu ramię.

Mary i Marietta krzyknęły.

Obecni, choć bez broni, rzucili się na napastników, a Fabricio korzystając z zamieszania rozdawał broń tym, którzy stali blisko niego.

Stojący w drzwiach „capangowie” nie mogli strzelać, gdyż obawiali się trafić w otoczonego Garowa, któremu pan Davis wyrwał rewolwer z ręki. Wpadli więc do izby i wśród przekleństw i krzyków rozpoczęła się ogólna bijatyka.

Jakaś zbłąkana kula trafiła w lampę i ciemność ogarnęła "Walczących.

Marietta nie bacząc na strzały podbiegła do Andrzeja i wspólnie z Roemerem wyprowadziła go do sąsiedniej izby, a stamtąd przez okno na ciasne wewnętrzne podwórze, gdzie stała szopa. Wprowadziła do niej Andrzeja i urwawszy rękaw swej bluzki zaczęła opatrywać jego ranę.

Tymczasem bijatyka w gospodzie nie ustawała.

Jerzy, zdezorientowany w ciemności, waląc pięściami na prawo i lewo został zepchnięty w kąt, gdzie za barami swego ojca stała drżąca Mary. Pan Davis trzymał ręce złożone do Uderzenia.

— Musimy zabrać stąd pańską córkę; proszę za mną. — Jerzy Wyprowadził ich do przyległej izby, a ujrawszy przez okno Roemera wyskoczył na podwórze i pomógł wyjść Mary. Za nimi lekko przeskoczył parapet okna pan Davis.

180

— Zostańcie panowie tutaj z panną Mary — powiedział Jerzy do obu mężczyzn. — Ja muszę wrócić na salę i znaleźć Dhila. Poza tym przydam się tam.

— A gdzie Marietta? — zapytała Mary.

— Marietta i Dhil są tutaj — odparł Roemer.

— Dhil zdrow? — zapytał Jerzy wbiegając do szopy. Za nim poszli pozostali.

— Nic mi nie jest — uspokajał Jerzego przyjaciół. — W takim razie zostań z paniami, a my wracamy.

Już mieli wychodzić z szopy, gdy raptem umilkły hałasy, światło w gospodzie zapłonęło i rozległy się rzewne tony tanga. Spojrzeli po sobie zdumieni.

— Co to? — zapytała Mary.

— Czyż oni się na tamten świat z orkiestrą wyprawiają? — odezwał się pan Davis.

— Chwała Bogu — powiedziała spokojnie Marietta. — Widać nieporozumienie już zostało złagodzone i zabawa zaczyna się od nowa.

Gdy Andrzej powtórzył wyjaśnienie Marietty, Mary zwróciła się do Jerzego:

— No, będziemy mogli powiedzieć, że byliśmy naprawdę na oryginalnym balu. U nas zdarzają się też takie rzeczy na kostiumowych zabawach, ale są zwykle inscenizowane przez aktorów.

— Tak, byliśmy na balu — dodał pan Davis — gdzie zamiast fraka trzeba włożyć na siebie stalową koszulkę.

Wrócili na salę, gdzie już tańczono w najlepsze. Josoe podszedł do nich i zwrócił się do Marietty:

— Ja się o ciebie bałem Marietto, ale ja już wiem, że Garów czy Carlly, czy jak się on nazywa, nie zrobi nikomu nic złego. On już nic zrobić nie może. On nie żyje. A jego „capangowie” uciekają. Tylko mi żal że Velho Sueza był tak pijany, i nic nie widział. Dobrze, że ty nie jesteś jego żoną.

A Kempieński dodał:

— Jutro możemy się wyspać a potem ruszymy do Santa Teresa, gdzie chętnie i z całego serca państwa przyjmujemy.

Mary odpowiedziała na to za pośrednictwem Andrzeja:

— Bardzo chętnie. Dziękujemy. Zwłaszcza, że będę się teraz musiała nauczyć po polsku.

Prawda, tatusiu?

181

XLV

Ksiądz Kwiatkowski, Garała i parę gospodyń osobiście przygotowywali pokoje na plebanii, gdzie mieli zamieszkać pan Davis z córką.

Marietta miała zająć jeden pokój z Mary, pan Roemer, Jerzy, Andrzej i Josoe umieścić się mieli u Kempieńskiego i Garały.

— Mówię księdzu proboszczowi — opowiadał Garała, który jako kwatermistrz przyjechał, by oznajmić wizytę — różne rzeczy widziałem, ale o tych paru dniach to będę chyba do końca życia opowiadał.

— Opieka boska nad wami czuwała, ot co, ale rzeczywiście to ci historia.

— To może i ksiądz proboszcz ślub będzie dawał — dorzuciła jedna z gospodyń.

Ksiądz Kwiatkowski nie zdążył odpowiedzieć, bo przed plebanię galopem zajechał Wojtek.

— Już są na polance.

Otrzeptał tedy ksiądz sutannę z kurzu i wyszedł na ganek. Jechała cała kawalkada: obok Marietty i Mary, Kernpiński, bywalec i człowiek światowych zwyczajów świadom, za nimi jechał pan Davis z Roemerem, a inni po bokach.

Wszystkie gosposie zbiegły się przed plebanię witać synów i mężów wracających z wyprawy i wrzawa stała się ogólna.

Ksiądz Kwiatkowski powitał przybyłych, a pan Davis, rzuciwszy okiem na wieś, nie omieszkął powiedzieć paru zasłużonych komplementów, przyjętych bardzo życzliwie przez wieśniaków.

Podczas śniadania u księdza proboszcza mówiono po polsku, po angielsku i po portugalsku, a Jerzy śmiejąc się zaczął z panem Roemerem mówić po francusku, aby wieża Bafcel była zupełna.

Śmiano się i żartowano i wszystkim było dobrze w tej cichej schludnej polskiej wsi, w cieniu palm i drzew kazzu.*)

Pod wieczór pan Davis znalazł się sam na sam z panem Roemerem i wyszli podziwiać starannie uprawiane pola.

Dość niskie drzewo trochę przypominające akację.

182

•— Dobrzy rolnicy tu mieszkają! — powiedział pan Davis.

— O tak, i pracowici — odpowiedział Roemer. Pan Davis usiadł na dużym przydrożnym kamieniu.

— Przyznam się panu — mówił Amerykanin — że doskonale wypocząłem w Brazylii. Tyle sportu, konnej jazdy, boksu i świeżego powietrza nie zażyłem na żadnych wakacjach. Ale niech no mi pan powie, co to za dziwny Murzyn, ten Josoe. Proponowałem mu, aby z nami jechał do Nowego Jorku i odmówił.

— On innego życia nie zna, jak życie w puszczy. W Europie lub Stanach Zjednoczonych byłby tylko śmiesznym niezaradnym Murzynem. Będą oni sobie wspólnie z Garveyem gospodarowali, będą się spotykali z tym polskim nauczycielem i będą wspominać nasze przygody.

•— Z przykrością wracam do Nowego Jorku, dobrze mi tu, ale interesy są interesami. I tak przedłużyłem swój pobyt w Brazylii.

— A ja będę musiał zwolnić się z towarzystwa mierniczego i odwieźć Mariettę, to jest, nazywając ją prawdziwym imieniem, Margaritę do Paryża, aby ją oddać ojcu.

!—• Wielka szkoda, że wszyscy rozstaniemy się. A pan co będzie robił w przyszłości?

— Zamieszkać w Paryżu. Dostyc nawłoczyłem się w życiu i należy mi się już odpoczynek. Szkoda że nasi dzielni chłopcy...

— Właśnie, wielka szkoda.

— A wie pan, Andrzej zaimponował mi. Gdy uradziliśmy, aby Marietta, czy raczej Margarita, pojechała do Paryża i żeby Andrzej rok cały tam się nie pokazywał, aby zostawić ojcu czas do nacieszenia się cudownie odzyskanym dzieckiem, zgodził się na to bez szemrania.

— To świadczy o charakterze. A i Jerzy jest bardzo miły, bardzo solidny.

— O tak, jako ich szef poznałem obu. Chciałem, aby chociaż podróż do Europy odbyli razem z nami. Ale oni ani słuchać nie chcieli. Chcą wracać jako zwykli marynarze. A zna pan ich projekty?

— Znam i jako kupiec uważam je za realne. Mam nawet zamiar udać się do Warszawy i stworzyć polsko-amerykańsk*

183

towarzystwo. Sądzę, że Dhil oraz Lubrański poprowadzą je wzorowo.

— Jestem tego pewny.

— Za rok zjedziemy się tedy wszyscy w Paryżu.

— Z góry się na to cieszę.

Następnie panowie zamilkli, bo opodal szli Marietta i Andrzej, szli patrząc na siebie, nie widząc ani pana Roemera, ani pana Davisa.

' — Marietto, bo dla mnie zostaniesz zawsze Marietta, rok szybko minie, a potem nie rozstaniemy się już nigdy — mówił cicho Andrzej.

— I znów kiedyś przyjedziemy do Brazylii zobaczyć mego przybranego ojca, prawda?

— Ależ naturalnie. Ilekroć zapragniesz podróżować, z mojej strony przeszkód nie będziesz miała.

— Ale przede wszystkim pojedziemy do Warszawy urządzić nasz dom.

Po chwili szepnęła:

— Prawda, że ten rok szybko minie?

— O tak.

I oboje westchnęli.

Marietta odezwała się za chwilę: i

— Więc moja matka była czarna. ą Andrzej odpowiedział.

— Czy to jest ważne? Czy była Chinką, czy Murzynką, czy jako indiańska sąuaw nosiła za swym mężem ciężary — to dla mnie obojętne, bo ciebie kocham; czy twoja chata była nędzna, czy bogata, też nie ma znaczenia, bo tylko to jest ważne, że ciebie kocham.

I znów oboje westchnęli.

XLVI

Ksiądz Kwiatkowski nie zwykł był przyjmować liczniejszego grona gości, bo rzadko kiedy obcy przyjeżdżali do Santa Teresa. Okazał się on jednak znakomitym gospodarzem.

184

Gdy podano do wieczerzy, potoczyła się przy stole ogólna, wesoła rozmowa.

Tylko Jerzy był trochę osowiały, a gdy Andrzej po cichu zagadnął go, Jerzy odpowiedział:

• — Dobrze tobie, ale sam pomyśl, panna Mary jest kolosalnie bogata, a ja mam, zresztą sam wiesz, ile mam, rozumiesz więc, że...

Urwał, machnął ręką.

Andrzej, oczywiście znów po cichu, powiedział swej narzeczonej o strapieniu przyjaciela.

Sam rozumiał, że Jerzy znajduje się w bardzo trudnej sytuacji. Kocha szczerze Mary, ale gdyby nawet zapracował się przez całe życie, nie będzie w stanie zapewnić jej dobrobytu, do jakiego przywykła.

Tymczasem ksiądz Kwiatkowski dolewał wina, Garała wznosił toasty, a pan Roemer żartował i straszył Mariettę Paryżem, opowiadając o szoferskich harcach na ulicach tego miasta. Ona śmiała się i zaczęła uczyć go po polsku. Pan Roemer nie był w stanie powiedzieć „drzwi”, co ogromnie ją bawiło, za to Mary okazała się bardzo pojętną uczennicą.

Pan Davis po kilkakrotnych próbach powtórzenia „chrząszcz brzmi w trzcinie” osądził, że nigdy w życiu nie nauczy się mówić tak bardzo trudnym językiem.

Po wieczerzy, gdy pan Davis z mężczyznami wyszedł przed plebanię na cygaro, a Marietta opowiedziała Mary o Jerzym, Mary ucałowała swą przyjaciółkę i zawołała Andrzeja.

Po paru minutach rozmowy Andrzej zakomunikował panu Davis, że córka ma do niego jakąś pilną sprawę i wtedy zaczęły się długie narady pomiędzy ojcem a Mary, w których imię Jerzy dość często się powtarzało.

Nazajutrz miano opuścić Santa Teresa. Jerzy i Andrzej postanowili odprowadzić swych przyjaciół do Kurytyby, skąd pan Davis z córką miał udać się do Nowego Jorku, pan Roemer zaś z Marietta do Francji. »

Pożegnanie z księdzem, Josoem, Garveyem, a wreszcie z Kem-pińskim, Garałą i Wojtkiem było bardzo serdeczne.

Cała wieś odprowadziła ich daleko, a Marietta długo szlochała przy piersi pocziwego Josoe.

185

Podczas drogi do Kurytyby słowa „Za rok w Paryżu” powtarzały się często, i tylko Jerzy wzdychał, Mary była nadaśana, a pan Davis uśmiechał się bez widocznego powodu.

XLVII

Jak się to stało, że Dhill i Lubrański otrzymali od swego towarzysza w Kurytybie polecenie przewiezienia papierów i dokumentów do centrali w Rio de Janeiro, to już zdaje się pozostanie tajemnicą pana Davisa, który dłuższy czas konferował z dyrektorem towarzystwa. Dość że odprowadzeni przez konsulów: polskiego, Stanów Zjednoczonych i francuskiego, który Mariette wystawił paszport na nazwisko Margarity Bicandet, wszyscy uczestnicy wycieczki do Santa Teresa znaleźli się w wagonie, który miał ich zawieźć do Sao Paulo. Bezpośredniego połączenia kolejowego Kurytyba—Rio de Janeiro nie ma. Do Sao Paulo jedzie się kolejką wąskotorową kluczącą pomiędzy rzeką a polami, budowaną nieco fantastycznie, bo tor biegnie tam i z powrotem aby obsłużyć leżące w pobliżu osady. Żółty kurz wdziera się do wnętrza wagonów, i aby coś zjeść, trzeba wychodzić na stację, bo wagonu restauracyjnego w składzie pociągu nie ma.

W Sao Paulo zatrzymano się w hotelu i zwiedzano miasto, które, jedyne w Brazylii, przypomina nieco miasta Stanów Zjednoczonych. Są tu i drapacze chmur, policja ubrana jest starannie i w ogóle „pauliści” uważają się za elitę Brazylii, z góry patrząc na mieszkańców innych stanów.

W Rio de Janeiro zwiedzono miasto pobieżnie. Przejechano tylko przez awenidę Atlantico na Tujuzukę, z zachwytem zwłaszcza Marietta, oglądając parę budynków i słynną Górę Cukru. Rio de Janeiro, zbudowane na wybrzeżu zatoki, której faliste połamane brzegi tworzą awenidę Atlantico, a następnie rojną i gwarną awenidę Rio Branco; ma za. tło góry i lasy, a przed miastem szklą się wody zatoki.

Na tarasie hotelu Capacabana, położonego trochę za miastem, nad oceanem, siedział pan Davis z córką i Jerzym.

186

Pan Roemer, Marietta i Andrzej wyszli do kina, ponieważ Marietta w życiu swym nie była w kinie.

Na tarasie mówiono o wielu obojętnych rzeczach, wreszcie pan Davis powiedział:

— A więc za rok spotkamy się w Paryżu, jeżeli pan wcześniej nie przyjedzie do Nowego Jorku lub jeżeli my nie przyjedziemy do Polski.

— Bardzo chętnie przyjadę na ślub Andrzeja ale trudno mi dziś powiedzieć, co będzie za rok. Przyjaciół mój, gdy się ożeni, będzie wiódł zapewne życie osiadłe, ja zaś mam zamiar pojechać do Afryki... nie wiem zresztą jeszcze.

— Ale teraz wraca pan do Europy?

— Tak, chcę odwiedzić rodzinę, potem zaś zapewne wyjadę. Mary wstała i podeszła blisko do Jerzego.

— A ja jestem spokojna, że przyjedzie pan do Paryża, bo ostatecznie, choć nie uważał pan dotąd za stosowne prosić mego ojca o moją rękę, i pan, i mój ojciec, i ja wiemy, że skończy się na tym, iż weźmiemy ślub.

Jerzy wstał i nic nie mówiąc, patrzył na Mary. Pan Davis również wstał i powiedział:

— I ja tak myślę, a co do majątku, to widzi pan, mój ojciec był sobie zwykłym robotnikiem, a ja mam miliony. Wierzę, że da pan sobie radę, a ja ze spokojem powierzę panu szczęście mego dziecka. A teraz idę napisać bardzo ważny list, a was, moje kochane dzieci, zostawiam.

— I wyszedł.

Gdyby ktoś obserwował Mary i Jerzego, widziałby, że piękna Amerykanka coś gorąco tłumaczyła Jerzemu — ten potem coś mówił, a potem serdecznie całował jej rękę.

A gdy zapadła noc, ostatnia noc na brazylijskiej ziemi, Mary i Marietta opowiadały sobie o czymś długo, a Andrzej ścisnął Jerzego.

Pan Davis i Roemer palili na tarasie cygara i uśmiechali się.

XLVIII

O godzinie dziesiątej rano pan Davis z córką, Andrzej i Jerzy, odprowadzili do przystani pana Roemera i Mariettę na statek

„Asturias”, który miał ich zawieźć do Europy. Był to w 1928 roku najlepszy statek pływający do Ameryki Południowej.

— Za rok w Paryżu.

Gwizd syreny i „Asturias” holowany przez mały stateczek odpłynął od brazylijskich brzegów. O godzinie dwunastej Andrzej i Jerzy odprowadzili do przystani pana Davisa z córką na statek „Louis Washington”, który miał ich zawieźć do Nowego Jorku.

— Za rok w Paryżu.

— Lub jeszcze prędzej — zawołała Mary.

Obaj przyjaciele długo stali na molo, patrząc za znikającym okrętem.

— No, Jurku, jesteście znów sami. — I szczęśliwi...

— O tak.

Po chwili odezwał się Dhill.

— A co teraz?

— Rok oczekiwania.

— Prawda.

Po chwili odezwał się Lubrański.

— Coś trzeba zrobić.

— A tak.

— Sądzę, że przede wszystkim wyprowadzimy się z hotelu Capacabana.

— I ja tak myślę.

— Płacić po sto milrejsów, to znaczy po sto złotych dziennie, to trochę nad nasz stan.

— I ja tak myślę.

W portierni Capacabana Jerzy aż przystanął i patrzył zdziwiony. Przed nim stał poznany w Warszawie przez Wiechowicza młody włoski dyplomata Marco Carnero.

— Pan nie w Kairze?

— Proszę sobie wyobrazić. Ponieważ znam arabski wysłano mnie tu, do Rio de Janeiro. A pan tu w dyplomacji?

Jerzy poznał młodego dyplomatę z Andrzejem i w kilku słowach powiedział o sobie.

— Moja ambasadorowa zabije mnie jak panów do niej nie przywiozę. Słyszała o przygodach pana Da^{sa} i JeS^corki i wręcz szaleje, żeby choć panów poznać, skcf^o Pan Davis wyjechał.

Uśmiechnął się.

— Proszę nie odmawiajcie mi, nie narazicie mnie na wymówki ze strony żony szefa. To czarująca pani, ale...

Carnero zaprosił ich do baru na szklaneczką porto.

— Musicie mi opowiedzieć o tej awanturze,

Gdy Andrzej i Jerzy skończyli mówić, młody Carnero powiedział:

— Jestem dyplomatą, ale we krwi mam trochę awanturnictwa. Moi przodkowie dokazywali na Bliskim Wschodzie, a wiek XV i XVI to jedno pasmo awantur, w których moi dziadowie byli porywani, sami porywali, żenili się rorr\$ntyczme i awanturniczo, a nawet jedną z naszych kuzynek wydali za Polaka, i to Polaka, którego matka przywiozła do Riymu> bo przeznaczyła go do stanu duchownego. Kocham taPe awantury, ale przyznaję, myślałem, że to się już skończyło, tymczasem panowie przeżywali historie, no... klasa. Przyjdziecie? Młody dyplomata był tak ujmujący, że Andrzej i Jerzy odbyli dla niego i tę towarzyską torturę, w cj!asie której chyba ze sto pań zasypywało ich pytaniami.

Nazajutrz przeprowadzili się do portowego hoteliku i tu wreszcie zaczęli rozmawiać o swej przyszłości.

— Muszę dużo zarobić przez ten rok — powiedział Jerzy.

— Raczej stworzyć sobie źródło stałych zarobków. To ważniejsze. Sądzę, że trzeba wracać do Polski i zakrzętnąć się koło stworzenia banku brazylijsko-polskiego.

— I ja tak myślę. Ale na razie trzeba naj*1 zaokrętować się i wracać do Europy.
— No to chodźmy do portu.
— Wiesz Jurku,, jak pomyślę, że znowu zaczniesz się chodzić do kapitanatu i czekanie na jakieś pudło...

— Patrzcie go, już ci się znudziło?

— Ależ nie — chodźmy.

Gdy stanęli na molo, krzyknęli prawie równocześnie.

— Polska bandera!

188

189

Duży pasażersko-towarowy statek, pod polską banderą stał przy molo.

Nie namyślając się podbiegli i zawołali do stojącego przy schodkach marynarza:

— Serwus kolego. Jest kapitan na statku?

— Jest, a bo co?

— A bo chcielibyśmy pogadać.

Weszli na pokład i pierwszy raz usłyszeli na statku polskie słowa komendy.

— Przygotować do wyładowania! Kapitan przyjął ich na pomostku.

— Słucham panów.

— Oto nasze książeczki marynarskie, czy moglibyśmy odbyć z panem kapitanem rejs powrotny?

Kapitan obejrzał książeczki.

— Mam bosmana na statku.

— Na polskim statku chętnie popłynę jako zwykły marynarz — zawołał Dhill.

Kapitan uśmiechnął się.

— Zdaje mi się, że będę miał komplet, ale zaraz się dowiem.

Zawołał:

— Panie poruczniku!!

— Słucham pana, panie kapitanie.

— Czy nie ubywa nam kto z załogi?

— Prosiło mnie trzech marynarzy o zwolnienie w Para-nagua.

— No to dwóch już jest na ich miejsce. Potem zwrócił się do Dhila — płyniemy do Santos — Paranagua, Buenos Aires i z powrotem do Rio de Janeiro — Lizbony i Gdyni.

— Tak jest, kapitanie.

— Panie poruczniku, oto książeczki nowych marynarzy.

— Bosman?

— Tak, panie poruczniku.

— W takim razie obejmiecie służbę drugiej wachty, a wy sternik?

— Tak, panie poruczniku.

— Dobrze, idźcie po rzeczy.

190

— No i co, Jurku, popłyniemy pod polską banderą! — wołał Andrzej w hotelu — to dobry prognostyk dla naszych zamierzeń.

XLIX

Gdy weszli do kasztelu ze swymi rzeczami, przywitali ich nowi koledzy i od razu wtajemniczyli we wszystkie ploteczki statku.

— Na tym statku nie ma krzywdy.

Na drugi dzień o świcie ruszono w drogę do Santos.

Jerzy i Andrzej wolni od służby stali przy burcie i patrzyli w niknące z oczu miasto-bajkę — Rio de Janeiro.

Milczeli.

Każdy z nich myślał o przyszłości, o oczekujących ich trudach, o tym, że ostatecznie rok szybko minie, że znów będą razem, że pożegnanie w Rio de Janeiro już było, a teraz zbliża się powitanie w Paryżu, gdzie uśmiechać się do nich będą dwie śliczne i kochane twarzyczki. Ciszę przerwał Andrzej.

— Może nie wypełniliśmy w całości naszych zamierzeń. Mało wiemy o życiu Polaków w Stanach Zjednoczonych. Znamy za to tryb życia w Brazylii i na własnej skórze doświadczyliśmy, co znaczy być pionierem w dżungli. Mamy trochę grosza i mamy tę świadomość, że nie zginiemy, że w każdych warunkach, choćby były one i trudne, potrafimy zarobić, zapracować na utrzymanie, że nie ulękniemy się żadnych przeciwności. A oprócz tych wszystkich osobistych doświadczeń wiemy, że każda emigracja do obcych państw jest tylko półśrodkiem, że nam trzeba floty i jeszcze raz floty handlowej i organizatorów handlu oceanicznego.

— Tak, Andrzej. Mógłby ktoś powiedzieć, że włóczyliśmy się bez celu, a w końcu zaręczyli z cudzoziemkami. Ale my wiemy, że zaręczyliśmy się, bo tak kazało nam serce, a z naszej włóczędzy wynieśliśmy to doświadczenie, że dosyć już marnowania sił naszej emigracji, że czas, by zająć się z całego serca

101

stworzeniem więzów ekonomicznych Polski z wychodźstwem. I wierzę w to mocno, że już niezadługo towar polski pójdzie z Gdyni pod polską banderą do Paranagua, że na śniadanie pić będziemy kawę przez Polaków plantowaną i że w każdym porcie Ameryki ludzie będą dobrze znać polską banderę,

— A może — tu głos Andrzeja zadrżał — może dożyjemy tego cudu, że wszyscy Polacy rozumieją, iż Polska nie kończy się ani na Tatrach, ani na Bałtyku, lecz jest wszędzie tam, gdzie biją polskie serca.

— Tej idei warto poświęcić życie — usłyszeli za sobą głos porucznika.

A wokół nich szumiało morze, szeptało swą odwieczną pieśń o potędze tych narodów, które dalekie, bezkresne przestrzenie oceanów poznały i ukochały.

1

Koniec